

347836

Nu obywatel
Korzeniowski

DRAMATA
OPOWIADANE

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

DRAMAT PIERWSZY.

OFIARA I SUMIENIE.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1860.

DRAMA PIRWSEY

OTIARA I SUMIENIE

347836



W. 2458/63

ki, ale dawnie piękny i starożytny od
 wszystkich ubrany, spód rozpartym od
 niemiym trochę od stolika fotelu, try-
 mając w ręku długą antykwowy cybuch,
 dużym osobnym burzycym pod któ-
 tym był czerwony woreczek z lilią R.
 wyszła dziwnym perłkami. Młodzień-
 ków tam uszywał się Karol Jarański i
 był dalekim krajowym gospodarzem domu.
 Ten, który miał z daleka, i
 Kolumna Borka. I.

Wniewielkim pokoju, którego drzwi
 parapetowe wychodziły na ogród, a któ-
 rego przystrojenie okazywało widocznie,
 że to był buduar elegantki, uderzało
 szczególnie to, że na jego środku, nieda-
 leko od owych drzwi, otwartych na roz-
 cież, stał zielony stolik, a przy nim sie-
 działo trzech mężczyzn różnego wieku,
 ubranych prawda przystojnie, ale palą-
 cych fajki i grających w karty. Grali oni
 w wista z dziadkiem; gdyż czwarty, któ-
 ry widać także do gry należał, młodziut-

ki, ale dziwnie piękny i staranięj od wszystkich ubrany, spał rozparty na odsunionym trochę od stolika fotelu, trzymając w ręku długi antybkowy cybuch, dużym ozdobiony bursztynem, pod którym był czerwony woreczek z Literą E, wyszytą drobnymi perełkami. Młodzieniaszek ten nazywał się Karol Jaratoński i był dalekim krewnym gospodyni domu.

Ten, który grał z dziadkiem, p. Antoni Kolumna Bużek, człowiek już nie młody, w surducie i niby po domowemu odziany, z błyszczącą łysiną, na której często bił muchy, z twarzą gładką, zupełnie wygoloną, uśmiechającą się filuternie, z brodą zasuniętą w szeroki biały halstuch, grał niby z rostargnieniem, brał i kładł kartę z dziadka, jakby niewiedział na jaką się zdecydować, a tym czasem bystrém okiem, poglądał na współgrających, a szczególnie na śpiącego młodzieńca, który przez sen uśmiechał się, jakby ze słodkiem bawił się marzeniem.

— Nie lubię ja tego wista z dziad-

kiem,—rzekł Adolf Groblica, jeden z grających, brunet przystojny, z wyrazem twarzy rozumnym, ale szyderskim, którego niedecyzya staregoniecierpliwiła—azwłaszcza z tobą, Szambelanie, który medytujesz tam, gdzie nie ma nad czém myśleć. Masz sekvens od damy, czy więc położysz newkę czy damę, to wszystko jedno.

— Jakiem był w Petersburgu — odpowiedział Szambelan, który kilkanaście lat przepędził w téj stolicy, gdzie się trudnił interesami szlachty, a ztąd zawsze z pewnym rodzajem pychy ten pobyt swój tam cytował — to grywaliśmy w wielkie gry, i tam nauczyłem się być uważnym. Gdzie trzeba wiele zapłacić, tam trzeba dobrze pomyśleć.

— A my tu na Podolu — rzekł Adolf uśmiechając się ironicznie — grywamy także w rozmaite gry, i często bardzo ryzykowne, ale grywamy prędko i śmiało. Kiedy kto nic nierobi, tylko gra, to powinien choć to dobrze umieć, i robić rzecz swoją żywo i bez myślenia...

— Prawda — odpowiedział Szambelan — wy tu wszystko robicie bez myślenia o konsekwencyach. Ztąd też najczęściej wypada, że drogi wasze są błędne i doprowadzają was tam, z kąd musicie wracać. To jeszcze szczęście, jeżeli który z was stracił tylko czas i wracabez guza.

— Przesadzasz, Szambelanie! — odezwał się wówczas p. Kazimierz Strobiński, drugi ze współgrających, mało co młodszy od Groblicy, ale blondyn, powolniejszy, i z wyrazem twarzy trochę melancholicznym. Wszędzie młodzi ludzie, równie w Petersburgu, jak i w Warszawie, gdzieś niebył, jak i na Podolu, gdzie teraz jesteś, postępują tak, że czasem postępuku swego żałują i radziby się z niego wycofać, ale nie można powiedzieć, żeby to była ogólna wada podolskiej młodzieży. Może jesteśmy żywsi od innych...

— Tylkoż nie ty Kaziu! — rzekł śmiejąc się Adolf.

— Ja też téj pretensyi nie mam wcale — odpowiedział Kazimierz — chociaż roz-

wagi w słowach i postępkach niemam także za powolność naganną.

— Jakiem był w Peterburgu— rzekł wówczas Szambelan, klapnąwszy się po łysinie— widziałem i powolnych melancholików, którzy zdawali się wszystko robić z wielką uwagą, a jednak kochali się także, i to tam, gdzie nie należało.

— Któż ci powiedział, Szambelanie, że ja się kocham, i to jeszcze tam, gdzie nie należy?—zawołał żywiej i rumieniąc się zagadnięty tym sposobem p. Kazimierz.— To nie ja się kocham, ale ten dwudziestoletni młodzieniaszek, który, patrzcie, jak się uśmiecha przez sen, zapewne do swego ideału; kocha się na prawdę, i to właśnie tam, gdzieby nie należało. Szczérze mówiąc, nie dziwię ja się wcale, że takiemu studentowi zawróciła się głowa; ale dziwię się kobiecie, o cztery przeszło lata od niego starszej, i która dała słowo takiemu człowiekowi jak p. Adam, że bałamuci malca, i pozwala na to, aby czuwał po nocach, wałęsając się

po ogrodzie, i może oczekując jęj wtedy, kiedy ona wysypia się w najlepsze.

— A wiesz zkąd to pochodzi?— rzekł Szambelan— oto ztąd, że młodzi ludzie, i tacy jak on, i trochę starsi, są jak rybki, dla których puszcza się przynęta na haczyku, widzą one dobrze ze haczyk jedną z nich porwał; ale gdy wędka znowu padnie na wodę i haczyk się zanurzy, rozdziawiają pyszczki i chwytają przynętę, nie myśląc o tém, że to zdrada. Naturalnie, rybki chcą jeść i niemają rozumu, więc nie można im tego głupstwa mieć za złe; ale młodzi ludzie podolscy nie głodni są, i przytém różnią się od ryb rozumem i mową, a jednak dają się łapać.

— Do kogóż to pijesz? Szambelanie— zapytał Kazimierz.

— Do tych wszystkich— rzekł stary— którzy tego nie widzą, że wyprowadzi w pole każdego, który w sidła jęj wpadnie. Bo choć to moja krewna i mam dla nięj obowiązki, przyznać jednak muszę, że esjt na takiej drodze, z któręj radbym

ją sprowadzić. Dla tego mam za złe i wam, i każdemu, który nadskakiwaniem swem podnieca jęj kokieteryą, w którą się bawi ze szkodą innych i własną. Wy udajecie tylko jęj przyjaciół, sąsiadów rozsądnych i niezakochanych, a jednak obsiadacie ją, nadstawiacie się, jak i wielu innych, i ona to dobrze widzi, że ona każdego z was uśmiechem i spojrzeniem, jak kozę obarzankiem, zaprowadziłaby gdzieby sama chciała. Nie gadajcie więc na Karolka że smoli, kiedyście sami okopceni, nawet ty, co umiesz drwić ze wszystkich i ze wszystkiego, i co dawno już powinienbyś dać za wygraną. Jemu więcj można darować, jak wam. To młodzieniaszek dwudziestoletni, to dzieciak, występujący na pierwszy ogień, który nań ze ślicznych oczów uderzył; a wyście ludzie dojrzali, nawąchaliście się dosyć tego prochu, i nie z jednéj takiéj batalii wyszliście, jeżeli nie zawsze zwycięzko, to zawse z tém przekonaniem, że szkoda czasu i sił jakie się marnują z kobiętą, która każdemu obie-

cuje gruszki na wierzbie, a dla nikogo ich nie strzęsie.

Oba parsknęli ze śmiechu tak głośno, że Karolek obudził się, poprawił się na krześle, przetarł oczy, i patrząc na siedzących przy stoliku, zapytał:

— Czy na mnie kolój?

Śmiech się powiększył, a Adolf rzekł:

— Na ciebie Karolku! kolój wysłuchania reprimandy, jaką nam tu Szambelan gruntownie i wymownie palnął. A wiesz za co?

— Naprzykład?— zapytał Karol.

— Oto za to— mówił dalej Adolf— że ci dajemy zły przykład i pozwalamy ci nie sypiać po nocach i słuchać słowika.

— Co to jest Szambelanie!— zapytał Karol. Szambelan ruszył ramionami i zasunął brodę w halsztuch, a Adolf kończył tasując karty:

— Szambelan, mój Karolku! jako człowiek stary i mający w żyłach krew, która zastygła wtedy jak był w Peterburgu, niepojmuje tonów melancholicznych tego

zakochanego ptaszka, którego ty słuchasz z rozkoszą, nie widzi poezyi w promieniach księżycy, ślizgających się po szybach tego okna, w które się ty wpatrujesz z oczekiwaniem. On w szmerze liści tego kłabu, pod którym podobno dzisiejszą noc przepędziłeś, słyszy tylko chłodny wiatr, od którego możesz się przeziębować i dostać kataru, a w tych kroplach, które jak łzy aniołów litujących się nad mękami serca, padają z nieba na twoje gorące czoło, widzi tylko prostą rosę, która może ci dać febrę i zmartwić mamę!

— Nie lubię niewczesnych żartów— przerwał mu wtedy Karolek, porywając się z miejsca.— A szczególnie proszę do swych conceptów nie mieszać mojej matki, którą szanuję i którą rzeczywiście lekabym się zmartwić, gdybym wiedział, że ją postępowanie moje martwi. Proszę także nie zapominać i o tém, że choćbym dostał febry, to jednak ręka trząść mi się nie będzie i utrzyma broń, która pa-

nu pokaże, że nie dzieciak, z którego drwić sobie można.

Gdy na te słowa młodzieńca, który chciał upomnieć się o swój honor mężczyzny i złożyć dowód *muturitatis*, Adolf powstał także, i możeby przyszło do *explicacyj*, pociągających za sobą zgubne skutki, z ogrodu dał się słyszeć głos wdzięczny i srebrny:

— Charles! venez donc!

Głos ten na wszystkich obecnych odmiennie zrobił wrażenie. Szambelan klapnął się mocniej po łysinie i ruszył ramionami, Adolf uśmiechnął się ironicznie, Kazimierz posmutniał, a Karolek zapłonął jak ogniem, zadrżał cały i zapomniawszy o urazie i o wszystkiém co go otaczało, wybiegł szybko przez drzwi otwarte.

— Szczęśliwy chłopiec! — rzekł po chwili Adolf siadając — widocznie w czepku się urodził. Nie dosyć że słuchał filozofii niemieckiej i piękny jak Endymion; że ta Dyana przypatruje mu się często tak blisko, że mógłby porachować wszyst-

kie włoski w jej ciemnych rzęsach, ale jeszcze doznaje jej opieki nawet wtedy, gdy gotów głupstwo zrobić, któreby go było daleko zaprowadziło.

— Jakiem był w Peterburgu— rzekł na to Szambelan— słyszałem nieraz, że kiedy się takie głupstwo robi, jakie się tu zrobić mogło, to najprzód obwiniali tego, kto je wywołał, a potem tego, kto powinien był mieć więcej rozumu przez wiek i doświadczenie. Ergo...

— Wniosek łatwy do zrobienia— przerwał Kazimierz z uśmiechem— że z obu tych względów Adolf winien. Przepraszam cię, kochany Adolffie, ale tak jest istotnie. Przebrałeś miarę, a to nie taki chłopak, z któregooby godziło się i można było żartować.

— Uwaga słuszna— rzekł Adolf— Widzę to teraz i sam. Wdajcież się w to, żeby rzeczy tej nie wznowił, a ja go zwolna udobrucham i wszystko to w żart obrócę. Ale patrz! patrz Szambelanie!— do-



dał poglądając ku ogrodowi— nie mówi-
łem że się on w czépku urodził?

Tu Adolf i Kazimierz stanęli we
drzwiach, a piérwszy z nich mówił dalej:

— Czy widzisz jak się zwiesiła na je-
go ramieniu, jak zwraca ku niemu gło-
wę ustrojoną w kwiaty, jak mu patrzy oko
w oko, że nie tylko szept jój słyszeć, ale
i oddech połykać może! A co za kibić! jak
ramiona jój obnażone jaśnieją z daleka!
Taka piękność tylko na podolskiej pszeni-
cy mogła się wyhodować; taki kwiat wy-
rość mógł tylko na téj bujnej ziemi, gdzie
się wszystko udaje, i takie róże jak ona,
i takie dęby jak Adam, i takie bodiaki
jak ja, i takie pokrzywy jak Plotkowska
i cała kupa srok i papug, gadających
po polsku i po francuzku. Patrz! teraz
obraća się ku nam, zdaje się, że się wi-
dnięj robi od blasku téj twarzy, od pro-
mieni tych oczu, których prawda ztąd
nie widać, ale które ja ciągle widzę przed
sobą, bom kiedyś niebacznie i za blisko
w nie zajrzał.



— O! waryacie! waryacie!— zawołał Szambelan bębniąc po złotej swój tabakierce.

— Drogi Szambelanie!— mówił Adolf zbliżając się do niego i kładąc ręce na jego ramieniu i plecach— dostań sobie gdzie jaką szkapę, bądź moim Sanszem, a ja, choć mnie odprawiła z kwitkiem, jak drugi Don Kiszot dosiędę Rosinanta i pojedziemy głosić piękność tój pani. A przysięgam ci, Szambelanie, na te wszystkie ruble, któreś szlachcie wyexpensował w Peterburgu, że od Hajsyna do Braćławia, od Łatyczowa do Winnicy żaden wiatrak się nie ostoi.

— Rzecz zachodzi za daleko— zawołał marszcząc się Kazimierz, który został we drzwiach.

— Czy Dyana nachyliła tak twarz swą do twarzy Endymiona— zapytał Adolf— że usta jój ust jego dotykają?

— Do tego jeszcze nie przyszło— odpowiedział Kazimierz— ale położyła dłoń

na jego ustach, a on przycisnął ją ręką swą i tak dotąd trzyma.

— Niehże moje oczy tego niewidzą — rzekł Adolf i usiadł na dawném miejscu, zakrywając twarz obu rękami.

— Teraz zwrócili się tą gęstą uliczką, która prowadzi do Pawilioniku — mówił Kazimiérz z wyraźnym gniewem i szarpnąwszy się za wąsy.

— O wy wszystkie duchy! — zawołał w ówczas Adolf powstając — które się opiekujecie pokojem nieobecnych, czuwajcież teraz nad skarbem biednego Adama, kiedy Szambelan tak źle nad nim czuwa i tak niedbale broni tu interesów swego klienta, jak niegdyś w Peterburgu źle bronił sprawy tych, co mu je powierzali, i którzy wszyscy podobno poszli z kwitkiem i z torbami.

— Jesteś waryat i impertynent, jakiegom nie widział nawet wtedy, kiedym był w Peterburgu — rzekł Szambelan, a rozgniewany i zmartwiony płochością tój co go szczerze interesowała, dodał: — Pleć-

cie tu sobie duby smalone. Macie pole otwarte nim dadzą podwieczorek. Możecie i ją posądzać o głupstwo, jakiego nie zrobi i na mnie wymyślać ile wam ślina do gęby przyniesie. Ja tylko to wam powiadam, że zazdrość i złość ubieracie w płaszczyk żartu i śmieszków wcale nie dowcipnych; że każdy z was dałby sobie obciąć te palce, w których karty trzyma, żeby mógł być choć parę godzin na miejscu tego malca, który spodziewa się rajskiego jabłka, a dostanie figę, jakiej i wam z serca życzę, wasz przyjaciel i sługa, Antoni Kolumna Bużek.

To powiedziawszy, ukłonił się im, zasunął brodę w halsztuch i wyszedł z gniewem.

Oba młodzi ludzie zaśmieli się z tego zakończenia tyrady w formie listowej, potem stanęli we drzwiach i patrzyli już seryo w ogród, gdzie młoda para znikła z ich oczu. A gdy twarz Kazimierza coraz się zasepiała, Adolf nałożył sobie fajkę, zapalił ją u świecy, która stała na drugim

stoliczku wśród rozmaitych robót kobiecych, włóczek i rysunków kanwowych, a rozparłszy się na fotelu, na którym przed kwadransem spał Karolek, rzekł:

We wszystkich krajach są kobiety piękne i płochy, poświęcające pokój i los tych, co się dali odurzyć ich wdziękami, chwilowej rozkoszy pojmania nowego więźnia i obudzenia w nim nadziei, jakich urzeczywistnić nie myślą. Ale nigdzie nie ma ani tak pięknych jak u nas, ani tak płochych jak są nasze. Włoszka będzie kokietką; ale przychodzi na nią chwila, że się w niej odezwie uczucie, ocknie się namiętność, i wtenczas poświęcając obowiązek i siebie, poświęca i pokój swój dla mężczyzny, którego pokocha. Francuzka wabi i zwodzi, ale i na tę przychodzi kréska, że się w niej odzywa krew i temperament; i ta w takiej chwili, jeżeli zapomni o swęj powinności, to zapomni także o swym pokoju i o sobie dla mężczyzny, do którego się zapali. Polka, kokietka, nie ma ani duszy, ani krwi, ani pokocha sercem, ani

się rozpłomieni ciałem. W żadnej chwili, w żadnym stosunku z mężczyzną nie zapomnia o sobie, ani o swój próżności, bo próżność tylko jest jedyną pobudką wszystkich jej myśli i zachodów. Stroi się, pracuje, goni, wabi, zawsze na zimno i zawsze tylko dla tego, aby powiedzieć: podobałam się, zwyciężyłam!— i jutro ani myśli już o tym, któremu się podobała, dla którego wyłożyła tyle pracy i starania. Tak niczém nie okupując egoizmu, który nią rządzi, jest kokietką póty, póki nią być może, to jest póki starczy wdzięków i póki nie zostanie dewotką, mizdrzącą się tak do Pana Boga, jak się mizdrzyła do tych którzy całe życie klną jej pamięć, a o których ona dawno już zapomniała.

— Czy sądzisz— rzekł smutno Kazimierz, który stał oparty o odzwieriek, słuchoł z roztargnieniem i poglądał niepokojnie w ogród— że i Eleonora jest taką?

— Taką była od piętnastego roku życia— odpowiedział Adolf— i taką będzie póty, póki jej twarz nie zacznie błyszczyć

od mastyksów, póki bielidłem i różem nie zacznie zalepiać swych zmarszczków, a sznurami pereł zakrywać tych jam i rowów, które czas na szyi jój wyżłobi. Kiedy miała lat ośmnaście, kiedy jak róża tylko co rozwita, ciągnęła za sobą wszystkie oczy, kochaliśmy się w niej wszyscy, ilu nas tu było w wieku popisowym, to jest, od dwudziestego do pięćdziesiątego roku życia, i każdy z nas miał swój dzień, swoją godzinę, w której mógł powiedzieć sobie: ona mnie pokocha, będzie moją, będę szczęśliwym, raj na ziemi otwiera się przed oczami mojemu!— Ale gdzie tam! W parę dni radość zamieniała się w smutek, pewność w zwątpienie, nadzieja w rozpacz lub gniew... i ten, co był z przodu, szedł za front ze spuszczoneym nosem, i lub odchodził bez powrotu, lub czekał aż znowu padnie na niego promień jój oka, i w skutek jakiego kaprysu dawniejszą nadzieję obudzi. Ale żaden z nas nie wykrzesał z tego zimnego serca ani jednej iskierki uczucia, żaden nie podniósł na włos jój

pulsów, które zawsze uderzały w jedną mierze, i temperaturę jęj krwi na tym samym utrzymywały stopniu.

— A jednak oddała rękę swą Naramickiemu, i była żoną nie gorszą od innych— rzekł Kazimierz marszcząc się cokolwiek, jakby mu ta rozmowa była niemiłą.

— Zapewne— odpowiedział Adolf— Naramicki był kontent z takięj żony, pysznił się jęj pięknoscią, jak się pysznił tym pałacikiem, w którym siedzimy, tym ogrodem, który należy do najcelniejszych w okolicy, jak się pysznił swojemi powozami, które sprowadzał z Wiednia, i tą czwórką anglezów, które sprowadził z Londynu. Tacy są wszyscy synowie dorobkowiczów. Ojciec pracuje i zbiera, kocha nadewszystko złoto i cieszy się tém, że je ma i na nie patrzy. Syn znowu kocha wszystko to, co za złoto nabyć można: piękną żonę, piękny dom, piękny ekwipaż, śliczną klacz wierzchową, i cieszy się nie tém, że je ma i że na nie patrzy, ale że innym pokazać je może. Chciwość bowiem

niepohamowana ojca, w następném pokoleniu przeradza się na niepohamowaną próżność, której wymagania są równie despotyczne, jak wymagania łakomstwa i chęci zbiorów. Ztąd to oczy Naramickiego iskrzyły się takim samym ukontentowaniem, kiedy na balu żona jego wystrojona i wygorsowana ciągnęła za sobą nas wszystkich, cośmy przed nią klękali, jak wtedy gdy na jarmarku Berdyczowskim żokój jego wyjechał na tój cudnej Elfrydzie, która rzeczywiście była najpiękniejszą klaczą jaką mi się widzieć zdarzyło, i wszyscy Bałaguli klękali przed nią i całowali z uniesieniem jój grzywę i koniec jój ogona.

Kazimierz uśmiechnął się i rzekł:

— A jednak umierając, zapisał jój te oto Buchowce, w których sześćset dusz, i wszystkie ruchomości, warte z parę kroć i więcej. Musiała więc być dla niego dobrą żoną, dać mu dowód przywiązania, kiedy tym sposobem pamięć swą i wdzięczność wyraził.

—Prawda—rzekł Adolf puszcżając dymek z ust, które się do szyderskiego uśmiechu złożyły.— Ale zapomniałeś, że w tym samym testamencie była wzmianka i o Elfrydzie, że ją sprzedawać zabronił, i na jej utrzymanie aż do końca życia trzysta rubli rocznie przeznaczył. Wychodzi więc na moje. Te same przymioty i żony i klaczy wznieciły jego wdzięczność. Obie były cudnie piękne, obie zaspokajały jego próżność, bo prócz niego nikt takich nie posiadał. Że wdzięczności téj nie wznieciła w nim ani miłością, ani troskliwością o jego pokój i szczęście, ani wreszcie, takim oddaniem się, z jakim kobieta namiętna oddaje się mężczyźnie, którego chce skrępować rozkoszą jakiej nie dozna nigdzie, masz najlepszy dowód w tém, jaką była już w parę miesięcy po jego śmierci. Zimna i piękna nad podziw w téj grubéj żałobie, która ją stroiła lepiej niż inną suknią balowa, rzucała już na nas okiem wabiącym, zaciągała umiejętnie swe sieci, i wiodła znowu za sobą

taki sam orszak kochających i spodziewających się, jaki włókł się za nią wtedy gdy była panną do wzięcia, gdy była narzeczoną, którą już wiązało słowo, gdy była żoną, która krępowała przysięga. Ta tylko teraz zachodzi różnica, że do tych wdzięków i powabów, jakimi jaśniała, przybył jeszcze powabsześciuset dusz i krociowych sprzętów, klejnotów ekwipażów i t. d., o które stała się bogatszą. Przypomnijże sobie, że ty pierwszy, wróciwszy wówczas z zagranicy, wplątałeś się w te sieci, z których już tylu nas wyrwało się z dobrej woli, lub z musu, co nie jednego o chorobę przyprawił. Ale przepraszam cię, Kaziu, że tak otwarcie mówię co myślę o kobiecie, którą kochaliśmy oba, a którą ty kochasz jeszcze i więcej może niż ci się samemu zdaje, mimo przyjaźni twój dla Adama, któremu naturalnie ustąpić musisz.

— A ty nie? — rzekł Kazimierz patrząc nań przenikliwie. — A jednak jesteś tu równie częstym gościem jak i ja, i przyznaj,

że ci to równie niemiło, jak i mnie, że Adam, z którym walczyć nie możemy, tak dalece przenosi nas tém wszystkiém co kobietę ująć może, wystąpił stanowczo i wymógł na nią słowo, które niweczy nasze nadzieje.

— W tém co mówisz— odpowiedział Adolf— mylisz się tak dobrze, jak i Szambelan, który mnie także posądza o resztki płomieni co już wygasły. Bywam tu często, to prawda, lubię na nią patrzeć, bo komuż niemiło przypatrywać się cudnemu dziełu natury, stworzonemu w chwili natchnienia i urobionemu *con amore*. Ale dla mnie jest raczej studyum psychologiczne niż cel życia. Bo nie jestże to rzecz ciekawa interesująca, przypatrując się temu co się tu dzieje, kombinować, jak się to drama skończyć może; drama, do którego wchodzi takie osoby jak ona, taki szumer jak Szambelan, taki rywal jak Karolek, który włazi w drogę takiemu lwu jak Adam, który przy całej namiętności co go ogarnęła, nie może

nie widzieć tego trybu życia, jaki się tu prowadzi.

— Ach—zawołał Kazimierz siadając i mimowolnie zasmucony.— Dałbym nie wiem co, żeby była choć trochę roztropniejsza, żeby się tak umyślnie nie kompromitowała, żeby choć trochę staranniej zachowywała te formy przyzwoitości, jakich społeczność wymaga po kobiecie pięknej, młodej i wolnej.

— Cóż bo to za urządzenie domu!— rzekł Adolf śmiejąc się i ruszając ramionami— Ma wszystko, mieszka wspaniale, żyje wystawnie, stroi się najpowabniej w świecie. I dla kogóż to? Sąsiadki u niej nie bywają, chyba która plotkarka przyjedzie wyszpiegować co się tu dzieje; sama rzadko gdzie bywa, bo jej zazdroszczą, bo ją kwaśno przyjmują matki i żony, pod pretekstem niebezpieczeństwa dla córek i mężów, a właściwie dla tego, że gdzie się pokaże, każda inna gaśnie, że pięknnością i rozmową, strojem i ułożeniem przenosi wszystkie, i wszystkie nasze hoł-

dy dla siebie zabiera. Więc dom zawsze pełny mężczyzn, którym tu dobrze i swobodnie, a żadna poważniejsza kobieta, którejby przecie mogła dać utrzymanie, nad nią nie czuwa i obecnością swą nieustanną i przenikliwą nie broni jej reputacyi od tych wszystkich dewotek i retretowych grzesznic, którym tak miło miażdżyć cudze imię i honor, zwłaszcza wtedy, gdy już wszystkie odpytowały pacierze i nie wiedzą co zrobić z językiem, który koniecznie coś mląć potrzebuje.

— Jestci tu przecie Szambelan—rzekł Kazimierz, któryby chciał czémkolwiek zbić te zarzuty, chociaż czuł dobrze ich słuszność.

— Czy ty nie wiesz — odpowiedział Adolf— co jest Szambelan? czy nie znasz natury wszystkich starych rezydentów, którym więcéj zawsze idzie o własne utrzymanie i wygodki, jak o honor i reputacyą tych, co ich utrzymują i karmią. Przez kilkanaście lat, które przebył w Petersburgu, o czém zapomnieć nie może, stra-

cił on nie mało grosza tych wszystkich głupców, którzy mu interesa swe powie-
rzali; przehulał resztę niewielkiej fortun-
ki, jaką miał; a przywykły do dobrego
życia, dziękuje teraz Panu Bogu, że zna-
lazł u téj krewnej swój przytułek i do-
statnie potrzeb swych opatrzenie. Jakże
chcesz, żeby z nią wojował, żeby jęj za-
wadzał, kiedy ona go za nos wodzi tak
dobrze jak i innych; kiedy on woli pa-
trzyć przez palce na to życie, choćby
szczerze pragnął aby było inne, niż stanow-
czem wystąpieniem narazić się na to, że-
by mu drzwi przed nosem zamknęła i wy-
prawiła pod kościół wyciągać rękę, bo
nie innego robić już nie może i nie po-
trafi. Czyżby np. kobiéta przenikliwa,
któraby była na miejscu Szambelana, po-
zwoliła na tak długie sam na sam, w tym
pawilioniku, gdzie wszystko zachęca do
grzechu? A Szambelan poszedł sobie spo-
kojnie do swego pokoju, zakrapia i prze-
ciéra tabaczkę, lub popija wodę poma-
rańczową, dla oddalenia téj alteracyi,

jaka mu żartami mojemi dałem... A! zły to będzie koniec, kochany Kaziu, bo co nadto, to nadto.

Kazimierz porwał się z miejsca, przeszedł się parę razy po pokoju, a potem pościągawszy z gniewnym giestem swe wąsy, stanął przed Adolfem, który z uśmiechem śledził jego ruchy, i zapytał:

— Kiedy Adam powraca z Kijowa?

— Spodziewają się go za dwa lub trzy tygodnie—odpowiedział Adolf.

— To jednak dziwna rzecz—dodał Kazimierz z żywością i zadziwieniem—Adam zna ją zapewne tak, jak i my ją znamy, i pokochał ją z całą siłą swęj duszy ognistęj i gwałtownęj, i dla nięj odstąpił Panny Tekli Łęgowskięj, twojęj pięknej kuzynki, prawie równie pięknej jak ta, równie kształtnęj i edukowanęj, a tak różnej od nięj łagodnością, dobrocią, sercem skromném i kochającém.

— Zapewne,— odpowiedział Adolf—Rzecz to i dla mnie niepojęta. Trzeba szczególniejszego obłąkania, żeby zranic

tak głęboko takie serce jak serce Tekluni, które starał się ująć i wiedział o tém, że swego dokazał; a potém uklęknąć przed tą Galateą, piękną ale marmurową, której jeszcze żaden Pigmalion nie ożywił i z piedestalu nie ściągnął.

— Musi ona dla niego być nie taką, jaką jest dla nas — rzekł Kazimierz — jaką ją kreślisz, i jaką, niestety! i ja ją widzę, kiedy potrafiła odwrócić oczy i serce człowieka z rozumem i doświadczeniem od tamtój, i skłonić go do czynności nawet nieuczciwój i kompromitującój jego sumienie. Nikt mi nie wyperswaduje, aby Adama pociągnęło to, że Eleonora trzy razy bogatsza od twojój biednej kuzynki. On, co ma parękroć dochodu co ma o trzy mile ztąd Mirów i w nim rezydencyę, jakiej nikt nie ma od Wiszniowca do Jarmoliniec, chciałżeby na ręce swe nakładać kajdany, choćby nawet złote i wysadzane brylantami, któreby go przykuły do posagu, przy którym serce jego, pełne siły i ognia, ogrzać by się nie mogło. Nie,

to być nie może, jest w tém coś innego; musi on w niej więcej widzieć lub przeczuwać, niż my w niej dojrzyć możemy.

— Więcej jest rzeczy na ziemi i niebie, niżeli się śniło naszym filozofom!— rzekł Adolf z komiczną powagą.— Słowa to są genialne sto razy już powtórzone, i które jeszcze w stu dwudziestu pięciu okolicznościach zastosować się dadzą i powtarzać się będą. Ale dajmy już temu pokój— dodał stawiając fajkę i wyciągając się powstawszy.— Pójdźmy lepiej przejść się, a potem w półzartem, w półseryo przerwijmy to sam na sam, które jest i ubliżeniem nam, jako gościom, i cierniem w sercu także nam, jako dymisyonowanym kochankom.

To powiedziawszy, wziął pod rękę towarzysza, który źle taił uczucia jakie go przejmowały, i poszli oba do ogródu, gdzie wkrótce znikli w zakręcie alei.

Zaledwie Adolf i Kazimierz wyszli, na dziedzińcu dał się słyszeć turkot powo-

zu, i wkrótce do tego samego pokoju, gdzie powyższa toczyła się rozmowa, wszedł Szambelan, a za nim mężczyzna uderzający postawą i wyrazem twarzy. Miał on już trzydzieści kilka lat, był słuszny, kształtny, okazujący w ruchach i spójrzeniu siłę ciała i śmiałość serca. Czoło białe i wysokie pokrywały na bok przyczesane włosy ciemne i gęste, twarz ogorzałą i rysy pełne znaczenia zdobił wąs bujny i starannie ułożony; strój jego był czarny, opięty, ale okazywał elegancję bez pretensyi i przesady. Nic na nim nie błyszczało, nic nie wyskakiwało, a ze wszystkiego było widać, że to pan, który nie potrzebuje żadną błyskotką objawiać swego majątku, swego towarzyskiego położenia, i téj znajomości świata, wśród którego wyrósł i wychował się. Był to ów p. Adam Mirowiecki, narzeczony Eleonory, o którym tyle już mówili ci, co przed chwilą salonik ten zajmowali, i który przybył daleko prędzej niż go się spodziewano.

—Nie oczekiwaliście mnie widzę tak prędko—rzekł głosem basowym i męzkim, marszcząc przytém brwi na widok zielonego stołu, rozrzuconych kart i fajek.—Zawsze to samo, choć prosiłem, aby nie pozwałała ze swego buduaru robić kordygardy. Graliście tu w karty, paliliście fajki, brakuje tylko powywracanych butelek i potłuczonych kieliszków, aby każdy, ktoby tu wszedł powiedział, że to jest pokój Bałaguły, który tylko co zsiadł z tatarskiego konia, cisnął w kąć kańczuk i zrzucił z siebie kożuszek, w którym uganiał po placu Berdyczowskim. Więc to prawda, Szambelanie, co tu mam w kilku listach bez podpisu, którém odbierał w Kijowie? Dla tych doniesień porzuciłem interesa i przyleciałem tu bez tchu, aby się przekonać, ile złość i zazdrość dodała do téj płochości, którą znam, której jednak nieuląkłem się, sądząc, że moja ręka i moja miłość warte przecież jakiejs ofiary i zmieniają nałogi złego wychowania, które mi się nie zdawały być narowami ser-

ca. Ale widzę, że się oszukał—dodał z bolem i rzucając się na krzesło.

Szambelan uderzył się prędko po tyścinie, zasunął brodę w halsztuch i siadając, odpowiedział zaambarasowany.

—Jest to nieszczęście, któremu zapobiedz nie mogłem. Perswazyj nie słucha, na prośby nie zważa, a z groźb śmieje się tak, że trzeba tylko ruszyć ramionami i dać pokój. Nie wątpisz o tém, żebym chciał z serca aby była in-szą, aby była uważniejszą, aby się oglądała na przyzwoitość. Ale słowa moje idą na wiatr i odpadają od niej, jak groch od ściany. Ona mi odpowiada, że in-szą być nie może, tylko taką, jaką ją Pan Bóg stworzył, i że nic w tém złego nie widzi, że się bawi komplementami i nadskakiwaniem tych, którzy bardzo dobrze wiedzą czego się mogą spodziewać i co od niej otrzymają. Dla miłości bab, co mię ogadują, powiada, dla dogodzenia tym wszystkim plotkarkom, co mi zazdroszczą młodości i hołdów,

nie myślę się poddawać niewoli i żenować w słowach i czynnościach. A gdy tamtym wolno kłamać cnotę przed Bogiem i ludźmi, to i mnie wolno kłamać grzech i kompromitować się przed niemi, aby miały o czém gadać i cudzemi winami zamydlać oczy ludziom tak aby ich własnych niewidzieli.

—Choćby tak było—rzekł p. Adam z mocą—czyż nie ma ludzi uczciwych, których opinię należy szanować? czy nie ma kobiet zacnych i dobrych, o których szacunek młoda osoba w jój położeniu starać się powinna, i które także muszą sądzić z pozorów? czy nie ma wreszcie mnie, który ją kocham, może za karę za moje dawniejsze grzechy, ale koniec końców kocham tak, że pokój całego życia oddaję za szczęście posiadania jój? Ja także muszę sądzić z pozorów i zrazić się niemi mogę, i dla tego prosiłem aby je usunąć. Zdaje mi się, że na prośbę i słuszne wymagania moje, należało mieć wzgląd i nie narażać mnie na to, abym

się awanturował z chłystkami, którzy się dają durzyć jój wejrzeniem i uśmiechem. Widać, że mię albo nie zna, albo nieszacuje, albo nie chce, kiedy tak lekko waży mój pokój i moją miłość, którą utracić może. Bo jużci ja nie jestem—dodał podnosząc się z gniewem—ani świętym, którego cierpliwość nie miałaby granic, ani tak jasnowidzącym, abym przez łupinę złych pozorów widział ziarnko zdrowe i nie zepsute, ani takim głupcem, jak Narumicki, abym się pysznił tém, że moja żona piękniejsza od wszystkich, choć dziesięciu błaznów obiecuje sobie od niój to, co ja otrzymuję tylko w skutek obowiązku, który jój ciąży. Do milion set diabłów! kobiéta, którą ja kocham, musi tylko mnie kochać, a wszyscy szanować ją powinni; kobiéta, którą ja nazywam moją, powinna być moją duszą i ciałem, bo ja nie dla spółki, pozornej lub rzeczywistój, stawiam na tę kartę całe życie i jego pokój. Motyantów cierpieć nie mogę w niczém. Grywam zaw-

sze sam i dla siebie tylko, a kto ośmiela się po moją stawkę wyciągać palce, ten powinien wiedzieć o tém, że się z niemi nie obaczy więcej.

Tak mówiąc z gwałtownością i bolem, zaczął się przechadzać po pokoju, męcząc swe wąsy, lub zagartując na bok bujne swe włosy. Tymczasem Szambelan zanurzał się coraz głębiej w halsztuch, ledziutko parę razy uderzył się po łysinie i zaciskał pod pachę chustkę, której wydobyć nie śmiał. Przychodziło mu na myśl powiedzieć coś, że widział podobne zdarzenia jak był w Peterburgu, ale język mu jakoś nie służył, i zwykła mówność odbiegła go w obec gniewnego oblicza człowieka, którego się bał i którego lada czém zbyć nie spodziewał się. Po niejakim czasie p. Adam stanął przed nim i patrząc mu bystro w oczy, zapytał:

—Któż tu teraz u niej najczęściej bywa? Z poważnych i zacnych kobiet zapewne żadna?

—Tak, prawie żadna—odpowiedział spuszczając oczy Szambelan—pani Marszałkowa Znońska przyjechała tu raz, ale zastawszy kilkunastu mężczyzn, którzy otaczali Eleonorę, zabawiła kwadrans i wyjechała.

P. Adam targnął się za wąsy, odwrócił się i zrobiwszy parę kroków, wykreślił się raptem do Szambelana i zapytał:

—I którzyż to byli?

—Oh! wszystkich ci nie wyliczę—mówił stary.—Znasz cały ten orszak mniemanych jój adoratorów, z których ona sobie drwi, a którzy także podobno więcej wielbią, jój kuchnię, jój piwnicę i jój stajnię, jak ją samą! Ale był, ile sobie przypominam, Rudlicki, Piaskowski, Okalewski, Mokrzewski, Groblica, Strobiński i Karolek Jaratoński.

—I oni, od czasu mojego wyjazdu—mówił p. Adam—są tu codziennymi jój gośćmi i pozwalają sobie w jój buduarze w karty grać i fajki palić! Niektórzy nawet zostają na noc!

Szambelan milczał, zasuwiał brodę w halsztuch i szukał chustki, która tkwiła mu pod pachą. p. Adam przystąpił bliżej, położył rękę na jego ramieniu, potrząsał nim tak że stary zadrżał, i dodał mocniej:

—Nie oszczędzaj mię Szambelanie. Obowiązałeś się nad nią czuwać, i masz sto powodów pełnić ten obowiązek gorliwie i śmiało. Wiem że tego nie robisz. To nieuczciwie i niesumiennie. Dajże mi przynajmniej teraz prawdę, i daj ją całkowitą, bez bawelny.

—Uspokój-no się—rzekł wreszcie Szambelan—bo tu w rzeczy samej nie ma nic tak złego, jak ci się zdaje.

—Mam tu czarno na białem—zawołał p. Adam gwałtownie, wydobywając z kieszeni surduta plik listów oskarżających—że jest więcej złego, niż mogłem się kiedykolwiek spodziewać.

—Masz plotki i pozory—mówił Szambelan ośmielając się.—Złe jest, ale nie takie, jak myślisz. Bo choć miłość ma

zawiazane oczy, ale patrzy oczami stracha, który zawsze przy niej stoi, a ma je wielkie jak cebule. Ci Ichmość codziennymi jej gośćmi nie są a choćby i byli, toby uszkodzili więcej jej spizarnią, jak twój honor, bo jedzą huncwoty za trzech każdy. Jakem był w Peterburgu, tom mało takich obzartuchów widział jak oni. Najczęstszymi jej gośćmi są: Groblica i Strobiński, którzy i dziś są i których się nie boisz, bo jeden jak wiesz dobrze, jest to ptak który żartuje sobie ze wszystkich jej sideł i złapać się nie da, a drugi, choćby może i dał się złapać, ale ma dla ciebie przyjaźń, jak mówi, a w gruncie boi się ciebie i pewnie w drogę ci nie wlezie. Ciągłym zaś jej gościem jest jej kuzynek Karolek, chłopaczek prawdziwie śliczny, ale czyż taki malec może ją kompromitować i ciebie niepokoić?

—Karolek, kuzynek!— rzekł p. Adam trąc czoło.—Kuzynostwo, to wygodny płaszczyk! Takie kobiety nie patrzą na metrykę, i lubią kończyć edukację stu-

dentów. Piszą mi o tém wiele, a kto i z kąd, nie wiem. Musi więc to być rzecz głośna i jawna, kiedy zewsząd ciskają mi w oczy przestrogi, jak mazgajowi, który sam patrzeć nie umie i w swojej kniei lada smarkaczom pukać pozwala. I ja—dodał z uczuciem bolesném—mogłem utopić tu serce i rozum? mogłem pokochać istotę, której w gruncie duszy nie mogę szacować? mogłem dla takiej kobiety, bez uczucia i wstydlivosti, która jest koroną wdzięków, zapomnieć o tój, przed której nogami proch zamiętać bym powinien. Jest coś; co nademną wisi, co mię popycha w kałużę, którą widzę i której obejść nie mogę; jest jakaś Nemezys, co stoi przy moim boku, i mszcząc się może za to tylko, że mi natura i los dały więcej niż innym, w stanowczej chwili odbiera mi to, co ma każdy najpospolitszy człowiek... zdrowe oczy i prosty, chłopski rozum. Do wszystkich diabłów! tak być nie może. Trzeba to raz skończyć. Gdzie ona?

—Musi być w pawiloniku, dokąd poszła przed godzinką—odpowiedział Szambelan, podnosząc nań strwożone oczy.

—Tam więc, gdzie ją pierwszy raz obaczył—mówił Adam, jakby sam do siebie—tam, gdzie ją pierwszy raz powiedział że ją kocham, gdzie mię otoczyła wszystkimi czarami swych powabów i dała słowo, że będzie moja; tam może... ale co ma być będzie. Obaczmy. Może tam właśnie odzyskam, com tak po głupiemu utracił.

I porwawszy za kapelusz, wybiegł z salonu, nie oglądając się na Szambelana, który i ciekawy i niespokojny jak się to skończy, powstał z miejsca i podréptał za nim...

Ów pawilonik, do którego się wszyscy udali, stał w najpiękniejszym i najcichszym miejscu ogrodu, miał przed sobą gazon, zielony jak axamit i ozdobiony kilku luźnymi drzewami, a z trzech stron pozostałych gęste kląby, obsadzone po brzegach kwiatami tak dobranymi, że

gdy jedne odkwitały, inne rozwijały się, bawiąc oko rozmaitością barw i zaprawiając powietrze balsamem najmiłszej woni. Cichość tam panowała zupełna; jedna tylko doprowadzała do niego ścieżka, i ta zasłonięta i zakryta była tak, że można było dojść pod same drzwi, nie będąc widzianym i słyszonym, ani od spacerujących po ogrodzie, ani od tych, którzy wewnątrz rozmawiali. Sam pawilonik składał się z trzech pokojów letnich, z jednem wyjściem przez pokój średni, największy, prowadzący wprost, bez żadnej sieni, na rodzaj wystawy o kilku schodkach, ubranéj w wazony z najrzadszych roślin i najpiękniejszych kwiatów. Wewnątrz pokoje te, a szczególniej średni, ozdobione były z przepychem i gustem, zawieszono wielkimi zwierciadłami, ożywione przesłicznemi sztuchami, gdzie wszystko mówiło o miłości i uciechach życia. Stąpało się tam po miękkich kobiercach, a każdy mebel, oznaczający dostatek, zachęcał do

odpoczynku, rozmiękczał niejako serce, tak był wygodny i pociągający przez formę swą, wysłanie i obicie. Było to ulubione miejsce Eleonory, arena jęj tryumfów, gdzie zwykle przebywała godziny poobiednie w lecie, gdzie zwykle prowadziła tych, których głowę chciała odurzyć do reszty, i rozmarzyć ją nadziejami, których nigdy ziścić nie myślała. Tam był jęj fortepian, tam miała szafki i stoliki z książkami, których nie czytała i z rozmaitemi robotami, które wszystkie pozaczynane przez jęj sługi, nieraz trzymane w ręku dla kontenansu, bardzo mało, lub wcale nic nie awansowały.

Właśnie teraz w tym średnim pokoju, od którego wielkie drzwi parapetowe przez pół otwarte były na wystawę, w lekkiej i powabnej sukni, odkrywającej gors, obnażającej jęj prześliczne ramiona, z głową ubraną w kwiaty i utrefioną nakształt głów starożytnych marmurów, w czém szła na przekor ówczesnej modzie a wyprzedzi-

ła dzisiejszą; siedziała ona na miękiej sofie, trzymając w ręku kanwę, której kratki niby starannie liczyła. Z prawej jej strony stał stoliczek, na którym było mnóstwo kłębuszków i moteczków z kolorową wełną, wzorów do haftu i tym podobnych drobiazgów; z lewej na niskim taburecie siedział Karol, wsparty jednym ramieniem na sofie, drugą ręką starał się przeszkodzić jej w rachunku, a tym sprzeciwianiem się dotykał różowych paluszków i patrzył z zachwyceniem na jej twarz, którą ocieniały długie ciemne rzęsy, zakrywające błękitne oko na kanwę spuszczone. Po niejakiem czasie rzekł:

—Przeklinam wynalazcę téj nieznośnej roboty.

—Za co?—zapytała Eleonora z uśmiechem, nie przestając rachować i nie patrząc nań wcale.

—Za to—mówił rozkochany młodzieniec—że nam odbiera promienie waszego oka, że nam nie daje dotknąć waszej ręki uzbrojonej igłą, że was zmusza racho-

wać, i zamiast słodkiego słowa, coby napełniło duszę, kładzie na język wasz liczby, które zawsze i wszędzie zabijają uczucie.

— Patrzcie, czy to nie są kwiaty?— rzekła, rozkładając przed nim robotę swą i spojrzawszy mu w oczy tak, że młodzieniec zdrzął w głębi serca— czyż kwiaty nie są dziećmi wiosny, czy wiosna nie jest porą miłości dla całej natury, czy kobieta, której wzrok wyteża się w te kształty i barwy, której ręka urabia to, co najpiękniejszego jest na ziemi, może wtedy myśleć o czém inném jak o miłości, która jest najpiękniejszym kwiatem życia?

— O! gdyby to tak było!— odpowiedział z zapałem młodzieniec biorąc jej rękę, której mu nie bronila— toby te myśli z twojej głowy przesiąknęły do twego serca, przyspieszyłyby jego uderzenia, których nie słyszę, odbiłyby się w twoich oczach, gdzie ich nie widzę, rozgrzałyby tę rękę, która zimno leży w moich dłoniach, i słodkiem ściśnięciem nie mówi mi, że ty myślisz o mi-

łości, że jój doznajesz, że mnie kochasz. Nie, nie, ty mnie nie kochasz, Eleonoro! to nie prawda.

—A któż cię upewniał, że to prawda?—odpowiedziała, nachylając się ku niemu z kokieteryą i poprawiając drugą ręką jego włosy.—Tobie się chce gwiazdki z nieba, a ja jój dostać nie mogę i dać dziecku, które się napiera. Gdybyś miał rozum, tobyś nie żądał tego, czego mieć nie możesz, a przestałbyś na tém, co masz, i co, jak myślę, jest bardzo wiele. Ale o rozum, p. Karolu, trudniój jak o wasy, które w swoim czasie przyjdą, a rozum może wcale nie przyjść, i mój kochany kuzynek wiecznie będzie dzieckiem, które nie dziś to jutro będę musiała w kąciку postawić.

—O tak!—zawołał Karol. chwytając jój rękę i okrywając ją pocałowaniem—będę wiecznie dzieckiem, jakiem dziś jestem, bo cię zawsze i wiecznie kochać będę, jak kocham dziś, dziś, i zapewne jak dziś daremnie. Gdybym wiedział przy-

najmniej, że cierpliwością i czekaniem wyczekam sobie to niebo, do którego tęsknię, a co gorsza gdybym miał czas czekać!

—Gdybyś miał czas? a wieleż to lat liczysz sobie mój sędziwy kuzynku?—zapytała go śmiejąc się i kładąc delikatnie paluszki pod jego brodę, podniosła jego twarz, żeby mu się lepiej przypatrzyć.

—Czyż tu idzie o moje lata? o mój wiek?—odpowiedział, zatapiając wzrok swój w jej oczach.

—A o czyjże? o mój?—przerwała mu prędko—Czy sądzisz, że to ja będę wkrótce tak starą i tak zbrzydłą, że nie warto będzie czekać na to niebo, do którego tęsknisz?

—Nie dasz mi skończyć, nie chcesz mię rozumieć—zawołał zniecierpliwiony młodzieniec—tu idzie o to, że ledwie parę tygodni zostaje mi czasu, nie tylko mnie, ale i tobie; że Adam przyjedzie, będzie jak smok czuwał nad swoim skarbem, a wtedy stracę i tę odrobinę swo-

body, jaką mam; wtedy nie będę mógł nawet dotknąć twój ręki, żeby nie pomyślał...

—Co? że ja przenoszę ciebie nad niego?—przerwała mu takim tonem, że młody człowiek uczuł się obrażonym, odsunął się od niej i powstawszy, rzekł:

—O! zapewne, masz wiele powodów przenosić go nademnie. To pan całą gębą, który na rozkazy twe może wielką dysponować fortuną, i to ci się uśmiecha, choć masz sama wiele, bo czyż dla was jest kiedykolwiek dość; to barczysty atleta, z silnem ramieniem, na którego wejrzenie i głos zadrży każdy, którego olśnisz okiem i uśmiechem, i to cię témbardziej podniecać będzie do wabienia ku sobie, im na większe niebezpieczeństwo narazisz tych, co się złapać dadzą, bo to was bawi; to znany uwodziciel, dla którego nie jedna zapomniała się kobieta, w którym się tyle kochało, i to pochlebia twojej miłości własnej, żeś go przykuła do swego wozu i odebrała tym

wszystkim rywalkom, któreby ci go od-
 jąć chciały, choćby kosztem wiary mał-
 żeńskiej i ofiarą cnoty dziewiczej. Bo-
 ście wy wszystkie takie. Tego rodzaju
 reputacya odurza was, skłanianie głowy
 przed zakotarowym bohaterem, choć mo-
 że brudnym i niesumiennym, i zwycię-
 ztwo nad tym, którego imie rozniosło
 się między wami, więcej ma dla was po-
 wabu, niż miłość prawdziwa i gorąca,
 która ogarnia was ze czcią, pierwszém
 tchnieniem czystego i niezucytego serca.

—Gdzieś ty się tego wszystkiego na-
 uczył, Karolku!—rzekła Eleonora patrząc
 nań niby z podziwieniem.—Doprawdy,
 to mądrość nad lata, to znajomość serca
 kobiecego bardzo zadziwiająca. I wiesz
 co mi na myśl przychodzi?

—Co?—zapytał Karol przystępując i
 przyciągniiony jęj wzrokiem jak magnesem.

—Siądźno tu, to ci powiem—odpo-
 wiedziała, ukazując mu miejsce na tabu-
 reciku przy nogach swoich. Gdy mło-
 dzieniec usiadł, ona wsparła lewą rękę

na jego ramieniu, a palcami prawej wiodząc delikatnie po jego twarzy, dodała:— Gdyby nie ten rumieniec tak czerstwy i zdrowy na twojej pięknej twarzy, gdyby nie ten wzrok tak pełen czystych promieni, które biją z twoich ślicznych oczów, tobym pomyślała, żeś się kształcił nie u tych profesorów Uniwersytetu, zeschęłych nad teorią, ale u jakiejś biegłej profesorki, która cię praktycznie uczyła życia i dała doświadczenie, jakiego nikt jeszcze na ławkach szkolnych nie nabył.

Młodzieniec, zakłęty niejako jej wzrokiem i dotknięciem, milczał, a ona uśmiechnąwszy się mile, jakby chcąc ożłocić pigułkę, jaką mu podać miała, mówiła dalej:

—Ale widzisz, kuzynku, ty, jak wszyscy studenci filozofowie, znasz regułę, ale nieznasz jej wyjątków. Tymczasem, równie w grammatyce, jak w sercu kobiety, wyjątków jest więcej niż prawideł,

i często w nich ważniejsze i ciekawsze, jak w regule samój, zamykają się fenomena. Są prawda i takie kobiety, które dla powodów, jakieś wymienił, przeniosłyby Adama nad ciebie, ale taką nie jestem ja. Życie moje mało co dłuższe od twego, ale natura daje nam prędszą dojrzałość i wzrok przenikliwszy, niż go wy macie. Przytém los i serce tylu mężczyzn było w moiém ręku, że m się nauczyła poznawać się na waszój prawdziwej wartości. Jak dobry jubiler za pierwszym rzutem oka rozróżni brylant od szkiełka, nawet umiejętnie wyszlifowanego, tak i ja widzę od razu, który z was błyszczy tylko fałszywym blaskiem, a który świeci ogniem wewnętrznym, co nigdy nie gaśnie, i jest w nim, a nie w oprawie która go otacza. Bawiłam ja się dotąd i szkiełkami, póki był czas zabawy i igraszek; ale gdy przychodzi pora, że trzeba seryo wystąpić na wielką ucztę życia, muszę się ustroić w brylant, prawdziwy aby świecił jasno i trwale, aby

blask jego padał i na mnie i rozproszył te cienie, jakie przeszłe moje postępowanie rzuciło na moje czoło, ty wiesz najlepiej, że czyste, ale na którym ludziom podobało się widzieć płamy, jakich tam nie ma. Rozumiesz mię kuzynku! i pojmujesz teraz, dla czego przenoszę Adama nad ciebie, i nad wszystkich których skinienie moje skłoniłoby do mych nóg, gdybym tę fatygę zadać sobie chciała. Nie dla tego więc wybrałam go, że pan, bo i ja mam więcej niż mi trzeba; nie dla tego, że go inne kochały, bo one wszystkie nie są warte abym z nimi występowała do walki; ale dla tego, że Adam to prawdziwy mężczyzna, w całym znaczeniu tego pięknego wyrazu; że kobieta płocha i słaba może śmiało wesprzeć się na jego ramieniu; że może iść obok niego z podniesionym czołem, pewna, że każdy uchyli głowę przed tą, przed którą on uchyła swoją, a nikt nie odważy się podnieść tej zasłony, jaką on na jej przeszłość zarzucił.

—Więc ty go kochasz!—zawołał młody człowiek z boleścią.

—Ja go szanuję— odpowiedziała Eleonora z wyrazem przekonania— a może i boję się, co mi potrzebne. Nadewszystko zaś wdzięczną mu jestem, że stanął przedemną z ofiarą serca i ręki w tej chwili, gdy mi przyszła reflexya, że życie dłużej trwa niż powaby ciała, że ci sami wielbiciele, którzy leżeli u nóg pięknej kobiety, odwrócają się z pogardą od stariej kokiety z ubieloną twarzą i z wprawionemi zębami.

—Czemże ja jestem w twoich oczach? i co mi się od ciebie dostanie, mnie, który cię kocham i przychodzę także do ciebie z ofiarą serca i ręki— rzekł prawie ze łzami Karolek, klękając przed nią, obejmując jej kibić i zbliżając twarz swą do jej twarzy.

—Ty Karolku!— odpowiedziała wówczas słodko, i kładąc dłoń na jego czoło— ty jesteś śliczny dzieciak, który będzie mężczyzną wtedy, kiedy, już ja będę

dę starą. Ty, nim urośniesz na obrońcę i opiekuna téj piękności, która teraz jeszcze bawi się lalką, odemnie żądaj tylko przywiązania krewnéj, rad przyjaciółki i karesów macierzyńskich, których ci nigdy nie odmówię, nawet w obec tego, któremu się oddam szczerze i bezwarunkowo, i który wiedzieć o tém będzie, czém dla mnie byłeś.

I to mówiąc, schyliła się jeszcze mocniej ku jego twarzy, dotykając ustami jego czoła i zdejmując łzy, które z ocz jego płynęły. W téjże chwili dał się słyszeć śmiech głośny i przenikający na wystawie pawilonu. I gdy Eleonora zmieszana podniosła głowę, a Karol porwał się przerażony, we drzwiach otwartych stanął p. Adam, blady i z zaciśniętymi ustami, a za nim z szyderskim uśmiechem Adolf, trochę dalej Kazimierz z wyrazem zmartwienia, i Szambelan z wytrzeszczonemi oczami i brodą zasuniętą zupełnie w halsztuch. Uzuła ona od razu, jak fałszywém jest jéj położenie,

zmiarkowała to, że Adam, który mógł jej słów niedosłyszeć, nie mógł sobie na jej korzyść wytłómaczyć karesu który widział, a którym ona chciała ból zawiedzionego młodzieniaszka złagodzić. Nie tracąc więc przytomności, powstała z uśmiechem i idąc ku niemu z wyciągniętą ręką, rzekła:

—Adamie! tak niespodziewanie przybyłeś?

—Niespodziewanie i nie w porę—odpowiedział postąpiwszy parę kroków i mocując się z gniewem, który go ogarniał.—Nie moja to jednak wina, ale tych Panów, którzy jako codzienni goście, znają lepiej tryb domu pani, a nie ostrzegli mnie, że pani tu zajęta jesteś lekcją z tym malcem, który widać musiał się dobrze popisać, kiedy na taką nagrodę zasłużył.

—Co to jest?—krzyknął zaperzony Karol, w uniesieniu swém nie zważając na kogo się porywa—pan się zapominasz i względem mnie i względem téj, której

ja w obecności mojej krzywdzić nie pozwolę, choćbym to miał życiem zapłacić.

—Cicho smarkaczu!— zawołał pan Adam groźnie, ale zimno— bo ci każę kłęczyć; a jak ja ci zegnę kolana, to je nie prędko wyprostujesz.

—Zuchwalcze!— odezwał się Karol, pomknąwszy się i podnosząc rękę. Eleonora stanęła między nimi i zawołała:

—Panie Karolu! ani słowa więcej, zabraniam ci to w imieniu matki— a zwracając się do p. Adama, dodała z ironią i dumą, pokrywając głęboką obrazę: —A pan, panie Adamie, nie rozśmieszaj świadków téj niedorzecznej sceny odgrywaniem roli męża, do której może nie przyjsć wcale.

—Ja też do tego honoru nie mam żadnej pretensyi— odpowiedział przystępując bliżej i wydobywając plik listów, który trzymał w drżącej od wzruszenia ręce. —Chciałem tylko ostrzedz panią, że edukacya tego rodzaju nie robi się przy

drzwiach otwartych, gdzie może stanąć niespodziewanie niedyskretny głupiec, taki jak ja, i przerwać w chwili najbardziej interesującej.

—Musisz pan być po dobrej butelce, bo to co mówisz trąci karczmą. Nie przywykłam jeszcze do takiego rodzaju walki, gdzie orężem jest grubijaństwo. Ustępuję więc z placu, który panu zostawiam. Proszę się usunąć!— krzyknęła z mocą i dumą, pomykając się ku drzwiom.

—Za pozwoleniem— rzekł pan Adam blednąc od wściekłości i zatrzymując ją.
—Nie pani ztąd wyjdiesz, ale ja. Pani kończ lekcję, którąś tak gorliwie rozpoczęła. A jak ci się sprzykrzy i uczeń ustanie na siłach, odczytaj sobie tę kronikę okoliczną, w której figurujecie oboje, i którą ja chciałem sprawdzić.... i sprawdziłem.

To powiedziawszy, rzucił jęj pod nogi plik ów, który w rękę trzymał, wyszedł prędko, i zatrzasnąwszy za sobą drzwi od pawilonu, w którym została tylko ona i

Karol, ogłuszony i prawie nieprzytomny sobie, zamknął ich na klucz, który schował do kieszeni. Potém wzięwszy pod rękę Adolfa i Kazimierza, poszedł z nimi nie oglądając się na to miejsce, gdzie zostawił kobietę płochą i niebaczną, którą kochał i którą tak boleśnie zranił właśnie w téj chwili, gdy na to mniej niż kiedykolwiek zasługiwała.

Eleonora usiadła na fotelu, który był najbliższy, wsparła głowę na rękę i pomyślawszy przez chwilę, rzekła do stojącego bez ruchu młodzieńca :

—Otwórz i idź sobie.

—Takaż to moja nagroda?— zawołał z bolem Karolek.

—Za cóż oczekujesz innéj?— odpowiedziała zimno i jakby ze wstrętem. —Czy za to, żeś mnie natręctwem swém naraził na głupią scenę, którą rozniosą po okolicy, którą upstrzą poniżającými mnie przydatkami, którą fantazyja kobiet, gorszych odemnie a w płaszczyku cnoty przyczajonych, uhaftuje tak, że do domu

mego drogi zarosną, a każdy przejeżdżając mimo odwracać się będzie, jakby czytał na nim hańbiący go napis?

—Dla czegoż odrzucasz moje serce, które mimo to wszystko kocha cię!— rzekł młody człowiek z zapalem i roziskrzonemi oczami— dla czego odrzucasz moją rękę, którą ci daję, i która potrafi upokorzyć każdego śmiałka, co na ciebie spojrzy nie tak, jak powinien patrzeć na kobietę godną szacunku i miłości?

—I który ci każe klęczyć, jeśli się za mną ujmiesz!— odpowiedziała z szyderstwem i gorzkim uśmiechem.

—A czyjaż to wina? czy nie twoja?— zawołał z boleścią, — Czemuś mi nie pozwoliła zapłacić mu policzkiem za imperzynę, której mu nie daruję i przekonam zuchwalca, że na to nie trzeba trzydziestu lat, aby obronić honor swój i honor téj którą się kocha.

—Ja ci jeszcze raz zabraniam, żebyś się nie ważył wznawiać téj sprawy i nasu-

wać mu się na oczy — mówiła stanowczo i z mocą.

—Dla tego, że się o niego boisz, że go kochasz, niewdzięczna i niebaczna kobieto!— odpowiedział Karol ze łzą w oku.

—Dla tego, że szanuję twoją matkę, że nie chcę śmiertelnym ciosem ugodzić w jej serce, że mogę sobie pozwalać płochości i kokieteryi, za którą odpowiadam tylko przed ludźmi, a to byłaby zbrodnia, za którą odpowiedziałabym przed Bogiem. Rozumiesz mię malcze!— zawołała powstając, i ukazując mu drzwi dodała z dumą: —Otwórz i idź sobie.

—Silniejszy tu rozkaz honoru, niż twój... bądź zdrowa!— rzekł Karol, przystąpił do drzwi i szarpnąwszy je, odwrócił się do niej i dodał: —Zamknął je na klucz.

—I ty chcesz porwać się na człowieka najodważniejszego w całym kraju, a nie masz siły oderwać drzwi na klucz zamkniętych? Otóż to potężne ramię, które się ofiaruje jako tarcza pokrzywdzo-

nój kobiecie! — rzekła wzgardliwie, i ruszając ramionami, usiadła na dawném miejscu.

Młody człowiek, przyprowadzony do ostateczności, jęknął boleśnie, chwycił za klamkę drzwi, szarpnął je z całej siły, i gdy pękły i otworzyły się, stanął w nich i zwracając się do niej, rzekł z mocą:

—Widzisz, że są siły, znajdzie się i odwaga. Bądź spokojna. Będę miał czém bronić honor swój własny, ale nie twój, kokietko bez serca, boś tego nie warta.

Rzuciwszy jęj w oczy te słowa, które czy prędzej czy później kobietę taką, na jakimkolwiek szczeblu społeczności stoi, spotkać mogą, zbiegł ze schodków i wkrótce znikł z jęj oczów.

Eleonora, posiedziawszy przez niejaki czas z twarzą płonąca od gniewu i wsparła na pięści zaciśniętej, patrzyła ze wstrętem za odchodzącym młodzieńcem, który tak nieszczęśliwie na dalsze jęj życie wpłynął. Potém ruszywszy ramionami odwró-

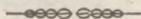
ciła się od drzwi, a rzuciwszy okiem na leżące na kobiercu papiery, porwała się z miejsca, zebrała je, usiadła znowu i przezierać zaczęła. W miarę czytania twarz jej przybierała wyraz straszliwy, jakby wyraz lica Meduzy, która spojrzeniem zabija. Gdy kilka listów przebiegła, zmięła wszystkie, odrzuciła od siebie, i zaciskając ręce, zawołała:

—O niegodziwe! więc do takich uciekają się środków?— Wszędzie jedno i to samo, wszędzie potwarz i kłamstwo, wszędzie pozory ustrojone w prawdę rzeczywistego faktu, lekkość odziana w grzeszną suknię występku, kokieterya przybrana w odrażające łachmany rozpusty! I on się na tém nie poznał, że to wszystko dyktowały zazdrośne serca, że to kręśliły ręce kobiet gorszych odemnie, i z których każda poświęciłaby mu męża i dzieci, gdyby się uwziął zaprowadzić ją na takie drogi, na jakie mnie prowadzić nie śmiał. I dla tego, że obaczył nierozsądną swywołę i żart z tym młokosem,

któremu się w głowie przewróciło, zdeptał mię jak ostatnią nierządnicę, w oczach tych, co uśmiechem szyderskim apróbowali jego grubijaństwo! — Nie moja wina — dodała powstając — że muszę być taką, jaką mnie robią. Precz więc myśli powagi i poprawy, coście miały zatrzeć dawniejsze błędy! precz chęci cnotliwe, coście mnie miały postawić na tej drodze równiej i łatwej, po której idą zwyczajne kobiety! Nie warcicie tej ofiary, wy! mnie mani opiekunowie słabszych od was istot, wy niedołężni kierownicy losów naszych! Schylaliście się przedemną, gdym was wiodła cackiem obiecaném, jak dzieci łatwowieczne, a gdym seryo pomyślała o uszczęśliwieniu tego, który mi się zdawał między wami najgodniejszym, obwiniacie mnie wszyscy, i on, równie jak i wy głupi, ślepy na to, co powinien był odgadnąć sercem, dojść rozumem, uwierzył tylko pozorowi, który zła chwila oczom jego nasunęła. Ale jeszcze stanie mi sił i broni na zemstę, na jaką zasłużył; jesz-

cze lice to nie straciło swojej potęgi. Bolesć tego momentu nie odbierze mu jego blasku, iskry tych oczów nie wygasną pod łzą gniewu i bólu, która się mimowolnie naciska. Jeszcze więc nie koniec z nami, panie Adamie! Nie myśl, abyś mi się wymknął tak łatwo. Znajdę cię wszędzie, i nawet przy ołtarzu z inną osnuję cię tak, że w myśli swój mnie, a nie tamtęj przysięgać będziesz tę miłość, którąś poniósł w sercu jak strzałę zatrutą, której wyjąć nie zdołasz. Wzgardziłeś mną opamiętaną, nie chciałeś cnotliwej żony, będziesz więc miał kochankę, która jak furya uczepi się boku twego, i każdy kiélich podany ci inną dłonią, grzésznią rozkoszą zatrjuje. A gdy będziesz u nóg moich leżał ze zwiędłym sercem, z wyssaném ciałem, z uczuciem zmarnowanego życia, wtedy rzucę ci przed oczy to świadectwo, któremuś uwierzył, i przypomnę ci to miejsce, gdzieś zdeptał upadłą istotę, którą mogłeś i powinienes być podnieść.

Takie zrobiwszy postanowienie i wymówiwszy te słowa prędko i z ogniem, który jęj natchnęło pragnienie zemsty, zebrała rzucone listy i wyszła z pawilonu.



III.

W Łozińcach, pięknej i dużej wsi Marszałka Łęgowskiego, leżącej o ośm blisko mil od Buchowiec, majątku pani Naramickiej, w pokoju obszernym, ustrojonym bogato, ale bez gustu, siedziała na kanapie gospodyni domu, średniego wzrostu, dość tłusta, czerstwa, z twarzą jeszcze ładną choć trochę ordynaryjną, ustrojona wykwintnie, mocno usznurowana, w czépeczku upstrzonym różnokolorowemi wstążkami. Nogi jej wsparte były na aksamitnym podnóżku, a przed nią

na stole okrągłym leżała poduszczyca, a do niej przypięta była siatka biała, którą pani Łęgowska, wyprostowana i potrząsając kiedy niekiedy głową, z wielkiem zajęciem robiła. Pan Marszałek, trochę wyższy od żony ale i trochę otylszy, z dużą głową, okrągłymi oczami, nie wielkim nosem, spodnią wargą obwisłą i podbródkiem, który zakrywał prawie zupełnie wąską, białą chusteczkę na szyi, w długiej, białej kamizelce, nankinowych spodniach, surducie otwartym, obwisłym i mającym z obu boków dwie potężne kieszenie, stał na środku pokoju i wykałał zęby. Po chwili milczenia rzekł:

—Czy wiesz Marcysiu, że mnie stan Tekluni zaczyna niepokoić?

Marszałkowa ruszyła ramionami i odpowiedziała:

—Czyś już po śniadaniu?

—A już— rzekł Marszałek strzepnąwszy piórko.— Ale coś te kotlety Jakóbowi nie bardzo się udały. Trzebaby go upomnieć, żeby był staranniejszym.

—To się zrobi— mówiła żona, machając szybko iglicą, którą robiła siatkę i nie patrząc na męża. — A kiedyś nie głodny, to idź i zajmij się czém lub przedrżem nim dadzą obiad, a o Teklunię się nietroszcz. Mnie, jako matkę, więcej to obchodzi niż ciebie. A ja nic takiego nie widzę, coby zatrwazać mogło.

—Jużci i ja, jak się domyślam, jestem także jój ojcem— odpowiedział Marszałek z uśmiechem wpółgłupim a wpół złośliwym— i mam prawo powiedzieć co widzę.

—A cóż ty widzisz, oprócz pieczeni cielęcój i pieczonego indyka? — rzekła ze złością prawie Marszałkowa.

—Jakób piecze indyka bardzo dobrze, jeśli dostatecznie utuczony — odpowiedział Marszałek bez obrazy i cmokając dużemi wargami, jakby w rzeczy samój tego indyka smakował.— Ale tu idzie o to, że Teklunia mizernieje, blednie, jest coraz smutniejsza, a nadewszystko, że prawie nie je.

—Zapewne, to dla ciebie symptom bar-

dzo zatrważający!— rzekła z ironiją Marszałkowa. — A tego nie uważasz, że i ja także jem bardzo mało, a jednak na zdrowie moje narzekać nie mogę.

—Przeciwnie,— odpowiedział mąż — ja uważałem, że masz bardzo dobry apetyt, i nieraz zabierasz mi z przed nosa te kąski, na które właśnie miałem oko, gdy ci podawano półmisek.

—Każę teraz zaczynać od ciebie— rzekła Marszałkowa uśmiechając się z politowaniem— żeby cię nikt nie skrzywdził i żebyś mógł sobie wybrać i zabrać te wszystkie kąski, na które będziesz miał oko. Tylko daj mi pokój ze wszystkimi temi obserwacyami, bo to do ciebie nie należy. Pod mojem okiem wychowała się Teklunia, i to tak, że mi jój wszystkie matki zazdroszczą. A jakim jój dała piękność, ułożenie i serce, jakiego żadna panna na dwadzieścia mil w około niema, tak oddam ją mężowi zdrową, śliczną i kochaną, jeżeli się zdarzy taki

co jój będzie wart, i naturalnie, co nie będzie do ciebie podobny.

—Zawsze mi musisz jaką łatkę przypiąć, — mówił Marszałek obracając w śmiech przycinki żony— a jednakowoż i ja, jak się domyślam, musiałem się także przyczynić do dania córce naszej tych wszystkich przymiotów, które ją zdobią. Choć, prawdę mówiąc— dodał machnąwszy ręką— Panna Katarzyna guwernantka jój, więcej na to wpłynęła niż my oboje. A i ona także niespokojna, czy nie jest to co piersiowego i czy nie skończy się suchotami.

—Czy ci to mówiła?— zapytała Marszałkowa.

—Nie — odpowiedział mąż — ale tak się domyślam.

—Jakże można takiego głupstwa domyślać się z zimną krwią i takie nicdo-rzeczy gadać, byle tylko coś powiedzieć, nim dadzą obiad, o którym więcej myślisz niż o Tekluni— rzekła żywiej Marszałkowa. — Spójrzyjże na mnie i obróć

się tam do zwierciadła i popatrz na siebie, a zapomniawszy choć na chwilę o polędwicy z rożna, którą ci dziś dadzą, pomyśl, czy z takich rodziców może się urodzić dziecko, któremu grożą suchoty.

—To dziś będzie polędwica z rożna!— zawołał uradowany troskliwy ten ojciec, smakując dużemi wargami, które się mimowolnie poruszały.— To dobrze, byle ją nie bardzo wysuszyli. Ale, wracając do Tekluni, to prawda, że powinnaby być zdrowsza, mieć więcej ciała i lepszy apetyt, kiedy się urodziła z ciebie, i jak się domyślam, ze mnie. A tymczasem tak w tém, jak i we wszystkich innych przymiotach jest do nas niepodobna.

—W jakichże to naprzykład?— zapytała z obrazą matka, potrząsając głową.

—Teklunia— odpowiedział wykalając zęby i patrząc na żonę niby złośliwie— jest piękna, wysmukła, kształtna, potulna, a nadewszystko słodka i uległa.

—Dodaj jeszcze że nie obżarta — rzekła Marszałkowa prędko i gniewnie— a

nadewszystko ma tyle rozumu, że wiedząc o tém, że nie jest dowcipna, nie sady się na dowcip, i nie wyjeżdża nigdy z niesmacznemi konceptami.

—No, no, nie gniewaj się. Powiedziałem tak sobie, żeby ci coś odpowiedzieć. Ale kiedy cię to obraża, to przepraszam— rzekł Marszałek obróciwszy się i wychodząc z pokoju, dodał sam do siebie z uśmiechem— musiałem jednak, jak się domyślam coś niegłupiego powiedzieć, kiedy się obrażała. Ale mniejsza o to, przeprosi się. Połędwica z różna! hm! dobra to rzecz, do tego z serdelowém masłem! Muszę się trochę przejść, żeby lepiej smakowała.

I tak zapomniawszy o suchotach Tekluni, a myśląc o połędwicy, którą miał się uraczyć, poszedł nie oglądając się na żonę, która ruszywszy ramionami, sapiąc i potrzęsając głową, prędko i z wielkiem zajęciem siatkę swą robić zaczęła.

Wtedy przez boczne drzwi weszła do pokoju osoba słusznego wzrostu, powa-

żnego ułożenia, której strój okazywał pannę, chociaż z twarzy prawie pięknej, ale z wyrazem melancholicznym, łatwo było widzieć, że to była panna już do lat trzydziestu dochodząca, Marszałkowa postrzegłszy ją, nie przerywając swój roboty, rzekła do wchodzącej dość obojętnie:

—A cóż Teklunia? panno Katarzyno.

—Zrzuciła gorset, który ją cisnął, i teraz jej lżej — odpowiedziała p. Katarzyna Semenowska, niegdyś guwernantka Tekluni, a teraz jej towarzyszka i kochająca ją z całego serca.

—Czy wie p. Katarzyna, — rzekła Marszałkowa wywijając iglicą i trzęsąc głową — że memu mężowi zdaje się, że Teklunia zaczyna cierpieć na piersi. Nie prawdaż że to przywidzenie? Ale p. Katarzyna nic mi nie odpowiada?

—Ja sędzę także — odpowiedziała guwernanta, spuściwszy oczy na robotę, którą do rąk brała — że to się tak p. Marszałkowi wydało. Jednak możeby nieźle było wezwać p. Orzechowicza i poradzić

się go, jak z nią postępować. Nie widzę ja wprawdzie nic zastraszającego; ale Teklunia zdaje mi się osłabioną, nie może wiele chodzić, zbladła, a nawet schudła trochę; co zaś najgorsze, że straciła sen i apetyt.

To ostatnie właśnie postrzegł i mój mąż — mówiła Marszałkowa, uśmiechnąwszy się ze znaczeniem — i na tém gruntuje swój domysł. Ale czy p. Katarzyna postrzegła, że Teklunia nie sypia?

— Muszę się pani przyznać, że mnie to także niepokoi, bo tak jest istotnie — odpowiedziała guwernantka. — Drzwi mojego pokoju zawsze są w nocy otwarte, i często słyszę ją wzdychającą, przewracającą się na pościeli, przewracającą poduszki. Niedawno, nie mogąc spać także i słysząc jakiś ruch w jej pokoju, wstałam, i przy świetle lampki która się u niej zawsze pali, postrzegłam ją klęczącą przy łóżku i modlącą się.

— Cóż to dziwnego? — mówiła Marszałkowa robiąc pilnie siatkę — może co dłu-

go czytała i dopiero wtedy uklękła, nim się miała położyć.

—Przepraszam panią— odpowiedziała guwernantka— ale ona tego dnia położyła się piérwój odemnie. Widziałam ją w łózkku, siedziałam jeszcze przy niej, i z godzinkę rozmawiałyśmy.

—I zapewne te rozmowy wybiły ją ze snu— przerwała Marszałkowa trzęsąc głową i machając iglicą.— Już prosiłam p. Katarzynę, aby jój nie pozwalała długo w noc czuwać. Piérwszy sen najzdrowszy, a czuwaniem takim i rozmowami rozmarza się niepotrzebnie głowa p. nienki.

—Nie sędzę, aby moje rozmowy— odpowiedziała żywiój p. Katarzyna— były takie, żeby rozmarzały głowę Tekluni, którą serdecznie kocham, i którą rada-bym uspokoić w tém, co jój sen i zdrowie odbiera.

Marszałkowa podniosła głowę i popatrzyła na siedzącą naprzeciw niej pannę,

a widząc płonąca jej twarz i łzy w oczach, rzekła :

—Przepraszam cię, panno Katarzyno, za te słowa, które cię dotknęły. Ale czyżbyś sądziła, że ona go jeszcze kocha?

—Alboż pani tego nie widzisz? — zapytała mocniej guwernantka— Teklunia nie jest romansową, aby się tylko rozmarzyła jej głowa a serce zostało spokojne; nie jest też próżna i sobą zajęta, aby się starała obudzić uczucie w innych a sama została zimną. W pierwszym razie, na przypadek zawodu, głowa jej prędkoby ostygła, a w drugim rana miłości własnej zagoiłaby się jeszcze prędzej, i nie wpłynęłoby to bynajmniej ani na jej humor, ani na jej zdrowie. Ale córka pani żyje więcej sercem i prawdą, niż imaginacją i marzeniem. Ona pokochała go silnie i stanowczo, bo inaczej nie może, bo dusza jej cicha, ale i głęboka jak jezioro, pochłoneła w siebie obraz człowieka, który zdawał się godnym opanować ją, i

i obraz ten nie ustąpi z niej, pewna jestem, póki żyć będzie.

—Toż bardzo nieszczęśliwie — rzekła matka kontynuując siatkę, co widocznie niecierpliwiło poczciwą i kochającą pupilkę swą p. Katarzynę. — Toż nie mogę być wdzięczną p. Katarzynie, żeś w niej téj sentymentalności, którą mogłaś postrzedz z dzieciństwa, nie starała się zmienić w zimniejszy i zdrowszy sposób przyjmowania wrażeń życia. Sentymentalność jest chorobą duszy, pociągającą za sobą i chorobę ciała. Mogła ona go pokochać, bo nie przeczę, że p. Adam jest człowiek rzadkich przymiotów, i gdy chciał mógł się podobać i zająć nawet głęboko, jak p. Katarzyna mówi, dziewczynę tkliwą i mogącą zrozumieć jego głowę. Ale skoro ten sam człowiek odsłonił jéj taką stronę serca, która umniejsza dla niego szacunek i odejmuje wiarę w jego stałość i postanowienie to karmienie w sobie uczuć, na które nie zasłużył, niemożność wyrugowania z serca i z myśli obrazu, który widocznie wkra-
dł

się tam podstępem, jest już prostém głupstwem, jest niemocą, jest właśnie ową sentymentalnością, zgubną może dla tych, co się jęj poddają, ale śmieszną dla tych co na nią patrzą, a grzeszną dla tych, co mogli i powinni byli leczyć ją, jako chorobę, radą i czuwaniem, a tego nie zrobili.

P. Katarzyna, dla miłości wychowanki swęj, która teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebowała jęj serca i przyjaźni, zносиła oddawna wiele podobnych przy mówek od tęj kobiety zimnęj i egoistycznej, choć nie głupięj i mającęj swój sposób widzenia rzeczy. Pohamowała więc i teraz boleśne uczucie, jakie w nięj słowa te sprawiły, rzekła prędko i z przy ciskiem:

—Nie dziwię się wcale, że pani tak mówisz, i że robisz mi wymówkę, na którą nie zasłużyłam. Mam bowiem to przekonanie, że każdy tak przyjmuje wrażenia życia, jak go natura usposobiła. Gdybys pani była na miejscu swęj córki, na przód, nie pokochałabyś tak p. Adama,

jak ona; a doznawszy od niego podobnego zawodu, nie straciłabyś ani jednej godziny snu i tego pokoju, za który powinnaś dziękować Bogu, że go masz zawsze, nawet teraz, gdy ja, choć tylko zapłacona za to, żebym czuwała nad córką pani, troszczę się i niepokoję jój stanem, nie tak łatwym do zmienienia, jak się pani wydaje. Ją biédaczkę Pan Bóg inaczej usposobił, nie dał jój tyle rozsądku i zimój krwi, ile go dał pani; a ja widząc to i przekonana także, iż ona musi przeboleć tę klęskę serca, która dla innój byłaby tylko przemijającą przykrością, staram się tylko ją pocieszać i moją płatną przyjaźnią utulam jój cierpienie. Ale jój nie perswaduję, i nie wymagam od niój aby się śmiała, aby się bawiła, aby spała i jadła, jak inne w podobném położeniu jadłyby i spały, stroiłyby się i bawiły, bo wiem, że to niepodobna, i że czas tylko i modlitwa wyleczyć ją zdołają, jeżeli ciało wytrzyma to wstrząśnienie, jakiego doznała jój dusza. Dla tego sądzę

że tu najpiérwszą jest rzeczą wezwać p. Orzechowicza; a potém pani sama, jako matka, użyjesz środków, jakie ci się wydadzą skuteczniejsze od mojej przyjaźni, na pokonanie tego stanu, który pani nazywasz śmieszną sentymentalnością, a który ja mam za prawdziwą i zagrażającą boleść.

To powiedziawszy ze łzami w oczach, wstała i wyszła. Marszałkowa słuchała ją z niezmienioną twarzą, potrząsając tylko czasem głową i robiąc siatkę z szybkością, która pokazywała wielką jej wprawę. Ale że to była kobiéta, która uważała wszelkie wzruszenie za szkodliwe zdrowiu, która rozsądek i zimną krew miała za najużyteczniejszy przymiot w każdym położeniu życia, nie chcąc doléwać oliwy do ognia, pozwoliła obrażonej przyjaciółce córki swój wygadać się i nie rozdrażniała jej żadną odpowiedzią, choć może i czuła to, że te wymówki obojętności dla takiego dziecka, jak p. Tekla, były słuszne. Gdy p. Katarzyna wyszła,

popatrzyła za nią, poskrobała się w głowę iglicą i rzekła sama do siebie:

—Jaka ona obraźliwa, choć za to bierze pieniądze i ma wszystkie wygody. Nieznośna melancholiczka! Ale Teklunia kocha ją i potrzebuje towarzystwa, a ja nie mam czasu. Trzeba ją będzie znowu przeproszać.

I ruszywszy ramionami, już miała się wziąć do siatki, może dla przekonania siebie, że niema czasu otoczyć córkę staraniami, jakich stan jój wymagał, gdy wszedł lokaj i podał jój list na tacy srebrnej.

—Zkąd-to?— zapytała Marszałkowa.

—Z Hruszówki przywiózł kozak i mówi, że bardzo pilno— odpowiedział sługa.

—A! od p. Adolfa!— rzekła pani, odpieczętowała, i przebiegłszy prędko, dała: —Każ kozakowi dać śniadanie i powiedz, że będzie odpis. A poproś tu do mnie p. Katarzynę: proszę ją zaraz, bo rzecz pilna.

Sługa odszedł, a Marszałkowa odczy-

tała głośno i z widoczném ukontentowaniem wiadomość następującą:

«Kochana Wujenko dobroduszko! Wczoraj przed wieczorem byłem świadkiem osobliwszój sceny w Buchowcach, gdzie, jak Wujenka dobr. wie, prawie codziennym jestem gościem. Wujenka dobr. znowu będzie mnie łajać za ten grzech i za przyznanie się do niego; ale cóż robić. Pop swoje a diabeł swoje. Rozum perswaduje a oczy ciągną. Tak było i wczoraj. Kazałem Iwasiowi zaprządz do warszawskiego kocza cztery konie siwe, i miałem jechać do panny Anieli Cecorskiej, z postanowieniem oświadczenia się. Jest ona wprawdzie trochę garbata, trochę zézowata, ale ma z milion, który od wieków, jak Wujenka dobr. wie, wyrównywał łopatki i prostował oczy panieli. Tymczasem diabeł poniósł mego Iwasia mimo Buchowiec, które, jakem tylko obaczył, dałem naprzód w kark Iwasiowi, a potem kazałem zawrócić na chwilkę do pałacu, i zostałem tam, jak

«się Wujenka dobr. domyśla, do wieczora.
 «Tą razą diabeł był rozumniejszy od popa,
 «a Iwaś odemnie; bo gdybym był nie wstą-
 «pił, to najpiérwój byłbym się może oświad-
 «czył pannie Anieli, a powtóre, nie widział-
 «bym może na własne oczy tego, czemubym
 «nigdy nie uwierzył, choćby rzecz tę opo-
 «wiadała Plotkowska, Nowinkowska lub
 «Fabulicka, sąsiadki moje, które, jak
 «Wujenka dobr. wie, nigdy się nie mijają
 «z prawdą, a które jużem o całym zda-
 «rzeniu tém zawiadomił. Jak one wiado-
 «mości téj użyją, co ze słów moich uro-
 «śnie, to już ich rzecz. Ja pośpieszam
 «tymczasem Wujence dobr donieść, com
 «widział, i zamykam wszystko w tych kil-
 «ku słowach: P. Adam zerwał stanowczo
 «z tą czarodziejką, co nas wszystkich, a
 «jego więcéj niż nas opętała. Świadkiem
 «byłem ja, p. Kazimierz Strobiński i Eu-
 «dymion, czyli Karolek Jarotoński, któ-
 «ry raczój był aktorem téj sceny, niż
 «świadkiem. Szczegółów nie opisuję, bo
 «raz byłoby za długo, a potém zmę-

«czyłem się, napisawszy już trzy listy o-
 «tém samém, w których trzeba było prze-
 «cież rzucić jaki taki fundament téj wie-
 «ży babilońskiej, która na nim zapewne
 «zbudowaną zostanie. Proszę więc prze-
 «stać tylko na rezultacie, który pragnę,
 «aby Wujenka dobr. odebrała na śniada-
 «nie, i dla tego wyprawiam kozaka na
 «całą noc. Teraz całuję rączki Wujenki
 «dobr. dodając wielkimi literami: ze-
 «rwał stanowczo! *A bon entendeur salut!*
 «Śliczną kuzynkę moją pozdrawiam z ca-
 «łego serca. O! gdybym nie był jój kre-
 «wnym, i gdyby nie trzeba było posyłać
 «po dispensę do Rzymu, kto to wie?
 «*Au revoir*, Wujeneczko! za parę dni przy-
 «jadę i opowiem wszystko. Adolf.»

Gdy Marszałkowa skończyła, i poglą-
 dała jeszcze na niektóre miejsca listu, u-
 śmiechając się zapewne z conceptów p.
 Adolfa, weszła do pokoju p. Katarzyna.
 Twarz jój miała jeszcze ślady wzrusze-
 nia, jakiego przed chwilą doznała; w o-
 czach jój jeszcze były łzy, a w całym u-

łożeniu coś wymuszonego, co mówiło, że nie prędko przebaczy to niezrozumienie jój serca i troskliwości, i tę obojętność matki, kiedy ona widziała rzeczywiste niebezpieczeństwo. Marszałkowa, rzuciwszy nieznacznie okiem na wyprostowaną i wstrzymującą się jeszcze przy drzwiach p. Katarzynę, odłożyła prędko list Adolfa, zaczęła prędko robić siatkę i czekała spokojnie aż się zbliży.

—Czy pani ma mi co powiedzieć?— zapytała p. Katarzyna przystępując do stołu.

—Usiądź-no, droga p. Katarzyno!— odpowiedziała Marszałkowa patrząc na nią tak, jak gdyby nic nie zaszło.— Rzeczywiście mam ci coś powiedzieć, jeżeli się już na mnie nie gniewasz.

—Pani wieśz dobrze— mówiła guwernantka poważnie, ale z uczuciem— że ja wiele znieść mogę, i wieśz pani także, dla czego dotąd znosiłam co mi nieraz było bardzo przykre, a zawsze nie zasłużone. Moja to wina, nie pani, żem się na-

rażała z taką wytrwałością na to, czego mogłam dawno uniknąć. Cierpienie to było zupełnie dobrowolne. A w takim razie, kto cierpi nie ma prawa się skarżyć. Cóż mi jeszcze pani ma do powiedzenia?—dodała żywiiej, widząc, że Marszałkowa nie ucieka się nawet do zwyczajnych przeprosin, tylko robi siatkę i uśmiecha się nieznacznie.

—Odebrałam w téj chwili list od Adolfa— rzekła wreszcie Marszałkowa ze znaczeniem.— Nie domyśli się p. Katarzyna, co mi pisze.

—Cóż mię to może obchodzić, co p. Groblica pisze — odpowiedziała guwernantka — Nie widzę nawet, dla czego bym sobie zadawała pracę w zgadywaniu treści tego listu. Domyślam się tylko, że musi być dowcipny, i że zapewne w nim p. Adolf kogoś wyśmiał. Może nawet mnie, nie dziwiłoby mnie to wcale.

—P. Katarzyna jest coś dziś więcej rozdrażniona, niż zwykle— rzekła Marszałkowa— i dla tego wszystko widzi ze złej

strony. Niéma tu o p. Katarzynie żadnej wzmianki, ale jest wiadomość, która ją zainteresuje przez ten wzgląd, że p. Katarzyna, jak o tém nie wątpię, kocha Teklunię.

—Dobrze, że pani choć o tém nie wątpisz, że ją kocham— odpowiedziała guwernantka zaciskając usta.

—Wielu rzeczy i jabym także nie znosiła, gdybym nie miała tego przekonania—rzekła Marszałkowa żywiiej i mocniej. —Ale dajmy temu pokój i nie róbmy sobie wymówek, kiedy idzie o Teklunię, którą obie kochamy.

—A tak, obie!—mówiła z westchnieniem p. Katarzyna i zaraz dodała— w jakież to sposób list ten interesuje córkę pani.

—Adolf donosi mi, że p. Adam zerwał stanowczo z panią Naramicką—mówiła Marszałkowa, nie patrząc na p. Katarzynę i robiąc siatkę.

—Więc?—zapytała guwernantka.

—Więc z tego wniosek—dodała Mar-

szałkowa — że może wrócić do Tekluni.

—Pani myśli? — rzekła guwernańtka ze zwątpieniem.

—A p. Katarzyna nie? — odpowiedziała Marszałkowa, jakby z obrazą.

—Ja myślę — rzekła p. Katarzyna — że p. Adam zanadto wysokie ma o sobie wyobrażenie, aby się tak poniżał.

—Poniżał? — zawołała mocno Marszałkowa, nie zrozumiawszy jój myśli.

—Niech pani zrozumie myśl moją — rzekła p. Katarzyna — Ja mówię, że pan Adam nie zechce się zniżyć do roli komedyanta, który zmyślał zajęcie, albo wtedy, gdy się starał o zyskanie serca Tekluni, albo zmyślać je będzie teraz, jeżeli do niej powróci. Ale to próżne obawy. Człowiek taki jak p. Adam, nie będzie śmiał stanąć przed tak czystą i znaczną istotą, jak córka pani, którą zna, zwłaszcza wiedząc, jak głęboko serce jój zranił. Spadł on wprawdzie bardzo w moim szacunku, sądzę jednak, że mu jeszcze zostało tyle wstydu w oczach, i tyle

względu dla osoby, której życie złamał i zepsuł, że tego nie uczyni.

—Panna Katarzyna— mówiła Marszałkowska uśmiechnąwszy się — bierze to ze strony arcy moralnej i wysoce idealnej. Ja rzecz tę biorę bardziej po ziemsku. Ja przypuszczam, że kokietka tak zręczna i tak czarująca, jak p. Naramicka, mogła go odurzyć na chwilę, że się zapomniał i zranił serce osoby, którą szanował i którą, mimo to zaślepienie, jakiemu uległ, szanuje jeszcze; że przyszła chwila opamiętania, że przejrzał i zastanowił się, i porzuciwszy tamtę, która zapewne okazała się niegodną jego ręki i imienia, wrócił do téj, której charakter i miłość, jak o tém wie bardzo dobrze, zapewni pokój jego życiu. Z listu Adolfa wnoszę, że tam coś zaszło, co mu stanowczo zdjęło zasłonę z oczu, i że nawrócenie jego do nas jest bardzo do prawdy podobnym. Otóż jeżeli to nastąpi, jeżeli p. Adam stanie przed Teklunią, nie jako komedyant, pragnący zabawić się jój cierpieniem, ale

jako pokutnik, żałujący za swój grzech, co jój p. Katarzyna radzić będziesz?

—Ja jestem tego przekonania— odpowiedziała po namyśle p. Katarzyna— że osobie z takim sercem i z taką głową, jak Teklunia, rada moja nie będzie wcale potrzebną. Godność kobiéca, tak ciężko w niej obrażona, miłość głęboka i szcérá tak płocho zapoznana i odrzucona dla powierzchownego blasku nadstawiających się wdzięków, a może i dla fortuny znacznej i niezależnej, wskażą jój dostatecznie jak postąpić. Pewna więc jestem, że i bez mojej rady Teklunia postąpi tak jak powinna.

—Cokolwiek tu p. Katarzyna uważasz za powinność— mówiła Marszałkowa, potrząsnąwszy mocno głową i wzięwszy się do siatki— prosiłabym bardzo, abyś zostawiła rzecz tę mnie i mojej córce, wszelkie uwagi i wszelkie rady zachowując *in petto*, i nie wyjawiając ich wcale. Co się ma stać, stanie się. Zdrowie i szczęście Tekluni jest w oczach moich ważniejsze,

niż względy obrażonej miłości własnej. Dla tego uprzedzam pannę Katarzynę, że jeżeli rzeczy tak się złożą, że p. Adam zwróci ku niej myśli swe i chęci, będę bardzo temu rada, i nie tylko przyjmę sama z radością jego oświadczenie, ale i powagą matki nakłonię córkę moją, aby je przyjęła.

—Nie mam prawa radzić pani, ani jej odradzać!— odpowiedziała p. Katarzyna cała zaczerwieniona— Ale nie mogę utaić zmartwienia, jakie mi to postanowienie pani daje. Byłoby to klęską tego biednego serca, które już i tak ucierpiało tyle. Pocieszam się tylko tą nadzieją, że to są zamki na lodzie, i że Bóg ulituje się nad istotą, godną pod każdym względem lepszego losu, niż ten, jakibyś jej pani przygotowała, gdybyś postanowienie swoje ziścić mogła. Ja przynajmniej patrzeć na to nie będę, i dla tego prosiłabym panią, abyś mię kazała odesłać do siostry mojej, która mnie oddawna wzywa do siebie.

—Stanie się, jak p. Katarzyna sobie ży-

czysz — odpowiedziała Marszałkowa. — A jakkolwiek wdzięczną jestem p. Katarzynie za przywiązanie, jakieś zawsze okazywała mojej córce, nie mogę jednak nie powiedzieć, że to co słyszę uważam za romanse i właśnie za ową sentymentalność, którą z żalem widzę i w Tekluni, a której, żem wcześniej nie postrzegła, nieskończenie żałuję.

P. Katarzyna wyszła, a Marszałkowa składając robotę i biorąc list Groblicy, rzekła sama do siebie:

— Co to za głowy! taka partya! żeby tylko jakim sposobem skłonić go, żeby przyjechał, lub przez kogo wyrozumić co myśli; muszę w tej mierze napisać do Adolfa.

Gdy dla powierzenia tak ważnej misyi P. Groblicy chciała się udać do swego gabinetu, weszła p. Tekla. Słuszna, kształtna, była w białej i skromnej sukni, z włosami zaczesanemi gładko, ale odkrywającemi jej czoło białe i zamysłone. W oczach jęj błękitnych, dziwnie

wyrazistych i przenikających, były śladem łez, na twarzy bladój wyraz smutku, a na ustach, na których zwykle wyrażała się słodycz i uśmiech rezygnacyi, widać było jakby wypisaną skargę i żal do matki, za krzywdę jaką sereu jój wyrządziła. Szła ona przez pokój prędko, i stanąwszy przed Marszałkową, która wstrzymała się na jój widok, odetchnęła głęboko jakby po długiiej fatydze i rzekła:

—Mamo! Kasia wyjeżdża.

—Z własnej woli, moje dziecię— odpowiedziała matka— jedzie do siostry, która ją wzywa.

—I na długo?— zapytała p. Tekla.

—Czy ja wiem — mówiła Marszałkowa ruszając ramionami — prosiła tylko, żeby ją odesłać, ale mi nie powiedziała nic, czy wróci lub nie.

—I mama ją o to nie zapytała, teraz, gdy mi jój przyjaźń tak bardzo potrzebna?— rzekła p. Tekla z żalem.

—Nie wiem, dla czegoby ci jój przyjaźń była teraz potrzebniejszą, niż daw-

niej! — mówiła Marszałkowa. — Dla panny w twoim wieku, która ma rozum i matkę, przyjaźń osoby obcej, choć zacnej, i dla której masz obowiązki, nie jest tak konieczną, żebyś się bez niej obejść nie mogła.

— A tak, — odpowiedziała p. Tekla, skrzyżowawszy obie ręce na piersiach i odetchnąwszy głęboko — wiem o tém, że mam rozum, który mi perswaduje, że tu na ziemi mam matkę, której rada jest zawsze zdrową i zbawienną, że tam mam nad sobą Boga, którego miłosierdzie jest niezmierne i siła niewyczerpana. Ale widzi mama, są chwile, w których rozum mój milczy lub mię potępia; są żale, z któremi wstydę się stanąć przed mamą, bo je uważam sama za wyraz krzywdzącej niemocy; są łzy w oczach i skargi na ustach, z któremi nie śmiem upaść przed Bogiem, bo czuję to dobrze, że są grzeszne i że w gruncie ich jest zwątpienie, coś nakształt rozpaczy, której broni religija. W takim stanie po-

trzebna mi przyjaciołka pobłażliwa i wyrozumiała, na której piersi mogłabym położyć znękaną głowę, któraby nie zadziwiły łzy niemeztwa i słabości, któraby mię nie odepchnęła od siebie, jeśliby nawet serce moje sarknęło przeciw téj doli, jaką mi Bóg zgotował. I taką przyjaciołką jest dla mnie ta, która wypiaستowała moją duszę, której winnam wszystko, oprócz życia, i którą mama usuwa z domu obojętnie i nazywa osobą obcą i niczem z życiem mojem nie związaną!

—Ależ moja Tekluniu — rzekła dość obojętnie matka— ja z domu mego jój nie usuwam, ona usuwa się sama, z powodów, których nie zgaduję. Bo choć mnie to martwi i zastrasza, że wykarmiła w tobie tę zbyteczną czułość, z którą nikomu nie może być dobrze na świecie; choć dałam jój to poznać, co i sama powinna wiedzieć dostatecznie, jednakże w słowach moich nie było nic takiego, coby ją mogło tak dalece zranić, aby aż uciekała z domu, gdzie ją traktują z grzecznością.

i dobrocią wyrozumiałą nawet na jój kaprysy, jakie ma; gdzie ma wszystkie zaspokojone potrzeby i gdzie pobiera dawną płacę, choć już od lat przeszło czterech edukację twoją skończyła.

—Płacę! — zawołała z wyrazem żalu panienska — A tak, ona pobiera tę nie-szczęśliwą płacę, i musi ją pobierać, aby się miała czém odziać i pomódz téj biédnej siostrze, obarczonej dziećmi. Ależ tego przynajmniej mama jój nie powiedziała, że jest płatną.

—Tegom jój nie mówiła — rzekła Marszałkowa z miną nieukontentowaną.

—O! dziękuję mamie — zawołała p. Tekla całując jój rękę — jest to dobrodziejstwo, które mama mnie wyświadczyła.

—Tylkoż nie egzaltuj się tak, moja Tekluniu! — mówiła matka usuwając rękę i potrząsając głową. — Wiész dobrze, że ja w tém wszystkiém nie widzę naturalności i prawdy. Sentymentalność taka jest albo chorobą, albo komedią. O to ostatnie nie posądzam cię, ale stan twój bę-

dę musiała uważać za chorobliwe objawienie i przypisać go obecności i wpływowi téj, która w tobie usposobienie to utrzymuje.

—Nie mam! ona go we mnie nie utrzymuje,— odpowiedziała p. Tekla z bólem.— Ona widzi tylko, że ja chora, chora więcéj sercem jak ciałem; i tak się ze mną obchodzi jak z chorą, wymagającą dłoni, pod którą czoło gorące od myśli poczułoby ulgę, pod którą pierś przygnieciona tajemnym płaczem odechnęłaby swobodniéj. Czyż mama ze chce koniecznie odjąć mi tę podpore, bez której mogłabym upaść zupełnie?

—I owszem, niech sobie zostanie, jeżeli chce. Nie mam nic przeciwko temu— odpowiedziała Marszałkowa.— Ale mam nadzieję, że wkrótce będziesz miała podpore mocniejszą i miłszą ci nawet, niż zdrowe rady matki i sentymenta p. Katarzyny.

—Mocniejszą i miłszą? ja?— zawołała przestraszona p. Tekla— czy znowu jest

kto, co mię zmusi do walki z własném sercem i waszą wolą? O! toby już było nad moje siły.

To powiedziawszy i domyślając się, że tą podporą mocniejszą i miłszą, nie może być kto inny, tylko jakiś konkurent, zakryła oczy i płacząc usiadła. W téj chwili dał się słyszeć turkot powozu. Marszałkowa obróciła się ku oknu i rzekła:

—Któs przyjechał!

Potém przystąpiła do zwierciadła, i zapomniawszy o płaczącej córce, poprawiła sobie czépeczek, obciągnęła gors, i zsunęła cokolwiek suknię z ramion. A gdy lokaj wszedł i doniósł, że pani Deputatowa Plotkowska przyjechała, przystąpiła do córki i dodała:

—Idź, idź moje dziecię. Uspokój się i nie produkuj łez swych przed tą gazetą powiatową. Wkrótce się dowiesz zapewne, że miłość matki lepsze ma lekarstwo dla chorego serca dziecka, niż przyjaźń guwernantki, nawet takiej jak p. Katarzyna. Wszakże prosź ją, niech zоста-

nie. Powtarzam ci, że nie mam nic przeciwko temu.

P. Tekla powstała i poszła nie odpowiadając i nie dziękując matce za to ustępstwo, wypowiedziane tak zimno i jakby z musu, a Marszałkowa siadając na swém ulubioném miejscu i biorąc się do swój roboty, dodała z uśmiechem:

—Ciekawa jestem co mi ta trzepałkowska powie, i ile tam będzie prawdy a ile kłamstwa?

W téj chwili weszła do pokoju kobiéta już nie młoda, miernego wzrostu, z zapadłemi policzkami, dużym ptasim nosem, z oczami bystro biegającymi, w ubraniu nawet kosztowném, ale okazującym wiele pretensyi i przesady. Wstrzymawszy się cokolwiek przy drzwiach, i bijąc wachlarzem po dłoni, prędko i śmiejąc się rzekła:

Otóż to! otóż to! patrzcie! zawsze przy robocie, i zawsze śliczna i różowa, zdrowiuteńka jak rybka, i spokojna, jak gdyby nic się nie działo na świecie, coby ją

zająć i dotknąć mogło. Nie pytam się jak się masz, moja droga Marszałkowo! bo to widno, to bije w oczy.

—Niech-no pani Deputatowa siada— odpowiedziała uśmiechając się gospodyni domu, podniósłszy się z kanapy i ściskając rękę sąsiadki, która się już zbliżyła do stołu i usiadła na wskazaném miejscu.— Zdrowie także zapewne służy, kiedyś raczyła mnie odwiedzić tak rano.

—Gdzie tam, gdzie tam— rzekła Plotkowska.— Wczoraj leżałam. Bóg wie co mi było, ale do obiadu nie mogłam się ruszyć. A jednakowo dziś wstałam przed piątą, i upaliłam do ciebie, moja duszo, pięć mil opętanych. A żebyś wiedziała z czém? ani ci to przez głowę przechodzi. Ale jakże się ma Teklunia— dodała oglądając się.— Kochane dziecko, a śliczna, śliczna, jak złoto. Czasem jak sobie pomyślę, jaką była przed rokiem, a jaką ją widziałam ostatni raz, to mi się płakać chce. Ale to nie piersiowe? nie? Sucho-

ty nie grożą jój, jak mi mówiła Fabulicka, która to słyszała z pewnych ust.

— Ciekawa jestem, z jakich to pewnych ust p. Fabulicka mogła wziąć taką bajeczkę? — odpowiedziała Marszałkowa.

— Więc to nie prawda? chwałaż Bogu! jakże mnie pocieszasz— mówiła Plotkowska; a przysuwając się z krzesłem i bijąc wachlarzem po dłoni, dodała: — tém bardziej teraz potrzebne zdrowie Tekluni, gdy taki wypadek... ale ona nie słyszy nas? niéma jój w tamtym pokoju?

— Moja córka jest u siebie, zajęta jak zwykle w rannych godzinach — odpowiedziała Marszałkowa.

— To dobrze — mówiła dalej Plotkowska — bo téż to wypadek! a! bardzo ciekawy; ale są szczegóły, którychby Teklunia nie powinna słyszeć.

— Cóż to się stało? — zapytała p. Łęgowska, domyślając się o co idzie, ale udając że o niczym nie wie.

— Wyobraź sobie — mówiła Plotkow-

ska przysuwając się — wczoraj rano byłam w kościele.

—Więc pani nie przeleżałaś wczorajszego ranku? — przerwała jój Marszałkowa z uśmiechem.

—I owszem, i owszem, leżałam — odpowiedziała prędko Deputatowa, nie zmieszana tém, że sama siebie zbija — ale powróciwszy z kościoła. W kościele, w czasie samego podniesienia, patrząc, aż koło mnie siada Marszałkowa Oszerska, która tylko co weszła, cała spocona i zasapana. Jak się pani ma? mówi mi. Jak się pani ma? odpowiadam jój, nachylając się, gdy ksiądz podnosił Hostyą. «Czy wie pani, mówi mi, tylko co widziałam p. Adama. Leciał przez miasteczko pocztą, w koczku otwartym, blady i jakiś zmieniony. Dałam mu znak z powozu żeby się zatrzymał; ale ani popatrzył na mnie i poleciał dalej drogą do Buchowiec.» Ja słysząc to i nachylając się, gdy ksiądz podnosił kielich, pomyślałam zaraz: Oho! w tém coś jest, i zgadłam — dodała śmie-

jąc się i bijąc wachlarzem po dłoni.— Wyobraź sobie, moja droga pani, że w rzeczy saméj, bohater ten podolski, odebrawszy w Kijowie jakiś list bezimienny, który mu o konduicie jego bogdanki donosił, wpadł do Buchowiec jak piorun; zastał tam kilku młodych grających w karty w buduarze p. Naramickiej, których rozpędził, i dwóch, co mu się postawić chcieli, na pojedynek wyzwał; a dowiedziawszy się od Szambelana, że ona jest w pawilonie ogrodowym z tym Eudymonem, jak go nazywają, wiész, z tym ładnym Karolkiem Jaratońskim, bez tchu tam poleciał. Wyobraź-że sobie, że znalazł drzwi zamknięte na klucz ze środka. Wiész, że to mężczyzna silny jak Herkules, a był przytém w strasznój furii; uderzył więc tak we drzwi, że wyskoczyły z zawias i upadły na ziemię. Gdy wszedł do środkowego pokoju, nie zastał nikogo. Ale w téjże chwili, na odgłos trzasku drzwi wyłamanych i padających, wyskoczyła z drugiego pokoiku jego bella,

w negliżu bardzo wymownym, i stanęła przy drzwiach, jak piorunem rażona, na widok człowieka, którego zdradzała. P. Adam nic nie mówiąc, tylko przesywszy ją wzrokiem, szedł prosto do owego pokoiku, chcąc rozmówić się z młodzienaszkiem, który się tam znajdował. Ona go nie chciała puścić, i wzięwszy na serce, kazała mu wyjść precz z pokoju. Ale nie z takim to waryatem takie sztuki uchodzą kobiecie grzesznej i chcącój ratować się rezonem. P. Adam odepchnął ją ode drzwi tak, że się potoczyła, wszedł, i porwawszy przestraszonego młodzieńca w swoje ręce, przeciągnął go przez pierwszy pokój i rzucił z ganku tak niemiłosiernie, że biedak prawą rękę złamał i lewą nogę wywichnął.

—Czy to być może?— rzekła z niedowierzającym uśmiechem i nieprzerywając roboty swój Marszałkowa.

—Tak jest niezawodnie— odpowiedziała Plotkowska.— Wczoraj cały dzień nie byłam w domu, a koło dziewiątej wró-

ciwszy zmęczona i posiliwszy się trochę, chciałam się zaraz położyć. Tylko com się miała rozbiierać, aż mi przynoszą list od naocznego świadka, który mi tę całą awanturę opisał. Długo nie mogłam zasnąć myśląc o tém, a raniutko zerwałam się i przybiegłam tu do ciebie, kochana Marszałkowo! bo to nowina dla ciebie ważna, nie prawdaż? tém bardziej, że p. Adam z nią zerwał, a nawymyślawszy jój, dodał: idź sobie za mąż za kogo chcesz, ja takich brudów imieniem swém pokrywać nie będę. I wtedy trzasnąwszy drzwiami....

—Zdaje mi się, że drzwi były podobno wyłamane— przerwała z uśmiechem gospodyni domu.

—Musiały tam być insze jeszcze, kiedy niemi trzasnął, i pojechał prosto do Warszawy; tak jest wyraźnie w liście tego, który na to patrzył— rzekła niezmiészana Gazeta.

W téj chwili dał się słyszeć hurkot i gdy wszedł lokaj i doniósł, że przyjecha-

ła pani Chorążyna Nowinkowska, Plotkowska, śmiejąc się i bijąc wachlarzem po dłoni, zawołała:

—Oho! już pewnie wie. Obaczysz pani, że wie, bo ona wie wszystko i pewnie z tém przyleciała. Nieznośna to papuga.

Wtedy weszła z pośpiechem zapowiedziana pani Nowinkowska, kobiéta jeszcze nie stara, jeszcze przystojna i żywych ruchów, ale ubraniem swém, złożoném z zielonéj sukni, szaliku jakiegoś mieniaćcego koloru, i stroju na głowie z ponsowém piórem, usprawiedliwiająca nazwane papugi, jakie jój Plotkowska dała. Skoro zbliżyła się do stołu, przy którym obie damy powstały na jój powitanie, podała z żywém poruszeniem rękę jednej i drugiej, a siadając i patrząc bystro w oczy Plotkowskiej, czy jój nie uprzedziła w nowinie, z którą przyjechała, rzekła:

—Co za wypadek w Buchowcach! ja zawsze mówiłam, że się na tém skończy. Wyobrażcie sobie panie, że p. Adam roz-

irytowany jakimś listem bezimiennym, który odebrał w Kijowie, niespodziewanie zjechał do Buchowiec wczoraj koło godziny trzeciej. Zastał on tylko kilku młodych ludzi, którzy grali w karty w buduarze gospodyni domu i palili fajki, bo im tam wszystko wolno, i dla tego nie można ich zwabić gdzieindziej. Gdzie pani Naramicka?—zapytuje ich; a oni z drwinami i przekasami mówią mu, że daje lekcję Endymoniemu, to jest Karolowi Jaratońskiemu, w pawiloniku ogrodowym. P. Adam stanął jak pons; rzucił okiem na szkatułkę z pistoletami, która tam się znajdowała, bo ta waryatka strzela do celu i poluje; porwał ją pod pachę i poleciał jak szalony. Wszyscy pobiegli za nim, znając jego gwałtowność i wiedząc, że tam obaczy takie rzeczy, które go nie ostudzą i zimnej krwi mu nie dadzą.

—Ale zupełnie nie tak było, powiadam pani — rzekła Plotkowska, która już wytrzymać wersyi takiej nie mogła.

— Za pozwoleniem, — odpowiedziała prędko Nowinkowska — wiem od naocznego świadka, który na wszystko patrzył i był aktorem w tój brzydkiej scenie. Skoro przybiegł tam p. Adam, zostawił szkatułkę na ganku, a sam wszedł do pokoju. Co obaczył, to się łatwo domyślić, bo ci panowie, którzy za nim nadeszli, usłyszeli tylko krzyk pani Naramickiej, a potem ujrzeli, jak p. Adam wypadł ztamtąd z Karolkiem, który był bez surduta, a ją zamknął w pawilonie na klucz, który schował do kieszeni.

— I owszem, zrzucił Karolka z ganku, tak, że nogę złamał i rękę zwicznął — przerwała Plotkowska posuwając się z krzesłem.

— Za pozwoleniem — mówiła Nowinkowska przysuwając się ku niej — ja wiem od naocznego świadka. P. Jarański rwał się tylko do p. Adama, który go odepchnął, otworzył szkatułkę i wydobyl dwa pistolety. Karolek porwał jeden a on drugi, obaczyli czy nabite, ze-

szli ze schodków i p. Adam krzyknął na tych panów, co tam stali, żeby odmierzyli metę i byli świadkami. Ci chcieli perswadować; ale proszę perswadować takiemu szaleńcowi, jak p. Adam, i takiemu studentowi, jak Karolek, który chciał popisać się przed ładną kobietą i bronić skrzywdzonej kochanki. Stanęli więc zaraz o dziesięć kroków; jeden z obecnych komenderował, oni do siebie wymierzili, i paf! paf! a mój Karolek, jak długi na ziemię.

—Ale nie, tego nie było! — zawołała Plotkowska, bijąc wachlarzem po dłoni i przysuwając się z krzesłem.

—Za pozwoleniem — rzekła jeszcze prędzej Nowinkowska, przysuwając się także — wiem od naocznego świadka. Pani Naramicka, obaczywszy przez okno, że młodzieniec upadł i krwią się oblał, krzyknęła przeraźliwie, a nie mogąc drzwi parapetowych otworzyć, wybiła szybę, a wyciągając ręce i wychylając głowę z wołaniem o ratunek, tak pokaleczyła

szkłem ramiona obnażone i twarz, że cała oblana krwią upadła tam bez zmysłów. Widząc to ci panowie, a zwłaszcza p. Kazimierz Strobiński i p. Adolf Groblica, poskoczyli na ganek, wyłamali drzwi, i gdy tamci ratowali niebaczoną kobietę, której pewnie zostanie szram na twarzy na pamiątkę, a drudzy biednego młodzieńca, który leżał ranny, p. Adam rzucił w oczy Szambelanowi ów list, który odebrał, i rzekł mu: Powiedz jój, że moja ręka i moje imię nie dla takiej jak ona... et cetera; a sam poleciał ztamtąd prosto do Kijowa, starać się o paszport za granicę na trzy lata.

— Otóż nie tak było, zupełnie nie tak — mówiła Plotkowska zniecierpliwiona i przysuwając się z krzesłem.

— Za pozwoleniem — odpowiedziała Nowinkowska, przysuwając się także — ja muszę wiedzieć dokładniej.

— Przepraszam panią, mówiła zapalając się Plotkowska — ja wiem lepiej, że

pojedyńku nie było, tylko p. Karol złamał obie ręce i jedną nogę.

—Za pozwoleniem — zawołała już zapierzona Nowinkowska — został raniony i ona pokaleczyła się szkłem, tak, że zbrzydnie, bo będzie miała szram na twarzy. To jasno!

Gdy się tak obie sprzeczały, a Marszałkowska słuchała uśmiechając się i robiąc siatkę, stała od niejakiego czasu przy drzwiach kobieta słuszna, czarno ubrana, męzkich rysów, a trzymając w ręku wielką okrągłą tabakierę, a w drugiej chustkę, przysłuchiwała się co mówiły. Żadna ze znajdujących się w pokoju nie słyszała turkotu powozu i nie postrzegła, jak pani Sędzina Fabulicka weszła, odepchnąwszy lokaja, który chciał przyjazd jej oznajmić. Wśród najgorętszej sprzeczki zbliżyła się ona do stołu i grubym głosem rzekła:

—Ja panie pogodzę, ja wiem najlepiej.

— A! pani Sędzina Fabulicka! — za-

wołała gospodyni domu, podnosząc głowę od siatki i powstając dla powitania«— Niechże pani raczy siadać.

—Dobry dzień pani! jak się panie macie?— odpowiedziała Sędzina kiwnąwszy głową gospodyni i gościom, a wsuwając krzeselko między dwie sprzeczące się damy, które się na jój widok rozsunęły, usiadła, uderzyła palcami po tabakierce i rzekła:— W Buchowcach rzecz się miała tak. P. Adam wezwany listem bezimien-
nym, przyjechał tam śpiesznie. Zastał Szambelana na ganku i od niego dowiedział się, że p. Naramicka jest w pawilonie z nowym swym kochankiem. Zaraz więc z kocza wziął pistolet nabity kulą, schował go do kieszeni surduta, i przez furtkę ogrodową pobiegł na miejsce schadzki. Gdy stanął przy drzwiach parapetowych zamkniętych, obaczył przez szybę, że oboje byli na środku pokoju, że trzymali się za ręce i że ona się do niego mizdrzyła. Wtedy p. Adam krzyknął przeraźliwie, a ona przestraszona

rzuciła się w objęcia swego Dendymona, jak go zowią, i jak podobno nazywali tego chłopca, który był kochankiem miesiąca wtedy, kiedy miesiąc był kobietą. P. Adam, jak zawsze waryat i bez opamiętania, wymierzył pistolet i strzelił do nich przez szybę. Szyba się strzaskała i kula uderzyła tak nieszczęśliwie, że oboje padli na miejscu. Wtedy on rzucił do pokoju przez rozbite okno list ów bezimienny, który go do takiej furyi doprowadził, pobiegł na powrót, wsiadł do koczka, i poleciał prosto do Odessy, gdzie ma wsiąść na okręt i udać się do Stambułu, z postanowieniem takim, że jeżeli się dowie, że ich zabił oboje, to zostanie Turkiem i więcej nie wróci do kraju. Ot jak było!— dodała z tryumfującą miną, skrzypnęła tabakierką i wzięła dobrą szczyptę tabaki.

—To jakaś dziwna fabuła!— zawołała śmiejąc się gospodyni domu.

W tem wszystkiém niéma najmniej-

szego podobieństwa do prawdy!— mówiła Plotkowska.

—Za pozwoleniem, to czysta bajka— dodała prędko Nowinkowska.

—Panie wiécie swoje, a ja swoje — odpowiedziała Fabulicka nachyliwszy się i zapychając nos tabaką, którą trzymała w palcach.

—Było tylko złamanie ręki i dwóch nóg, ale do krwi nie doszło — mówiła Plotkowska.

—Za pozwoleniem, była krew przelana, ale nikt nie był zabity — przerwała Nowinkowska.

—I owszem, oboje padli na miejscu, a czy które zabite czy nie zabite, to czas pokaże— dodała Fabulicka.

—Ja wiem z listu naocznego świadka, że p. Adam pojechał do Warszawy— mówiła Plotkowska.

—Za pozwoleniem — przerwała Nowinkowska — Nie do Warszawy, ale do Kijowa po paszport za granicę. Ja wiem także dobrze.

—Ani do Warszawy, ani do Kijowa, ale do Odessy, a ztamtąd do Stambułu, gdzie zostanie Turkiem— wołała grubym głosem Fabulicka— a ja wiem najlepiej.

—Poczekajcie panie— rzekła wtedy Marszałkowa. — Zdaje mi się, że ktoś jeszcze przyjechał, ten nas może pogodzi. Kto to?— dodała obracając się do wchodzącego lokaja.

—P. Adam Mirowiecki— rzekł służący.

—P. Adam? — zawołały razem zadziwione, jak gdyby się raptem zjawił duch z tamtego świata, i wszystkie z krzesłami obróciły się tak, że mogły patrzeć na drzwi wchodowe, gdzie wkrótce stanął gość niespodziewany.

Marszałkowa, ucieszona w duchu tém zjawieniem, powstała z kanapy i postąpiła naprzeciw niemu parę kroków. On zaś rzuciwszy okiem na wszystkie te panie, zsunął nieznacznie brwi, i rzekł do siebie:

—Jest cała Junta w komplecie! tém lepiej.

Potém zbliżył się do Marszałkowej, ukłonił się, oddał ukłon siedzącym damom, które mu dygnęły, a zwracając się do gospodyni domu, rzekł:

—Przepraszam panią, że po tém wszystkiém, co o zamiarach i chęciach moich mogło dojść do uszu pani, i co zapewne w fałszywém postawiło mię światle, nie uprzedziłem panią listownie, i nie prosiłem o pozwolenie stawienia się przed panią w sprawie, w której teraz przybywam. Ale pewny byłem, że mam do czynienia z osobą pełną rozumu i pobłażliwości na słabości ludzkie, i że pani wybaczysz uchybieniu w formie, gdy idzie o rzecz daleko ważniejszą niż wszystkie formy.

— Nie mogę tego zataić— odpowiedziała Marszałkowa z powagą— że mnie przybycie pana zadziwia trochę, jako zupełnie niespodziewane. Ale w tém pan nie pomyliłeś się, że na formy zważać niebędę, jeżeli idzie o rzecz tak ważną, jak pan mówisz. Witam więc pana w moim

domu i pozwalałam sobie zapytać pana, jaki jest cel jego przybycia? Ale niechże pan siada — dodała zbliżając się do krzesła, i usiadła sama, ukazując mu drugie. Gdy p. Adam usiadł także, ona spojrzawszy na siedzące kobiety, które uszykowały się tak, aby lepiej słyszeć mogły, i całym uchem słuchały, dodała:— Ale może rzecz jest taka, że wymaga, abyśmy byli sami. Te panie są tak łaskawe, że zajmą się tu rozmową, a pozwolą nam oddalić się do mego pokoju.

—O nie, pani! — odpowiedział p. Adam, — prośba, jaką do pani mam zanieść, nie jest i nie może być tajemnicą. Owszem, życzę sobie, aby była głośną tak, jak się nią stanie, jeśli pani wysłuchać mię raczysz.

—Słucham pana— odpowiedziała Marszałkowa; a p. Adam, spojrzawszy nieznacznie na wytrzeszczone oczy trzech plotkarek, rzekł:

—Ja przyjechałem prosić panią o rękę panny Tekli.

—O rękę mojej córki?— zawołała Marszałkowa potrząsłszy głową i cała zarumieniona, a w téjże saméj chwili Plotkowska podskoczyła na krzesło i zaczęła się bić wachlarzem po dłoni; Nowinkowska spójrzała ku drzwiom, jakby już się chciała wymknąć; a Fabulicka skrzypnąwszy tabakierką, wzięła bernardyńską porcyę tabaki, i pociągnęła ją głośno i ze znaczeniem.

—Wiém ja— mówił dalej p. Adam— że w sercu p. Tekli powstać może głos, który się oprze mojej prośbie i obwiniac mię będzie. Nie zaprzeczam, że na to zasłużył. Ma ona prawo oskarżać mię lub o płochość, że nie korzystał ze szczęścia, jakie od razu otrzymać mogłem, lub o zuchwalstwo i zarozumienie, że teraz spodziewam się odzyskać to dobro, którem samocheąc utracił, jak gdybym go cenić nie miał. Byłbym bardzo nieszczęśliwym, gdyby wyrok ten, jeżeli go p. Tekla w piérwszój chwili wyda, był stanowczym i nieodwoalnym. Dla tego u-

ciekam się przedewszystkiém pod opiekę pani, wzywam jój pomocy i wpływu jako matki, i mam nadzieję, że je otrzymam.

—Na czémże pan tę nadzieję fundujesz?— zapytała Marszałkowa patrząc mu w oczy.— Jeżeli mam wesprzeć moją radą i wpływem intencye pana, potrzebuję mocno wierzyć w ich szczérość. Inaczéj trudno mi będzie podjąć się téj sprawy, którą pan sam uznajesz za złą i nie łatwą do prowadzenia.

—Zapewne— odpowiedział p. Adam— człowiek uczciwy, znający szczęście własne i szanujący cudze, wiedzący czego chce, a czego mu chcieć nie wolno, powinienby w każdym razie mieć dość mocy, aby odepchnął od siebie pokusę, która na oczy jego rzuca zasłonę i prowadzi go na zgubne bezdroże. Ale niestety! nie zawsze tak jest na świecie. Najczęściej pokusa mocniejszą jest od rozumu, który perswaduje, od przekonania, które potępia, a nawet od sumienia, którego wyrzuty i wśród krzyku namiętności sły-

szć się dają. Widziałem silniejszych i lepszych od siebie, których ta siła tajemnicza, jakiej ulegamy wszyscy, obłąkała gorzej niż mnie, bo z tego manowca, na który ich zaprowadziła, powrócić nie mogli. Ja nie mniej winny od innych, równie słaby jak ci wszyscy co zginęli, w tém jestem od nich szczęśliwszy, żem oprócz rozumu i sumienia, których wołanie możeby było nadaremne, miał jeszcze w sercu i w myśli obraz, dla którego cześć moja nie ustawała nigdy, i który mi pomógł zatrzymać się w porę, i opamiętać się wtedy, gdy przepaść nie była jeszcze tuż pod nogami. Domyślasz się pani, że tym obrazem, który mię uratował, był obraz p. Tekli; że ta myśl, która jak Anioł opiekuńczy nie odstępowała mię na chwilę, była myśl o jój szlachetném sercu, którem zranił, a którego czystość okazała mi się dopiero w całym blasku wtedy, gdym zajrzał w inne, gdym się przekonał, jakam zrobił zamianę, i jak wielkiem jest to szaleństwo, które

Bóg na mnie zesłał. Otóż, jeżeli pani wierzysz, że to co mówię jest szczerém, że powrót mój nie jest natchnieniem chwili, ale skutkiem głębokiego przekonania, że krok ten, jaki dziś robię, uważam za obowiązek honoru i sumienia, to weź pani w swe ręce tę sprawę, złą zapewne, ale nie zdesperowaną, jeśli się jój podejmiesz, i pozwól, abym całym życiem odpłacił córce pani za ratunek, jaki mi dała wtedy, gdy rozum mój milczał i sumienie za słabo mię przestrzegało.

—Możebym zgrzeszyła, jako matka dbająca o szczęście córki— odpowiedziała po chwili namysłu Marszałkowa — i jako chrześcijanka, której religija nakazuje wyrozumienie na błędy ludzkie, gdybym nie wierzyła w szczeróść tych słów pana, które mi się zdają płynąć z serca. Przyzwalając więc sama na prośbę pana, podejmuję się jego sprawy; ale przyrzekam panu tylko szczeré zajęcie się nią, nie rękując wszakże za skutek, bo raz na za-

wsze postanowiłam sobie ani widoków, ani woli mojej córce nie narzucać.

—Dziękuję pani — rzekł p. Adam wstając i kłaniając się z uszanowaniem — za jej przyzwolenie i łaskawą obietnicę. Racz pani o chęciach mych uprzedzić p. Marszałka i wyjednać mi także jego zezwolenie. Ale nadewszystko — dodał proszącym głosem — racz pani tak tylko przygotować p. Teklę, aby mogła znieść widok grzesznika, który przed nią stanie z pokorą i nieśmiało odezwie się do niej tym głosem, który serce jej niegdyś rozumiało. Za parę dni, jeśli pani pozwolisz, powrócę po wyrok, od którego zależy pokój mego życia, a co dla pani i dla mnie stokroć ważniejsze, od którego, jak myślę, zależy pokój i szczęście córki pani.

— Przyjeżdżaj pan — odpowiedziała Marszałkowa podając mu rękę, którą on pocałował, skłonił się obecnym i wyszedł, a wkrótce hurkot powozu obwieścił, że szybko odjechał. Gdy Marszałkowa, try-

umfująca w duchu i kontenta, że się to stało w obecności tych, co nowinkę taką w mgnieniu oka rozniosą, wracała do stołu, wszystkie trzy panie porwały się z miejsca i żegnać się z nią zaczęły.

—Bywaj mi zdrowa, droga Marszałkowo!— mówiła Plotkowska przed innymi, które także żegnać się chciały.

—Ale gdzież panie tak śpieszą?— rzekła Marszałkowa uśmiechnąwszy się nieznacznie.— Zaraz dadzą przekąskę. Niech panie raczą zatrzymać się.

—A! nie mam czasu— odpowiedziała Plotkowska dygając i ściskając jój rękę, a przy drzwiach rzekła sama do siebie śmiejąc się i bijąc się wachlarzem po dłoni:—Czysta komedia!

— Żegnam kochaną panią — mówiła w tymże samym prawie czasie Nowinkowska, a odchodząc dodała do siebie:— Co to za głowa! ale gada, jakby z francuzkiej książki.

—Adiu, droga Marszałkowo!— mówiła Fabulicka pakując do kieszeni tabakier-

kę i chustkę, a oddalając się, dodała ci-
szój: — Krótko i węzłowato i niby do ser-
ca, a łże wszystko, jak na mękach!

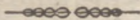
Gdy wszystkie wyszły i powóz jeden
za drugim odjeżdżał, Marszałkowa, po-
trząsłszy głową, rzekła z uśmiechem:

— Pilno im! tém lepiej, niech rozga-
dają o szczęściu Tekluni. Ciekawa jednak
jestem, co się tam stało w Buchowcach,
i co go przywiodło do tak nagłego posta-
nowienia. Muszę się dziś jeszcze widzieć
z Adolfem i dowiedzieć się o prawdzie.
Wszystko to, co one tu plotły, to czyste
bajki i ich własna kompozycya.

Tak mówiąc zadzwoniła. Gdy wszedł
służący dodała:

— Powiedz kozakowi p. Adolfa, żeby
był gotów. Zaraz dam mu odpowiedź.

I wyszła do swego pokoju.



W tydzień po owęj scenie w Buchow-
 cach, którój tak dziwaczne wersye sły-
 szeliśmy w Łozińcach u p. Łęgońskięj,
 przed godziną szóstą rano, trzech męż-
 czyzn stanęło na otwartęj łączce, otocz-
 nęj w około pięknym i dorodnym lasem.
 Łączka to była niewielka, ale ustronna,
 cicha, daleka od wsi i miasteczka, i wła-
 śnie odpowiedna sprawie jaka się tam od-
 być miała. Żadnęj tak nie można się by-
 ło lękać przeszkody, bo w otaczającym
 ją lesie, dobrze strzeżonym, nikt nie po-

lował i nie pał bydła, a siano, które las ten dawał, już było ścięte i zwiezione. Ptaszki tylko wesołe, szczęśliwe i wolne od ludzkich namiętności, przelatywały łączkę, siadając na przybrzeżnych drzewach, poiły się rosą niebios, która dla nich spadła w nocy i uperliła listki, a witając serdeczném śpiewaniem słońko jasne i ciepłe, przechylały ciekawe główki i przypatrywały się tym rozumnym stworzeniom, które tu stanęły zapewne bez pacierza, z myślą bezbożną i hołdującą głupiemu a jednak tak potężnemu przesądowi ziemi.

—Więc to tu?— rzekł jeden z owych mężczyzn, najmłodszy, z czołem zamysłoném i twarzą dziwnie piękną, ale bladą i smutną.

—Tu Karolku, wybrałem dla was plac boju— odpowiedział drugi mężczyzna wąsaty i groźnej miny, p. Apolinary Tężski, sekundant z professyi, znany w całej okolicy. —Tu upomnisz się o swą krzywdę, którą koniecznie trzeba krwią obmyć, i

pokażesz temu śmiałkowi, że niéma potrzeby czekać aż ci wąsy wyrosną, żebyś go nauczył rozumu i te pańskie fumy wybił mu trochę z głowy. Tylkoż pamiętaj, Karolku, o warunkach— dodał p. Apolinary, odchrząknąwszy heroicznie.— Pierwsza meta o dwadzieścia dwa kroki, druga o sześć. Każdy z was może iść ośm kroków i strzelić gdy zechce. Ale ty Karolku nie strzelaj za prędko i z daleka, broń Boże! mierz tylko i wytrzymuj, niech on strzela.

--Ależ uważaj p. Apolinary, że p. Adam bije w asa. Czemuż go nieuprzedzić?— rzekł drugi sekundant, Antoni Kozicki, mało co starszy od Karola, jego przyjaciel i kolega szkolny.

—To i cóż z tego!— odpowiedział z impozycją sekundant *ex professo*. — Wiem ja o tém dobrze, że ten bestya strzela jak orzech zgryzł; ale to co innego as, a co innego człowiek trzymający w ręku lufę, z której na niego zérka kula. Przy tém to jegomość gorący i hardy; strzeli

za prędko i mierzyć będzie źle, lekko sobie waząc młodzieńca, którego, kiep jakis! śmiał nazwać smarkaczem, pogroziwszy, że mu każe klęczyć. Dla tego to chybi, daję na to słowo honoru. A wtedy zawołaj go Karolku do mety, i jak na niej staniecie oba, zaczynaj ot tak, od kolan, podnoś rękę powoli, i jak przyjdiesz do pępka, pal bez miłosierdzia, a trafisz w same piersi tego panicza, którego trzeba nauczyć.

—Czyż koniecznie w piersi? — rzekł drugi sekundant.

—Mój panie Antoni! Pan jeszcze jesteś młody i pierwszy raz sekundujesz, odpowiedział odchrząkując p. Apolinary— to nie wiesz, że z tém niema co żartować. Oszczędzaj przeciwnika, to on ci za to odpłaci tak, że ci kulę wsadzi w sam łeb. Zresztą, to obraza krwawa, tu idzie o jego honor, który lada draśnięciem się nie konserwuje. Cobym ja u diabła był za sekundant, żebym o to nie dbał, i pozwolił na to, aby mu się ujma stała. Słuchaj

mnie Karolku! i popisz się tak, żebym ja się za ciebie nie wstydził.

—Dobrze, dobrze. Nie uchybię ani sobie, ani tobie. Możesz być spokojnym— rzekł Karolek, spojrzawszy ze wstrętem na człowieka, który tak gorliwe zdawał się pragnąć przelewu krwi cudzej. Potém wziął pod rękę drugiego sekundanta swego i usunął się z nim na stronę. A gdy p. Apolinary opatrywał pistolety, odmierzał metę, i pochrzając marsowo kładł na nie znaki, Karolek wspierając się na ramieniu przyjaciela, mówił:

—Pamiętasz Antosiu! jak niedawno, siedząc na piękném wzgórzu z sexternem w ręku, patrząc na płynący szeroko Dniepr, pragnąłem niecierpliwie, aby ów wstęp do księgi życia, który już mię nudzić zaczynał, jak najprędzej się skończył. Przyszło nareszcie i to, za czém tak gorąco wzdychałem. Z wolnością, której nie krępował niedostatek, ze swobodą, której nie zatrzuwała mozolna praca, której żadna nie zaćmiewała troska, prze-

rzucałem pierwsze księgi téj karty, obejrzałem się po nowym świecie, który mi otwierały, unosiłem się, zachwycąłem, poilem się rozkoszą i nadzieją, że im pójdę dalej, tém będzie piękniej i poetyczniej. Tymczasem cóż się stało? Oto zamiast cudnej ustroni, którą sobie obiecywałem, zamiast dalekich i czarujących widoków, którem roiłem, znalazłem się nagle na wydmie piaszczystej, bez cienia i kwiatów, i nie nauczywszy się nic, nie rozgrzawszy niczém serca i nie podniosłszy niczém myśli, widzę się dziś przy osiatniej stronnicy!

—Nie rozmiękczej-no się temi myślami teraz, kiedy ci potrzeba odwagi i zimnej krwi, którą stracić możesz— rzekł Antos patrząc na niego ze współczuciem.

—O! nie bój się!— odpowiedział śliczny młodzieniec z melancholicznym uśmiechem— odwagi mi nie zabraknie, zimnej krwi nie stracę. Owszem, nigdy jéj nie miałem więcej jak teraz. Ale nie mogę się przed tobą nie uzalić na ten zawód,

któregom doznał tak wcześnie. Pokazuje mi on w tój stanowczej chwili, że życie zupełnie jest czém inném, niż było to, com je sobie wymarzył. To téż wierz mi, nie życia mi żal, ale tych moich marzeń, które były tak cudne, które mi uleciały, i których już nie odszukam, choćby ta chwila nie była dla mnie ostatnią. Ale nie mówmy o tém. Co innego chciałem ci powiedzieć— dodał potarłszy ręką czoło.

—Masz list, którym ci dał do mojej matki?

—Mam, i mam nadzieję, że go nie oddam— odpowiedział Antoś.

—Jeżeli tu zostanę, co bardzo być może— mówił dalej Karol— jedź do niej jeszcze dziś, żeby cię jaka usługna przyjaciółka nie uprzedziła, i bez żadnego oszczędzania, od razu, nie uderzyła jój serca tym ciosem, który ją zabić może. Ty skomponuj wprzód jaką bajeczkę, żem spadł z konia, rękę lub nogę złamał, żeście mnie zawieźli do Orzechowicza, albo do Zawickiego, i jeśli moja matka uprze się jechać do mnie, zawieź ją do którego

bądź z tyrh zacnych lekarzy, i tam dopiero list mój oddaj.

—Zrobię jak każesz, chociaż Bóg da, że wszystkie te ostrożności nie będą potrzebne — odpowiedział Antos ze łąką w oku.

—Jeszcze jedno, — dodał Karol — przysięgnij mojej matce, tak jak ja ci przysięgam, że staję tu nie w obronie tej kobiety, która poświęcenia takiego nie warta; że tę miłość, jaką dla niej miałem, wyrwała z serca mego sama, wraz ze wszystkiemi illuzjami, które zdobiły moje życie; że bronię tu jedynie mojej krzywdy osobistej, mojego własnego honoru; że do zadania piersi jej macierzyńskiej tego ciosu przywiodła mnie konieczność, jakiej bez narażenia się na śmieszki i pogardę uniknąć nie mogłem. Ale już szóstka. Zaraz przyjadą; — dodał spojrzawszy na zegarek; a biorąc rękę Antosia, rzekł: — Bywaj zdrów kolego i przyjacielu! przemarzyliśmy razem młodość, ale nie możemy razem patrzeć na kolejne od-

stępstwo i znikanie tych wymarzonych postaci, co były tak piękne i tak nas słodko durzyły. Przygotuj-że się na te zawody sam, albo lepiej odsuń od siebie od razu to czarodziejstwo młodego wieku rzucające na błonie życia fałszywe prze-zrocze, pod którym, wierz mi, niéma nic, nic, tylko trzęsawisko i trawy błotne i trujące. A teraz idź, idź kochany Antoni! pomóż temu szafarzowi krwi cudzej, który się troszczy o mój honor, żeby wszystko było gotowe i w porządku. Ja jeszcze pacierz zmówię nim tamci nadjadą.

Antoś ścisnął z uczuciem jego rękę i zbliżył się do p. Apolinarego, który pa-trzył na zegarek i tryumfująco pochrząkiwał.

—A co? niéma tego zucha! — rzekł wreszcie — Powinniśmy byli przyjechać pierwsi, jako wyzywający; ale jeśli się spóźnią jeszcze pięć minut, będzie brzydko.

—Czyś pan już wszystko przygotował?
—zapytał Antoś.

—Meta odmierzona, pistolety gotowe, a tu proch i kule.— Odpowiedział p. Apolinary.— Jak przyjadą, nabijemy razem, aby nie było żadnego fałszu, bo to sprawa honorowa, za którą odpowiadalibyśmy, gdyby nie przyszło do krwi, do której koniecznie przyjść powinno. Co on tam panu mówił?— dodał konfidencyjnie. — Czy tylko młodzieniaszek nie zmiękł i nie proponował panu, abys pozwolił na wycofanie się. Ani pan sobie tego nie przypuszczaj do głowy. Kiedy co robić, to robić dobrze. Tu idzie o honor i ja na żadne układy nie pozwolę.

—Nie było o tém mowy, uspokój się pan,— rzekł Antoś odwracając się od niego; a postrzegłszy p. Adama, który wszedł w towarzystwie Adolfa, Kazimierza Strobińskiego i młodego lekarza Zawickiego, dodał: —Ale otóż i ci panowie!

P. Adam miał minę poważną i zamyśloną. Towarzysze jego także. Wszyscy czuli, że to walka nierówna, a powód jej błahy i nie wart tego, aby dlań narażać

życie. P. Adam zbliżył się zwolna, spojrział ze współczuciem na stojącego z boku Karolka i obracając się do swoich sekundantów, rzekł:

—Róbcie panowie co do was należy.—
A gdy sekundanci zeszli się, i skłoniwszy się sobie, zaczęli oglądać i nabijać broń, p. Adam zwrócił się do lekarza i dodał: —Kochany Eskulapie! rozwiń i ty swoje uczone oręże, może będą potrzebne, jeśli się uprą.

—Szkoda ładnego i zdolnego chłopaka— rzekł lekarz otworzywszy szkatułkę z instrumentami.

—A mnież nie szkoda?— mówił p. Adam uśmiechając się— zwłaszcza teraz, gdy mi się oczy otworzyły; gdym przejrzał i poznał, co jest prawdziwie pięknem i godnym hołdu rozumnego człowieka, gdy przy innych środkach, jakie mam, mogę otrzymać tyle szczęścia, ile go tylko ziemia dać może. Szkoda tego młodzieńca, bo on ryzykuje wszystkie mary

złotego wieku, wszystkie dwudziesto-letnie nadzieje, które dla niego są prawdą i dobrą niezmierną; ale szkoda i mnie, bom już kosztem zawodów i szaleństw zdobył to, co on widzi okiem duszy; bom już stanął na tym gruncie, do którego on unosi się tylko na skrzydłach wyobraźni; bo ja ryzykuję już nie złudzenie, ale prawdę, nie marę, ale dobro rzeczywiste i niezawodne. A szanse dla nas różne. Moja zimna krew i trafność strzału nie zbawi mię. Jego strzał może i powinien uprzedzić mój, a któż zaręczyć zdoła gdzie pójdzie jego kula, i jaka siła poniesie ją do celu? I to wszystko dla głupstwa, dla fraszki, dla próżności, drapującej się w poważny płaszcz honoru i odwagi męskiego serca! Tyle razy już stawałem na tym placu, gdzie bezmyślnie i śmiejąc się niósł życie na ofiarę za sprzeczkę równie niedorzeczną i jak ta głupią; ale nigdy tego nie czułem więcej jak dziś, że już czas, aby ten bałwan, któremu się kłaniamy, spadł ze swego pie-

destału, aby na nim inne stanęło bóstwo, i innéj od nas wymagało religii.

—No, niech panowie stają, wszystko już gotowe— rzekł zacierając ręce i odchrząkując p. Apolinary.

Zbliżyli się oba przeciwnicy i powitali się ukłonem. P. Apolinary podał pistolet Karolowi, Groblica p. Adamowi, i ten swego, a ten swego pacyenta postawił na pierwszój mecie.

—Ułożyliśmy się tak— dodał p. Apolinary— że ja będę komenderował. A jak powiem raz, dwa, trzy, każdy z panów niech idzie ku drugiej mecie. Warunki są, że można strzelić gdzie się podoba, a można iść do saméj mety i tam strzelać. Ale strzelić trzeba koniecznie, bo tu idzie o honor, który mi p. Jaratoński, jako ciężko obrażony, powierzył, i za który ja, z tym oto kolegą moim, przed ludźmi honorowymi odpowiadamy. Niechże panowie będą gotowi.

To powiedziawszy, odchrząknął mocno,

stanał z boku i rozstawił dłonie dla kłaskania w czasie komedy.

—Za pozwoleniem— rzekł wówczas lekarz występując. —Pozwólcie mi panowie powiedzieć jeszcze słowo.

—Wszystko już powiedziano co było do powiedzenia — mówił niecierpliwie się p. Apolinary. — O żadnej zgodzie nie może być mowa. Warunki już przez nas ułożone. Nasza rzecz strzedz, aby się dopełniły według praw honoru, a pańska rzecz dać równą pomoc tak jednej, jak drugiej stronie, jeżeli który z tych panów padnie, lub krew popłynie, bez czego tu obejść się nie może. Zaczynam więc.

—Przepraszam pana— odezwał się wtedy p. Adolf— słowo nie przeszkodzi czynowi, jeśli i potem okaże się konieczność spotkania się taka sama jaką pan widzisz teraz. Nasza rzecz, jako sekundantów, pilnować, aby się wszystko odbyło uczciwie i w równych dla obu warunkach, ale krępować języka tych panów nie mamy prawa.

—Tak jest istotnie— rzekł wówczas p.

Adam— dla tego pozwól doktorze, że ja powiem coś ty mógł i chciał powiedzieć— potém obracając się do swego przeciwnika, dodał: —Panie Karolu! czyś pan o tém pomyślał, który z nas ciężej obrażony, i czyja krzywda większa? Pan zakochałeś się w kobiecie, którą ja pokochałem wprzód, i która dała mi słowo, że będzie moją. Nie przewyciężając téj namiętności, którój ci zresztą, jako młodemu nie mam za złe, starałeś się pan wszelkiemi siłami odebrać mi, lub spodlić niewiarą tę, którą ja uważałem wówczas za moje dobro. Ja w uczuciu swéj krzywdy, i w uniesieniu, którego mi pan także nie powinienes mieć za złe, nazwałem pana podobno smarkaczem, i pogroziłem panu, że ci każę klęczyć. Wszak tak było.

—Alboż to mało!— zawołał p. Apolinary, uprzedzając odpowiedź Karolka— dla młodzieńca z honorem to obraza taka, że nie da się zdmuchnąć słowami.

— Sądzę — rzekł p. Adam, hamując

w sobie gniew— że p. Teżski wie o tém dobrze, że ja się kuli nie boję; ale o tém zdaje się zapominać, co mu przypomnieć muszę, że obowiązkiem sekundanta, jeżeli ma prawdziwe wyobrażenie o honorze, jest nie fermentować namiętności, ale otwierać oczy temu, którego ona zaślepia. Pozwól mi więc pan dokończyć, abym ja dopełnił powinności, która właściwie należy do pana — i obracając się z łagodnym wejrzeniem do swego przeciwnika, dodał: —Panie Karolu! jeżeli pan bronisz honoru p. Naramickiej, to muszę ci powiedzieć, że bronisz sprawy złej i takiej, która się uratować nie da. Sam to zapewne widzisz dobrze, że ona takiej ofiary nie warta.

—O tém wiem — odpowiedział Karol śmiało i bez zadrżenia— tu idzie o co innego, nie o honor kokietki bez serca, którą pogardzam.

—Więc pan chcesz tylko dać nam dowód, a mnie przedewszystkiem— mówił

p, Adam—żem ci ubliżył, nazywając cię dzieciakiem....

—I zmuszę pana, abys to odwołał!— przerwał rozgniewany młodzieniec— i nie traktował mię jak smarkacza.

—Zmusisz mię?— odpowiedział czerwieniąc się p. Adam.

—Tak jest, powinien pana zmusić— odezwał się p. Apolinary— choćby kosztem krwi własnej. Inaczéj pokazałby wszystkim, że tak jest istotnie jakieś pan powiedział.

—Dosyc tego. Komenderuj pan— zawołał Karol, który zadrzał na te słowa swego sekundanta i odwiódł kurek.

—Jeżeli tak, to komenderuj pan— rzekł p. Adam spójrzawszy groźnie na Tęzkiego— a obaczmy, czy ktokolwiek zdoła zmusić mię, abym odwoływał to, czego bym dobrowolnie odwołać nie chciał.

Wszyscy poruszyli się z wyrazem wstętu na twarzy, i wyteżyli wzrok na obu przeciwników. Karolek stanął w pozycji; p. Adam obejrzał broń, odwiódł ku-

rek i stanął także w gotowości. Gdy p. Apolinary wymówił: raz, dwa, trzy! oba ruszyli z miejsca. P. Adam od pierwszego kroku wyciągnął pistolet, zaczął mierzyć i przymierzać, widać umyślnie w tym celu, aby skłonić młodego człowieka żeby strzelił pierwszy. Ale odważny Karolek szedł śmiało z wyciągniętą bronią i z tą samą widać chęcią. Takim sposobem przyszli oba aż do mety. Serce drżało we wszystkich obecnych, oprócz w p. Apolinarym, który ruszał wąsami, nie kontent, że jeszcze krwi nie było. Gdy oba byli już tak blisko siebie, iż każdy mógł dojrzieć kulę w lufie przeciwnika, postali na mecie kilka sekund, a p. Adam opuszczając broń, rzekł zimno.

— Czemuż pan nie strzelasz?

— Pan masz pierwszy strzał, jako wyzwany — odpowiedział śmiały młodzieniec.

— W takich warunkach pojedynku pierwszeństwa niema — rzekł p. Adam — każdy może strzelać gdzie chce, począw-

szy od piérwszój mety, aż do drugiej.

—Więc strzelaj pan — zawołał zapalając się Karol.

—To za blisko. Zabiłbym cię śmiały młodzieńcze! A tego nie chcę — odpowiedział ze wzruszeniem p. Adam.

—To wróćmy do piérwszój mety i strzelaj pan, a litość swą schowaj dla kogo innego— wołał z ogniem Karol.

—Ha! to wróćmy, jeśliś taki uparty— mówił p. Adam ruszając ramionami.

I znowu stanęli na piérwszój mecie, a p. Apolinary, mimo perswazyi innych sekundantów, wołających dosyć, dosyć! zaczął komendę. Gdy wyrzekł: raz, dwa, trzy! ruszyli się oba. P. Adam znowu mierzył i nie strzelał, Karolek także szedł śmiało z wyciągniętą bronią i także nie strzelał. Skoro oba stanęli na drugiej mecie i wytrzymali parę sekund, p. Adam odrzucił pistolet, i tak stał jeszcze przez chwilę pod wymierzoną bronią przeciwnika i nie spuszczał z niego wzroku. Wszystkim włosy na głowie powstały i

oddech zatrzymał się w piersiach; a p. Apolinary mówił sobie w duchu:

—Osioł, nie strzela kiedy ma prawo.

Gdy tak przeszło kilka sekund, Karolek zdziwiony taką odwagą i zimną krwią człowieka, który go ocalił z widoczném narażeniem własnego życia, cisnął daleko od siebie pistolet i postąpił ku niemu parę kroków. P. Adam otworzył ramiona, a młody człowiek rzucając się w jego objęcia, zawołał:

—O! dziękuję panu za tę naukę, nie zapomnę jój póki żyć będę.

—Dzielny młodzieńcze!— mówił p. Adam ściskając go— na dwudziestu twoich rówieśników, niema pewnie dwóch z takim sercem jak twoje.

—Niech żyje Adam Mirowiecki! wivat Karol Jaratoński!— wołali wszyscy w uniesieniu i ściskać się zaczęli.

—Tamtego znamy oddawna— dodał Adolf biorąc rękę Karola— człowiek to ze szlachetném i lwim sercem. Aleś i ty bohater, mój drogi Endymionie, wart

lepszéj Dyany, niż ta, co nas wszystkich w pole wyprowadza.

— Tfy!— zawołał wtedy p. Apolinary stając między niemi.— Więc panowie taką mizerną komedyjką chcecie skończyć sprawę honorową?

— A pan chciałbyś tragedyi, i krwi lub trupa?— zapytał surowo p. Adam.

— Ja myślę— odpowiedział p. Apolinary podejmując pistolet, który p. Adam rzucił— iż taka sprawa nie powinna się była skończyć tak, że te pistolety trzeba będzie wystrzelić na wróble, nim pójdą do szkatułki.

— Oszczędzę panu téj fatygi!— krzyknął wtedy p. Adam— Adolfie! podaj mi pistolet Karolka— a wzięwszy podaną sobie broń i stojąc na mecie, dodał groźnie:— Stawaj pan! komenderuj Adolfie!

— Co? co? ja?— rzekł zmieszany p. Apolinary— a to na co? za daleko pan żart posuwasz?

— Ja nie żartuję, do milion set diabłów!— zawołał p. Adam— ale wzywam

cię, żebyś stanął, jeśli się nie boisz. Pragniesz krwi, będziesz ją miał; bo do ciebie strzelę, i jak mi Bóg miły, nie chybię, jeśli mię nie uprzedzisz. Komenderuj pan, panie Adolfie!

—Raz, dwa, trzy!— wołał Adolf, klaszcząc w ręce, i z uśmiechem patrząc na tchórza, który zbladł i cofając się, spuścił kurek pistoletu.

—Więc nie chcesz?— pytał p. Adam postępując groźnie.

—Widzi pan dobrodziej— mówił p. Apolinary cofając się i dławiąc— ja... to jest ja... co do mojej osoby, uważam pojedynkę za barbarzyństwo, gdzie niema obrazy.

—A wiész dla czego— mówił p. Adam—oto dla tego, żeś tchórz, i patrzysz odważnie tylko na cudzą krew a nie na swoją.

—Przepraszam pana dobrodzieja— odpowiedział drżąc p. Apolinary— nie dla tego wcale, ale dla tej przyczyny, że ja jestem człowiek sumienny, i małe obra-

zy, jak np. taka, wspaniałomyślnie przebaczam.

Wszyscy parsknęli głośnym śmiechem, a p. Adam spuściwszy kurek pistoletu, który oddał Antosiowi, rzekł:

—Chciejcie panowie ogłosić w okolicy, w mojem imieniu, że to jest człowiek wspaniałomyślny, który wszelkie obrazy własne przebacza, a cudzych tylko nie znosi i krwi się za nie domaga. Karolku! zabierz swoją broń i siadaj ze mną. Proszę panów do siebie na śniadanie. A potem pojedziemy wszyscy do twojej matki, mój dzielny bohaterze, aby jej powinszować takiego syna. Służę panom.

Karol ścisnął rękę p. Adama, Antoś zamknął szkatułkę z bronią i wziął ją pod pachę, doktor zabrał skrzyneczkę swą z instrumentami, i wszyscy weseli i kontenci z takiego rezultatu, zabierali się do wyjścia. Wtedy p. Apolinary widząc, że do niego nikt się nie zwraca, i nadrabiając miną, rzekł:

—A cóż z wami robić! nie chcieliście

huknąć z pistoletów, to przynajmniej niech hukną butelki. Służę panu z ochotą i ja.

—Przepraszam pana, ale ja pana nie proszę— rzekł p. Adam.

—Co to? jakto? mam tu zostać sam jeden w lesie?— mówił zmieszany sekundant, i obracając się do Jaratońskiego, dodał: —Panie Karolu! czémże wrócę i gdzie śniadanie?

—Rób pan jak chcesz. Ja dla pana nie mam żadnych obowiązków— odpowiedział Karol obojętnie— gdybym cię był słuchał, byłbym może na całe życie miał do czynienia z własnym sumieniem. Nie znam pana.

I wszyscy wzięwszy się pod ręce poszli, a zostawiony sekundant z professyi, zaciskając pięści, zawołał:

—Otóż to wdzięczność! rób-że tu komu dobrze! tfy! tchórze i mazgaje! Co ja tu pocznę? do wszystkich diabłów! Ale cicho, któryś przecie wraca! Ba nie, to kto inny.

W téj chwili Szambelan, w czapce na tył głowy zagiętéj, z brodą zasuniętą głęboko w halsztuch, z laską w ręku, wynurzył się z pomiędzy drzew, i oglądając się, rzekł:

—Więc to tu ma być pojedynek. Sekundant już jest.

—Och! to ty Szambelanie! Otóż to doskonale, żeś się zjawił. Spadłeś mi jak z nieba — mówił p. Apolinary zbliżając się do Szambelana.

—Ledwieciem was wyszpiegowałem — mówił Szambelan — i schodziłem się okrutnie. Jakiem był w Peterburgu, tom tylko raz był w takich potach. Jeszcze ich niéma?

—Ba! już pojechali, a mnie huncwoty zostawili — mówił p. Apolinary — mnie, powiadam ci Szambelanie, którym dla nich najwięcej pracowałem.

—Więc pojedynek już był? — zapytał Szambelan — Do diabła! a ja tu przyjechałem od pani Naramickiej, żeby spot-

kaniu *coute qui coute* przeszkodzić, i żeby im wyperswadować.

—Naco tym kpom perswadować, kiedy oni sobie wyperswadowali sami— mówił p. Apolinary.

—Więc nie było pojedynku?— rzekł znowu Szambelan wydobywając chustkę z-za surduta i obcierając pot z łysiny— Toż chwala Bogu!

—I był i nie był— mówił p. Apolinary— ale to długo o tém gadać. Powiedzno lepiej Szambelanie, masz ty powóz?

—Mam wózek dość ciasny— odpowiedział Szambelan.

—To musisz mię zabrać, choć ciasny— mówił p. Apolinary— zmieścimy się jakkolwiek, a w drodze rozpowiem ci, jak się spisali błazny! A śniadanie tam będzie?

—Czemu nie, być może— rzekł Szambelan— tylko mi to dziwno, że cię zostawili tak, żeś głodny, i gdybym się był nie zdarzył, musiałbyś ruszać do domu *per pedes apostolorum*.

—Otóż widzisz, zostawili mię tak te huncwoty— rzekł p. Apolinary biorąc na rękę lekki płaszczyk, który leżał jako znak na mecie— sekundujże tu drugi raz z całą gorliwością tchórzom, co się krwi boją i tylko do siebie mierzą, jak na kpi-ny. Ale mniejsza o to. Odpłacę ja im to przy okazji. Chodźmy, bom głodny.

—Czy wiesz panie bracie, że to kazus nie lada— mówił Szambelan patrząc nań filuternie. — Jakem był w Peterburgu, widziałem raz....

—At! daj mi pokój z temi baśniami, kiedym zły i jeść mi się chce fatalnie. Pójdźmy.— Rzekł p. Apolinary, i wziąwszy pod rękę Szambelana, pociągnął go za sobą.

W kilkanaście dni po owym pojedynku, który miał wielki rozgłos, i którego szczegóły, najdziwaczniej poprzekęcane dokomponowanemi dodatkami, rozeszły się po najodleglejszych powiatach prowincyi w której się zdarzył, do domu p. Marszałkowej Łęgowskiej zjechali się

świadkowie, którzy mieli być obecni przy ślubie panny Tekli z p. Adamem Mirowieckim. Nie było ich wielu, a celniej-
 si, jako to p. Adolf Groblica, który miał do ślubu prowadzić pannę młodą, p. Kazimierz Strobiński, którego siostrą, Anie-
 la, panienska młodziutka i śliczna, miała prowadzić pana młodego, i Karol Jaro-
 toński, dla którego p. Adam stał się ide-
 ałem mężczyzny, i który go prawie nie
 odstępował, byli już w salonie. Wszyscy
 trzej we frakach, w białych chustkach na
 szyi i białych kamizelkach, wyczesani,
 podfryzowani, jak na bal, otaczali ów
 stół okrągły przed kanapą, gdzie leżała
 ta sama poduszczyk atłasowa z piaskiem,
 i przypięta do niej owa nieśmiertelna
 siatka, której Marszałkowa widać jeszcze
 nie skończyła, i którą, jak druga Pene-
 lopa, może w nocy podpruwała, aby jej
 nigdy nie skończyć.

—Dziwna rzecz!— rzekł Adolf pozie-
 wając i wyciągając się w fotelu, na któ-
 rym usiadł— jak tu nie wesoło. Gdybym

siebie i was nie widział tak postrojonych, i nie wiedział, że w tym oto pokoju moja wujenka przymierza już czwartą toaletę, a każda jój wydaje się za mało wygorsowaną; że tam znowu ubierają w białą i czystą sukienkę moją kuzynkę, również białą i czystą jak śnieg Alpejski, że na jój śliczne włosy zarzucają welon aż do ziemi, a na czoło zamyślane kładą mirtowy wieniec, tobym powiedział, że będziemy świadkami raczej pogrzebu, a nie ślubu, którego wszyscy pragną.

—Czy pewny jesteś— mówił Kazimierz siadając— że ślubu tego wszyscy pragną?

—Że go pragnie papa— odpowiedział Adolf— o tém nie wątpię, i to z dwóch względów. Piérwszy jest ten, że małżeństwo to uśmiecha się jego żonie, a drugi, ważniejszy ten, że p. Adam ma doskonałego kucharza. Bo jakkolwiek mój wuj, tak jak większość mężów u nas, należy do zakonu braci pantoflowych, ten jednak drugi względ przeważa. Gdym mu wczoraj opowiedział, jakiego indyka *en*

daube dał nam jego Tremo, imiennik, a może i potomek sławnego kucharza króla Stanisława, pamiętacie, na owém śniadaniu po pojedynku, uważałem, że oczy mojego wujaszka wystąpiły na wierzch, podniosła się jego warga, język zaczął szukać podniebienia, a ręka sięgnęła do kieszeni od kamizelki, szukając już piórka od zębów. A to jest zawsze u niego znakiem podniesionego gastronomicznego uczucia, i dowodem, że człowiekowi, który ma tak znakomitego kulinarnego artystę, jakiego ma p. Adam, powierzyłby chętnie nawet swój brzuszek, a nie dopiero córkę.

—No, a mama?— zapytał uśmiechając się Karolek.—Ta przynajmniej musi pragnąć tego związku li dla szczęścia córki.

—Mylisz się mój drogi Endymionie!— odpowiedział Adolf.—Ty, jako młody entuzjasta, widzący wszystko w tym nowym ideale mężczyzny, który ci się objawił wtedy, gdy stał z niezmrzużonem okiem pod kulą twego pistoletu, sądzisz,

że on będzie takim mężem, jakim jest dziś i będzie dalej dla ciebie przyjacielem i kolegą. Moja wujenka zimniej patrzy na te rzeczy i przenikliwszém okiem ogląda na przyszłość.

—Więc ona nie pragnie tego związku? rzekł Karol.

—I owszem pragnie, i bardzo pragnie, —odpowiedział Adolf, poprawiając się w krześle— ale nie li dla szczęścia córki, które dla niej, jako kobiety mającej rozum, równie jak i dla mnie, którego niektóre panie, jak np. Plotkowska, o to samo posądzają, jest wątpliwém i trochę problematyczném.

—Dla czegoż poświęca córkę?—zapytał Karol.

—Widzisz, kochany Endymonie! Kazio uśmiecha się, bo miarkuje dla czego odpowiedział Adolf— a tobie trzeba to wytlómaczyć. Chociaż bowiem w sercu twém, jak w sercu Cyda, męstwo lat nie czekało i przyszło wprzódym wasy; ale doświadczenie życia nie jest rośliną wio-

śnianą. To ziarno ozime, mój drogi, które musi wyleżeć pod śniegiem i dopiero wtedy wzrasta i dojrzewa. Moja wujenka jest matką, to prawda, ale jest i Marszałkowa, a każda polska szlachcianka, która jest Maszałkową, a zwłaszcza taka jak ta, która się urodziła w domu niby pańskim, i z tego tytułu siedzi po całych dniach wystrojona na kanapie i robi siatkę, jest przede wszystkim Marszałkową, a dopiero potem matką. Dama taka więcej myśli o tém, że córka jej wróci do pańskiego domu, będzie mieszkać w pałacu, będzie przyjmować księżny i hrabiny, niż o tém, że ten, któremu ją oddaje, chociaż wyższy sercem i głową od nas wszystkich, ale namiętny i niestały, w postanowieniach swych gwałtowny i prędki, może wkrótce sprzykrzyć sobie kobietę piękną i cichą, jednostajną i potulną, ale nie drażniącą go narkotycznie, jak ta, która nam wszystkim odebrała rozum, i która, gdyby był Pan Bóg nie strzegł, i ty Karolku, gdybyś się był nie wysunął naprzód śmieliej od nas

na rekonesans, który nas wyratował, była-
by nas dotąd wodziła za nos w najlepsze.

—Przesadzasz Adolfie!— rzekł Karol
—i w widokach próżności, które przypisujesz swojej wujence, i w opinii o p. Adamie, nad którego człowieka szlachetniejszego nie znam.

—I ja nie znam także szlachetniejszego umysłu i lepszego serca— mówił Adolf powstając—jak ma ten twój ideał, który jest także i moim we wszystkich stosunkach towarzyskich, oprócz w miłości. W tym ostatnim względzie p. Adam jest jednym z tych śmiałych żeglarzy, któremu potrzeba morza, który wtedy dopiero żyje i używa, kocha i admiruje żywioł co go unosi, kiedy co chwila lęka się burzy, kiedy wie, że spiętrzona fala może go rzucić w przepaść, ale także i wznieść pod chmury. Spokojne zwierciadło jeziora, choć pod niem ukrywa się wielka głębia, a w niem odbija się niebo, uspi go i znudzi niezawodnie.

—Porównanie to wprowadzie nie zu-

pełnie trafne i mocno naciągnięte— rzekł wtedy Kazimierz — ale bardzo się boję, czy myśl, jaką wyrazić chciało, nie jest prawdziwa i trafna. Nie wiele ja znam p. Teklę, ale samo wejrzenie na tę twarz, w której maluje się tak wiele uczucia, a co przecież zdaje się tylko częścią tego, co leży w głębi téj duszy kochającój i zdolnéj do poświęcenia, czyni ją nad wszelki wyraz interesującą. Dla tego nie mogę na nią patrzeć bez jakiegoś tajemnego drżenia o jój przyszłość, jakkolwiek szacuję i kocham człowieka, któremu się oddaje.

—O! jeżeli doświadczenie— rzekł wtedy Karolek z ożywieniem — ma dawać sercu taką niewiarę we wszystko co szlachetne i wielkie, jaką w was postrzegam, to nie chcę go wcale. Wolę ja to, co teraz widzę, co mi się zdaje tak jasnym jak dzień, tak pewnym jak grunt na którym stoję. Stokroć piękniejsze są moje mary z ich liściem i kwiatem, niż wasze doświadczenie, które jak zeschnięte drze-

wo razi wzrok nagiemi gałęziami, skrzy-
pi tylko pod uderzeniem wiatru, ale ani
orzeźwiającym cieniem nie ochładza cia-
ła, ani szumem poetycznym nie przema-
wia do duszy.

—Prawda, święta prawda, drogi Karol-
ku!— rzekł Adolf z uśmiechem— któżby
nie chciał zostać zawsze młodym i cia-
łem i sercem. Ale cóż na to poradzisz,
kiedy dzień za dniem idzie nieubłagane
i ściera z twarzy rumieniec, a z myśli i
uczucie ten puch dziewiczy, co je tak zdo-
bi. Niestety! żadne kosmetyki, ani ta-
kie, jakich teraz używa moja droga wu-
jenka, ani kosmetyki moralne, które
chciałbym wykomponować dla ciebie i
siebie, nie zdołają ochronić twarzy od
zmarszczków i serca od tych bruzd, któ-
re w niem pług życia wyżłabia. Tam to,
mój drogi, mimo woli i wiedzy, zasiewa
się samo to oplakane doświadczenie, roz-
rasta się w nich i zagłusza to wszystko,
w cośmy w młodości wierzyli i cośmy
tak gorąco kochali. Uśmiechasz się i nie

wierzysz; za lat kilka pomówimy o tém obszerniej, a teraz zapytaj się panny Katarzyny, ona ci to samo powie.

W téj chwili wchodziła właśnie do sali p. Katarzyna, świąteczniej niż zwykle ubrana i niosła na tacy srebrnej kilka bukiecików mirtowych, przewiązanych kokardami z białej wstążki; i mających wpięte w kokardy szpilki złote, które i do przymocowania bukietu i na pamiątkę ślubu służyć miały. Twarz jęj była blada, wzrok schylony ku ziemi. Gdy usłyszała ostatnie słowa Adolfa, podniosła oczy i spójrzała nań tak, jakby wymówkę jaką zrobić mu chciała; ale po tém westchnąwszy tylko lekko i ruszywszy nieznacznie ramionami, zbliżyła się do stołu i stawiając na nim tackę, rzekła:

—Macie tu panowie kokardy. Wszystkie są jednakowe. Raczcie sobie usłużyć sami. P. Tekla za chwilkę będzie gotowa; p. Marszałkowa już prawie ubrana, a sądzę, że i p. Adam wkrótce się ukaże,

—Dziękujemy pani— odpowiedział A-

dolf z uśmiechem i ukłonem.— Radzi nie radzi musimy sobie usłużyć sami, chociaż te weselne kokardy, przypięte ręką družki, w której sercu jest tyle przywiązania dla panny młodej, piękniejby przy sukniach naszych jaśniały, i możeby nam dały cokolwiek wesela, którego doprawdy nie mamy. Myśmy bardzo melancholiczni, p. Katarzyno!

—Jabym mogła sądzić przeciwnie— rzekła ze smutnym uśmiechem. Gdy tu weszła, słyszałam, żeś pan wspomniał moje imie. A wiem to z doświadczenia, że wiele razy pan o mnie mówisz, to mówisz jeżeli nie złośliwie to dowcipnie. Dowcip zaś z natury swojej jest owocem wesołego usposobienia, nie melancholii, i rodzi a przynajmniej rodzić powinien śmiech a nie smutek.

—Niestety! tak to być powinno, ale tak nie jest,— odpowiedział Adolf z komiczném upokorzeniem.— Dzień ten weselny coś mi się wydaje mglistym i czémś ciężkiem przygniata nas wszystkich.

Ja zgłupiałem, ci panowie zachmurzyli się i żaden uśmiechnąć się nawet nie chce, a i w oczach pani widać jakąś czy wątpliwość, czy obawę dnia jutrzejszego, która panią czyni podejrzliwą względem mnie, choć na to nie zasługuję wcale. Niechże mi pani raczy powiedzieć, czy przynajmniej kuzynka moja wygląda inaczej niż my, czy jest pokój na jej czole, czy oczy iskrzą się szczęściem, czy usta jej uśmiechają się tym uśmiechem nadziei, z jaką każda narzeczona wita tę czarowną chwilę, której się tylko raz w życiu doznaje.

—Widziałeś ją pan niedawno, i wiesz jak wygląda — odpowiedziała p. Katarzyna seryo. — Od tej chwili nic się nie zmieniło. Ślubna suknia nie uspokoiłaby jej serca, jeśliby jaka niepewność przyspieszyła jego uderzenia; zielony wieniec, który położyliśmy na jej głowie, nie wygładziłby jej czoła, gdyby go marszczyły myśli trwożliwe i szczęściu jej grożące. Zresztą pan wiesz, że p. Tekla kocha całym sercem tego, któremu się oddaje, a

dla każdej kobiety w miłości tak czystej i serdecznej jest sekret siły i pokoju, z którymi patrzy w przyszłość, jest tajemnicze źródło tej nadziei, że niezawodnie udźwignie i poniesie z rezygnacją choćby najcięższy krzyż, jaki powinność żony włoży na jej ramiona. W takim usposobieniu jest w obecnej chwili kuzynka pańska, jeśliś pan ciekawy, i mogę pana upewnić, że obaczysz na jej czole pokój, z jakim każda rozumna kobieta wstępuje na drogę, którą wybrała sama, a w oczach jej i na ustach tę nadzieję, że cokolwiek Bóg da, zniesie i nikogo obwiniać nie będzie.

—Ah! droga p. Katarzyno! — mówił Adolf przechyliwszy miłosiernie głowę— Pokój wypracowany na warsztacie rozumu! przewidywanie krzyża i nadzieja siły do niesienia go: Niestety! mętny to pokój, nie wesoła nadzieja! I to jest właśnie, jak myślę, ten gęsty obłok, który nad nami ciąży, chociaż wystroiliśmy się na ten ślub, którego wolałbym nie wi-

dzieć. Ale otóż i wujenka w całym blasku macierzyńskiego szczęścia! O! gdyby moja śliczna kuzynka nauczyła się przynajmniej tak znosić swój krzyż, jeśli ją czeka, jak moja droga wujenka znosi swój, byłbym daleko spokojniejszym, i możeby mi wróciło to, co pani nazywasz dowcipem, a co jest Bóg wie jaką mieszaniną łez i śmiechu, piołunu i cukierków, kwiatków i pokrzywy.

Kazimierz i Karolek uśmiechnęli się, a p. Katarzyna, patrząc na wystrojoną Marszałkową, która stała we drzwiach swego pokoju i czytała jakiś bilecik, ruszyła ramionami, i obracając się do Adolfa, rzekła z przyciskiem:

— Nikomu pan nie darujesz.

— Powiedz posłańcowi — rzekła Marszałkowa obracając się do wnętrza swego pokoju, zapewne do służącej, która jęj przyniosła bilecik — że najdalej za pół godziny będziemy w kościele.

Potém zbliżając się do stołu, przy którym stali rozmawiający, rzuciła bilecik

do koszyka z kłębuszkami wełny, i zapytała p. Katarzynę:

—Czy Teklunia jeszcze nie gotowa?

—Za chwilę będzie ubrana— odpowiedziała p. Katarzyna.

—Proszę powiedzieć Kozłowskięj, żeby pośpieszała z tą toaletą mojej córki, bo już późno i czekają nas w kościele— rzekła Marszałkowa, dążąc ku miejscu swemu na kanapie.

P. Katarzyna spojrzała na Adolfa, który się uśmiechnął i poszła.

Marszałkowa, obracając się do młodych ludzi okrążających stół, rzekła:

—P. Adam jeszcze podobno u siebie. Panowie jesteście najakuratniejsi.

—Przypadek to zdarzył, droga wujeczko!— rzekł Adolf— że nam trzem udało się zawiązać dobrze od razu chustkę na szyi, co w naszej toalecie trwa najdłużej i ma najwięcej sekretów. Gdyby nie ten szczęśliwy traf, byłaby nas wujenka uprzedziła i zawstydziła wszystkich. To też admiruję tę spokojność ducha wu-

jenki dobrodziki, która zapewne pomogła jej do zwalczenia tych wszystkich trudności, na jakie damy w tak skomplikowanej toalecie swojej natrafiają. Moja piękna kuzynka, mając stanąć przed ołtarzem, ma zapewne więcej przeszkód w tym niepokoju, który ją ogarnia; P. Adam także musi dotąd walczyć z fontaziem swego halsztucha, który mu się pewnie nie udaje, bo ręka jego drży niezawodnie; dla tego jeszcze nie gotowi są oboje. A nawet wujaszek dobrodziój....

—Czy także od niespokojnych myśli nie może zawiązać chustki na szyję?— przerwała Marszałkowa śmiejąc się i siadając.

—Cóżby to było dziwnego!— zawołał Adolf z westchnieniem i komicznym wyrazem twarzy.— Jako troskliwy ojciec takiego dziecka, które oddaje z domu....

—Nie przypisuj-no mu, mój p. Adolfie —przerwała znowu Marszałkowa— myśli i niepokojów, jakich nie ma, a raczej pofatyguj się i ostrzeż go, że właśnie ode-

brałam bilecik od ks. kanonika, w którym mi pisze, że wszyscy czekają już na nas w kościele. Ale niechże panowie tymczasem usiądą— dodała zwracając się do obu młodych ludzi, którzy stali przy stole.

P. Kazimierz usiadł i zaczął z Marszałkową jakąś zwyczajną rozmowę, a Adolf biorąc pod rękę Karola i odprowadzając go na bok, rzekł pół głosem:

—Jakże ci się teraz zdaje, Karolku! czy ta wystrojona baba dla szczęścia córki oddaje ją tak spokojnie człowiekowi, w którego miłość nie wierzy? Załóż się ze mną o te pistolety, które cię tak wysoko w opinii naszej postawiły, że zamiast pójść położyć rękę macierzyńską na sercu biédnej dziewczyny, które pewnie bije z trwogą i walczy z miłością co je ogarnęła, ona zacznie robić siatkę i rozmawiając z wami o pogodzie, myśleć będzie o téj kanapie, na której w pałacu córki swój na pierwszym miejscu usiadzie, wśród utytułowanych srok, sta-

rających się paplać po francuzku, lepiej od samych Francuzek. O! wierz mi, ona żyć będzie sto lat, a téj cudnéj istocie, na której głowę kładą tam cierniową koronę, ja, twój admirał, kochany Endymionie, daję ledwie kilka lat życia.

Karol obrócił się ku Marszałkowej, która już w rzeczy samej robiła siatkę, potrząsając głową, a gdy Adolf puścił jego rękę i postąpił ku drzwiom do przedpokoju, drzwi te otwarły się i stanął w nich Marszałek, w obwisłym fraku, z serwetą założoną za biały halsztuch, z talerzem w lewej ręce, a z widelcem w prawej.

—A! a! wujaszek dobrodziej!— zawołał Adolf, tłumiąc w sobie śmiech na ten widok, a robiąc mu miejsce, dodał:— Coś to doskonałego ma wujaszek na talerzu, bo czuję zapach tak tentujący, że nawet ks. gwardyan Brusilowski, gdyby leżał na katafalku, wstałby i skosztował.

—A widzisz!— rzekł Marszałek klapiąc ustami i smakując. — Skosztuj-że i ty. Właśnie dla ciebie kąsek ten niosę. Rzecz

wyśmienita, jak moją żonę kocham, i u-
dała się Jakóbowi, choć on nie Francuz.
Aleś i ty dzwonił na to kazanie, Adolfie!
Według twojego wczorajszego opowiada-
nia i z pomocą książki, którą codzień kła-
dąc się i wstając wertuję, kazałem mu
przyrzadzić tego indyka *en daube*, i chło-
pak pojał od razu. Patrz-no, co za garni-
tur! Ten Tremo p. Adama musi być maj-
ster nie lada. Skosztuj-no!

—Ba!— zawołał Adolf biorąc widelec
z rąk Marszałka. — Nie darmoż się tak
nazywa. Jest to kucharz, mój wujaszku,
należący do najpiérwszój w kraju arysto-
kracyi kucharskiój. To imię historyczne
i pełne zasługi. Przodek jego karmił owe-
go nieśmiertelnego króla, który o wiek
cały przyspieszył upadek.... barbarzyń-
stwa u nas. Gdyby ów Tremo był mniej
biegłym, a król Stanisław mniej się znał
na kuchni i gorzej jadał, bylibyśmy zo-
stali przy zrazach i kaszy i nie postąpili
wcale w oświeceniu, w którém teraz stoi-
my na równi z innými narodami Europy.

Widzi tedy wujaszek dobrodziej, jakiego będzie miał zięcia!

—To też bardzom kontent i pewny jestem szczęścia Tekluni— rzekł Marszałek. Ale skosztuj-no. Ja doprawdy odjeść się nie mogłem, i każę tego indyka *en daube* podać na zimno, zaraz po zupie.

—Dla czegoż chcesz, żeby p. Adolf zepsuł sobie apetyt do obiadu— rzekła głośno Marszałkowa, trzęsąc głową ze złości i dzwoniąc mocno. Wtedy Marszałek wtknął prędko talerz Adolfowi, który poglądał ironicznie na męża i żonę, a gdy lokaj wygalonowany wszedł, ona dodała prędko: —Zapewne p. Adolf zechce oddać ten talerz Ignacemu, a i ty mężu oddaj mu serwetę, o której zapomniałeś i która do ubrania twego nie należy. Zaraz przyjdzie nasz przyszły zięć i wszyscy się zbiorą, a sądzę, że w takiej chwili przynajmniej jedzenie nie jest na swoim miejscu.

—A siatka?— rzekł Marszałek ciszój

do Adolfa, uśmiechając się z miną napół głupowatą, na pół złośliwą.

—Pst! wujaszku!— odpowiedział Adolf ukazując mu nieznacznie żonę; i oddał talerz słudze, który zabrał go wraz z serwetą i wyszedł. Wtedy Marszałek machnął ręką z poddaniem się przemocy, dobył z kamizelki piórko i zaczął zęby wykalać, a Adolf, wzięwszy znowu pod rękę Karola i odprowadzając go na bok, rzekł:

—Mówią, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Nieprawda to, drogi Karolku! Bo patrz, czym nie zgadł dla czego ten żarłok pragnie p. Adama za zięcia? czym ci nie przepowiedział, że ta zimna egoistka, w tej chwili najuroczystszej dla każdej matki, usiądzie do tej roboty, którą, jak mi Bóg miły, dziś w wieczór niby przypadkiem postrzygę. O! biedna moja kuzynka! Wytlómacz mi teraz nieoceniony młodzieńcze! dla czego z takich rodziców urodziła się taka córka? jakim sposobem ten człowiek, który ko-

cha tylko indyka na zimno, i ta kobiéta, która kocha rzecz sto razy gorszą od indyka, bo tylko siebie, mogli dać życie anielskiej istocie, która tak gorąco i z zapomnieniem własnego szczęścia pokochała p. Adama? Ach! jest to jeden z tych sekretów natury, o jakich nie śniło się nawet téj filozofii niemieckiej, której ty lat kilka pod dzwonami złoconej wieży waszój służyłaś.

W téj chwili wszedł P. Adam, w odpowiednim uroczystości stroju, w białych rękawiczkach i z kapeluszem w ręku. Bujne włosy na bok zaczesane odkrywały piękne jego czoło lekko zmarszczone, w oczach był wyraz powagi i zamyślenia, a wąsy jego starannie ułożone, drgały pod ruchem ust zaciśniętych, na których nie było uśmiechu. Postąpiwszy parę kroków, spjorzał on na obecnych z podniesioną głową, rzucił bystry wzrok na przyszłego teścia, który miał w ręku piórko od zębów, i na matkę, która nagle wstrzymała ruch swojej iglicy, skłonił

się im, a zbliżając się do Adolfa i Karolka, zapytał:

—O czémże to *à parte*?

—Niestety!— odpowiedział Adolf z miłą przeniknioną— mówimy tu właśnie o filozofii niemieckiej.

—A!— rzekł p. Adam zsuwając brwi i poglądając nieznacznie na przyszłych rodziców swoich— Spekulacya i teoria obok najpraktyczniejszych zatrudnień domowego życia. Wszystko to w porę!

—O przyjacielu!— odpowiedział Adolf —tyle rzeczy dzieje się na świecie nie w porę, tylu ludzi jest nie na swoim miejscu, tak zmieszane tu jest białe z czarném, miękkie z twardém, rozumne z głupiem, że ja świat ten, a w szczególności nasz powiat, ze wszystkiemi jego marszałkami, uważam za półmisek winegretu, gdzie kartofelki i buraczki, cielęcinka i skrawki indyka, kosteczki łososia i szczupaka pływają razem w occie i oliwie. Gdyby wszystko działa się w porę i każdy znajdował się na swoim miejscu, to mój wu-

jaszek byłby teraz w kuchni z fartuchem u pasa i czapką papierową na głowie, moja wujenka byłaby w magazynie strojów z krążkiem wstążki i łokciem w ręku, a ja.

—A ty?— przerwał p. Adam z uśmiechem.

—Ja— odpowiedział Adolf patrząc mu przenikliwie w oczy— byłbym teraz u nóg tej czarodziejki, którą opuściliśmy wszyscy, i która jak gwiazda zbłąkana bujać będzie po niebie, nim ją jaki astronom teleskopem swym wyszuka i znowu na firmament nasz sprowadzi.

P. Adam odwrócił się prędko, a widząc, że Marszałkowa złożyła swą robotę i powstała, Marszałek schował piórko i postępuje ku niemu, zbliżył się do nich i rzekł:

—Przepraszam, żem się cokolwiek opóźnił, ale jak widzę nie jestem ostatnim— dodał obejrzawszy się na drzwi panny Tekli.

—Teklunia za chwilę wyjdzie— od-

powiedziała Marszałkowa— powozy stoją przed gankiem, a ks. Kanonik czeka nas w kościele, w którym pełno już ciekawych.

—Wkrótce więc spełnią się najgorętsze moje życzenia — rzekł p. Adam basowym głosem i tłumiąc w sobie westchnienie— a mam nadzieję, że tym samym spełnią się i życzenia p. Tekli, której radbym już powiedzieć w obec Boga i ludzi to, czemu uwierzyła wtedy, gdy na to nie zasługiwał wcale.

Marszałek ukłonił mu się z głupowatą miną, Marszałkowa słuchała go z oczami schyłonymi ku ziemi, p. Kazimierz odwrócił się z westchnieniem, a Adolf szepnął Karolowi:

—A teraz myślisz, że zasługuje? O Karolku! twój ideał skłamię przed Bogiem, jak kłamię w tej chwili przed sobą samym, chociaż o tém nie wie. Biędna moja kuzynka! i patrz, jaka piękna!

Gdy to mówił nieubłagany i przenikliwy szyderca, drzwi z lewej strony o-

twarły się i weszła właśnie p. Tekla, a za nią obie jój družki: p. Aniela Strobińska i p. Katarzyna Semenowska. P. Tekla postąpiła naprzód z wypogodzonym czołem, z twarzą bladą, ale spokojną. Nie było wprawdzie uśmiechu na jój ustach, ale coś tak łagodnego, tak anielskiego jaśniało w całej téj postaci, odzianej w białą odzież niewinności, z wieńcem nadziei na czole, z zasłoną wstydlivości dziewiczej, spływającą po jój obnażonych ramionach, że p. Adam wstrząsł się cały i spuścił oczy, skoro na niego spojrzeła, że p. Kazimierz zbliżył się do niej mimowoli, patrzył z największym współczuciem, że Karolek, zachwycony jój widokiem, rzekł do Adolfa:

— Nie wierzę, sto razy nie wierzę w to wszystko, coś mówił. On ją czeić będzie.

Gdy p. Tekla przystąpiła do ojca i pocałowała go w rękę, a potém do matki, która wtedy dopiero znalazła coś do poprawienia w jój toalecie, p. Aniela, widząc, że p. Adam niéma jeszcze kokardy

przy fraku, wzięła z tacy bukiet i szpilkę i przystępując do niego z uśmiechem, rzekła:

—Pan nie ma jeszcze weselnego znaku, jaki tu mają wszyscy, a który panu przed innymi należy. Pozwólże pan, że ja go panu przypnę; wszak to powinność družki. Przytém powiem panu, że wszystkie te życzenia, jakie się odemnie przyjacielowi mego brata należą, spełnią się niewątpliwie.

Gdy p. Adam się skłonił, a ona podniosła się na paluszkach, aby dosięgnąć do klapy jego fraka, szepnęła mu jeszcze nieznacznie:

—Bóg daje panu anioła w postaci pięknej kobiety. Im więcej ją poznaję, tym pewniejszą jestem, że pan będziesz szczęśliwym. o! i bardzo szczęśliwym, jeżeli tylko zechcesz, i nie zbuntujesz się przeciw tej straży miłości, jaką cię ona otoczy.

—I ja o szczęściu mém nie wątpię, droga panno Anielo!— odpowiedział p. Adam półgłosem.— Wszelki bunt jest dzieckiem

pychy i nierozumu. Te kilka tygodni, którem już przecie przebył, dały mi pokorę i dojrzałość zupełną. Bądź pani tego pewną.

—Jesteśmy w komplecie i wszyscy gotowi. Możemy więc jechać— rzekła Marszałkowa z pośpiechem, widząc, że bukiety już przypięty i p. Adam odstąpił od p. Anieli z ukłonem.

—Pozwól mi mamó jeszcze chwilkę— odpowiedziała p. Tekla, podnosząc ku niej oczy, w których było pełno tkliwości i prośby.— Mam jeszcze parę słów powiedzieć p. Adamowi, który mię pewnie posłuchać zechce. Niech rodzice raczą nas tu zostawić samych. Mamó droga!— dodała całując rękę matki— poproś ojca i tych panów do swego pokoju.

—Chodź mężu! służę panom— rzekła Marszałkowa, potrząsłszy głową z nieukontentowaniem i spojrzawszy dyplomatycznie na drżącą córkę. Potém wzięła pod rękę p. Anielę i poszła naprzód, Gdy wszyscy weszli do jęj pokoju, a p. Kata-

rzyna szła na końcu, p. Tekla postąpiła ku niej z jakimś ruchem gorączkowym, wzięła ją za rękę i rzekła:

—Kasiu! zostań ze mną.

Zamknęły się więc drzwi od pokoju Marszałkowej, p. Katarzyna usunęła się we framugę okna i tam stanęła, a przyszli małżonkowie zostali na środku salonu. Po krótkim milczeniu, p. Tekla rzekła głosem słodkim i drżącym, ale nie bojaźliwym:

—Daruj mi p. Adamie, żem cię na chwilę zatrzymała, choć uważałam od tego momentu, jakeś do mnie wrócił, że pragniesz, aby się jak najprędzej spełniło to, coś postanowił. Nie długo ci zajmę. Nie mogę jednak, póki jeszcze czas, nie wyrazić ci wątpliwości, jakie mnie dręczą.

—Wątpliwości?— rzekł żywiej p. Adam— i w tej chwili?

—O tak, właśnie w tej chwili, której ważność czuję teraz więcéj niżelim przewidywać mogła— odpowiedziała p. Tekla, a widząc, że się czoło jego lekko zmarn-

szczyło, dodała tonem błagającym:— Nadewszystko zaklinam cię, p. Adamie! posłuchaj mnie spokojnie i wysłuchaj cierpliwie aż do końca. Należąc do ciebie oddawna sercem i duszą, mając teraz być twoją zupełnie, podległą twój woli i rozumowi, dzielącą się z tobą w każdej chwili chlebem życia, pragnę, abys czytał w myśli mej, jak ja czytam sama, i wiedział wszystko to, czego się spodziewam, czego się boję, co mogę i powinam postanowić. jeżeli tę trwożę, która może jest niewczesną, jako człowiek szczerý i sumienny, potwierdzisz słowem szczerém i stanowczém. Niech cię to nie wstrzymuje, p. Adamie, że stoimy już prawie na stopniach ołtarza. Jeszcze jest czas, i ja spokojnie i z odwagą zdejmę tę sukienkę szczęścia, w którą mnie ubrano niewłaściwie, zrzucę z czoła ten wieńiec nadziei, jakiej mieć nie powinnam i czekać będę z poddaniem się i pokorą, aż przyjdzie chwila, w której mię znowu ubiorą w ten sam strój dziewiczy, i

na uroczystość daleko ważniejszą, niż ta, jaką teraz obchodzić mamy.

—Droga panno Teklo!— rzekł p. Adam ze współczuciem —Ten wstęp zastrasza mię, te myśli, które nie wiem dla czego przychodzą ci teraz, upokarzają mię i ranią. Wyznaję, zawiniłem przeciwko tobie płocho i ciężko; ale czyż ta spowiedź, jakąm u nóg twych złożył, nie obmyła mię z tego grzechu i nie wlała w serce twe, które mi przebaczyło, téj wiary, że żal mój szczéry i poprawa stanowcza?

—Staliżbyśmy tak obok siebie— odpowiedziała p. Tekla, spojrzawszy nań z miłością — gdybym téj wiary nie miała? Mam ją i teraz, p. Adamie, i dla tego podaję ci rękę i mówię z głębi serca: wierzę ci i przebaczam, kochałam cię i Kocham i będę twoją do śmierci. Ale oprócz téj wiary, że ten szacunek, ta cześć, ta przyjaźń, o której mi mówiłeś, są prawdziwe i święte, miałam jeszcze i tę słodką nadzieję, że widząc, czém dla ciebie jestem i czém pragnę być zawsze, poko-

chasz mię także; że mnie pokochasz tyle, abysyś czuł, że ci miłość moja wystarcza do szczęścia; abym ja to widzieć mogła i spokojnie używała swojego; abym kładąc się i wstając mogła dziękować Bogu, że ci ze mną dobrze na ziemi, i że nie załujesz pośpiechu téj chwili, w której przyszło ci na myśl wrócić do mnie i podać mi swą rękę.

P. Adam zamyślił się i po kilku sekundach, biorąc jój rękę, odpowiedział.

—Zdaje mi się droga panno Teklo! że ta nadzieja powinna już była stać się pewnością, że jeżeli z początku miałaś prawo powątpiewać, to dziś powątpiewaniem swém nie tylko zasmucasz mię boleśnie, ale wyrządzasz krzywdę mojemu sercu i mojej głowie. Takżem ograniczony, abym się nie poznał na wartości anioła, którego Bóg stawia na straży przy moim boku? takżem zły i zepsuty, abym ci nie odplacił całym życiem za to życie, które mi oddajesz, i miłością serdeczną za tę miłość nieograniczoną; na której

dziś funduję moje szczęście, które przez nią tylko otrzymać mogę, jeżeli mi Bóg tak przebaczył, jakieś mi ty przebaczyła?

—Dziękuję ci p. Adamie za te wyrazy, któremi mnie umocnić starasz się— rzekła p. Tekla, patrząc mu przenikliwie w oczy. A gdy p. Adam wzroku jój wytrzymać nie mógł i schylił oczy ku ziemi, ona usuwając swą rękę, cofnęła się parę kroków i dodała z powagą i mocą: —A jednak, p. Adamie! nim staniemy tam, gdzie słowo wymówione staje się przysięgą wiążącą do śmierci; gdzie każdą myśl, jaka tam przychodzi, Bóg widzi czy jest prawdą, czy fałszem, świętością czy grzechem; muszę cię uprzedzić, i chcę abyś o tém wiedział, że ta godzina, w której się przekonam, że moja nadzieja była urojeniem, że walczysz z sercem swém i czujesz ciężar tych kajdan, jakie na siebie włożyłeś, będzie dla mnie ostatnią. Teraz, jeżeliś tak pewny tych słów, któreś tu wyrzekł, w obec téj jedynéj przyjaciółki, która urobiła i wy-

chowała moją duszę, otwórz te drzwi, wezwij tu rodziców.... i jedźmy!

To ostatnie słowo wymówiła prawie zjękiem, a gdy p. Katarzyna widząc jej stan, postąpiła ku niej, p. Tekla oparła głowę na jej ramieniu i mocno płakać zaczęła. P. Adam powstał przez chwilę, patrząc z niemém wzruszeniem na obie kobiety, potem potarł ręką czoło, wstrząsł się, jakby chciał oddalić od siebie natchnienie, może dobre, jakie mu w tym momencie przyszło, i postąpiwszy śmiało ku drzwiom, otworzył je i rzekł głosem mocnym i spokojnym:

—Służę państwu! jużeśmy skończyli.

Nim wszyscy weszli, p. Tekla podniosła głowę i otarła oczy, a on przystąpił do niej prędko i podając jej rękę, rzekł:

—Wykonałem coś mi kazała. Rodzice już są. Upadnijmyż im do nóg i jedźmy tam, gdzie Bóg czytać będzie w mojej myśli, a ty i ludzie usłyszą moje słowa, które wymówię głośno i bez wahania się, jak

się wymawia prawda i obietnica święta i niezłomna.

P. Tekla położyła rękę swą na jego rękę i uklękli oboje przed ojcem i matką. Marszałkowa przeżegnała ich takim ruchem, jakby machnęła iglicą, a Marszałek cmoknąwszy wargami, jakby co smakował, rzekł:

—Niech was Pan Bóg błogosławi!

—I Tremo niech wam zawsze gotuje— rzekł Adolf, a nachyliwszy się do Karolka, dodał seryo: —O młodzieńcze, którego czeka taki sam obrzęd, ty coś słuchał lat kilka filozofii jasnej i ciemnej, napisz rozprawę o tém, co daje godność ojcu i matce, co uzacnia ich rodzicielski charakter, co uświęca ich postacie tak, że widok schylonych przed niemi głów dzieci i ugiętych ich kolan, podnosi duszę obecnych i łączy im wyciska; co znowu sprawia, że to klękanie przed niemi staje się zwyczajem głupim i śmiesznym, który jak tyle niedorzecznych komedyj

naszego życia usunąćby i wyświstać należało.

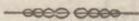
—Idźmy więc w imię Boże — rzekła wreszcie Marszałkowa i cały orszak ruszył naprzód. Adolf podał rękę p. Tekli, p. Adam p. Anieli, Karolek p. Katarzynie, p. Kazimierz poprowadził Marszałkową, a Marszałek zostawszy na końcu, rzekł do lokaja, który stał przy drzwiach:

—Powiedz Jakóbowi, żeby ten indyk *en daube* był zimny i dany po zupie. Rozumiész?

—Rozumiem jasne welmożny panie— odpowiedział sługa kiwnąwszy głową.

I wkrótce dał się słyszeć hurkot, i wszyscy pojechali do sąsiedniego miasteczka, gdzie w kościele parafialnym, w obecności wielu ciekawych gości, wśród których kręciła się i szeptała Plotkowska, gdzie widać było czerwone pióro Nowinkowskiej i słyszeć skrzyp tabakierki Fabulickiej, gdzie nadto, piękniejsza

niż kiedykolwiek stała tuż przy ołtarzu Eleonora, której się tam nikt nie spodziewał; odbył się ślub panny Tekli Łęgowskięj i p. Adama Mirowieckiego.



IV.

W rok potém, na zielone święta, był jak zwykle wielki zjazd do Humania obywateli podolskich. W drugie święto, przed samym wieczorem, nadzwyczaj pogodnym i ciepłym, spacerowało po ulicach pięknej Sofiówki mnóstwo panów, rozmawiających o gospodarstwie, o polityce, lub o wypadkach rannego preferansa; wiele pań, które przywiozły tam z sobą nowe toalety z Odessy i nowe plotki z sąsiedztwa; wielu spekulantów szukających posagu, i wielu naiwnych młodzieńców, szukających serca i wychowa-

nia; wiele panien, które szukały takiego, coby dla miłości ich wniosku udał miłość do ich osoby, i zamrużywszy oczy zabrał resztki wdzięków i młodości, i wiele dziewczątek ślicznych, z pobożną duszą i szczérém sercem, które szukały tkliwém okiem tego, którego im Bóg przeznaczył, aby mu oddać w całości wszystko, co miały najdroższego: czyste i kochające serce, czyste i niewinne ciało. Wśród téj tak licznej i tak różnorodnej kompanii, znajdowały się prawie wszystkie osoby tego dramatu, który radzi nie radzi musimy rozwinąć przed myślą czytelników naszych w druku, kiedy nam tak ciężko pokazać go oczom widzów na niegościnnéj dla nas scenie naszego teatru.

Na platformie przed owym domem, obłożonym niegdyś korą dębową, którego obszerne i słomiane poddasze wspierało się na rzędzie kolumn z rodzimych dębów, a którego wnętrze zdobił gust i wykwintny przepych, stał Adolf Groblica, Kazimierz Strobiński i Karol Jaratoński.

Rozmawiali oni wesoło i rozmaite robili uwagi, patrząc na zaludnione ulice, idące po obu stronach źwierciadła wody, które błyszczało wśród najpiękniejszych kwiatów i rozciągało się aż do owéj sztucznej groty, z którój zsuwa się ciągle szyba kryształowa, a przez jéj przezrocze błyszczą posąg Wenery Knidejskiéj.

—Co za cudny wieczór!— rzekł Kazimierz oglądając się w około — jak piękna i jak zaludniona dziś Sofiówka!

Mnóstwo znajomych już jest, a do jutra zbiegnie się wszystko, co najbogatsze i najpiękniejsze na Podolu— mówił Karol, pomuskując wąsiki, które mu od roku znacznie podrosły.

—Tak, tak, jest to jarmarczek, taki dobry, jak inne— dodał Adolf z szyderskim uśmiechem — w Jarmolińcach na konie, w Berdyczowie na barany, w Kijowie na dusze męzkie z ziemią, a tu na dusze żeńskie z posagiem. Ale o tém późném. Teraz spojrzysz na Kaziu na Karolka, i zważ, co może czas, ów szarlatan bie-

glejszy od wszystkich włoskich szarlata-
nów, który ma plastry na wszelkie rany,
instrumenta na wszystkie narośla, kro-
ple i elixiry na wszystkie piegi, brodaw-
ki i nagniotki, jakie trapią rodzaj ludzki.

—Z jakichże to piegów ten szarlatan
twój mnie wykurował?— zapytał Karol
uśmiechając się.

—Powinieneś mu być bardzo wdzięcz-
nym— odpowiedział Adolf.— On w prze-
ciągu jednego roku uwolnił cię od na-
gniotka, który ci mocno dolegał; on ci
dał tę ozdobę, której mocno pragnąłeś,
a której wzrostu i dojrzewania pragnie tak-
że pewna osoba, malutka i drobna z po-
staci, ale wielka wdziękiem, wysoka ser-
cem i umysłem, a o której łaskę i wzglę-
dy warto, abyś się tu jednemu z nas u-
kłonił.

Karol zarumienił się, spojrział mimo-
wolnie na Kazimierza, a ten uśmiecha-
jąc się, rzekł;

—To do twoich wąsików, p. Karolu,
Adolf strzela. Są ludzie, którym one nie

dają dojrzałości, są tacy, co są dojrzałi sercem i głową i bez nich. Rozumna kobieta potrafi się na tém poznać. A jeżeli jój Bóg da natchnienie zgodne z tém, co jój radzi brat i własny rozum, to powie sobie zapewne: on młody i ja młoda, możemy zaczekać, nim prawo i przyzwoitość pozwolą nam powiedzieć sobie głośno to, o czém oboje wiemy już doskonale.

--Dziękuję ci kochany p. Kazimierz za te słowa. Są one dla mnie daleko droższe, niż ci się nawet wydaje — zawołał ucieszony Karolek, ściskając ręce brata panny Aniéli, która zajęła go od owego ślubu, na którym widzieli się po raz piérwszy.

—A mnież nie podziękujesz?— zapytał Adolf.

—I tobie, i tobie przyjacielu, za to, żeś tę kwestyą wywołał— rzekł Karol.

—Cichoż bądź, bo śliczny ten wilk, o którym tu mowa, tuż przed nami!— dodał Adolf ukazując w ulicę, zkąd wkrót-

ce nadeszła p. Aniela w towarzystwie jakiejś damy. Ubrana była bardzo ładnie, choć skromnie, twarz miała uśmiechającą się i nie tak poważną jak wtedy, gdy rok temu, przypinając bukiet p. Adamowi, tak zbawienną dała mu przestrożę.

Zbliżywszy się do młodych ludzi, którzy obie damy powitali ukłonem, i spotkawszy się z rozmiłowaném wejrzeniem Karola, zarumieniła się niezmiernie, a chcąc ukryć to dziewicze zawstydzenie, co ją zdradzało, obróciła się prędko do brata, położyła rączkę na jego rękę i rzekła :

—Czy wiesz Kaziu, kogo widziałam? wyobraź sobie, koło groty stoi Szambelan Bużek i rozmawia z zajęciem z temi paniami, co to wszystko radeby wiedzieć, a którym p. Adolf często podszeptuje nowinki, z których one robią dziwolągi.

—Szambelan!— rzekli z podziwieniem Karol i Kazimierz.

—Cóż to dziwnego!— dodał Adolf— P. Naramicka zreformowała się od czasu

téj katastrofy, która nas wszystkich trzech wybawiła z jéj kajdan, chociaż niektórych oddała w inne. W czasie ślubu p. Adama, gdzie się zjawiła tak niespodziewanie, wysłuchiwała perory ks. Kanonika Szamockiego, w której skreślił tak dobitnie i tak długo obraz kobiety skromnej i pobożnej, że postanowiła być także skromną i pobożną. I odtąd podobno nie gorsuje się, nie jeździ konno, nie strzela ani z fuzyj, ani oczami, nie pozwala w buduarze swoim grać w karty młodzieży podolskiej, a w pawiloniku tym, który zamknięty i opieczętowany, jak słyszałem, nie daje już prelekcyj, których kilka każdy z nas z kolei wysłuchiwał. P. deputatowa Plotkowska, z którą się mocno zaprzyjaźniła, a nawet p. Fabulicka, dla której sprowadza tabakę z Odessy, mówiły mi, że jeździ po odpustach, do cudownych obrazów, i jak prawdziwa Magdalena, myśli osiąść na puszczy. Przy tém usposobieniu, na cóż jéj się przyda szumer i rezydent taki, jak Szambelan. Musiała go

więc uwolnić od tak ciężkiego obowiązku, i pocziwiec ten, przyjechawszy tu zapewne dla rozrywki, chodzi sobie po ogrodzie, i zasunąwszy brodę w halsztuch, opowiada pewnie tym paniom, co widział w Peterburgu.

—Ja myślę— odpowiedziała p. Aniela z filuterną minką— że te panie nie bardzo ciekawe, co się działo przed laty w Peterburgu. Więcej je zapewne obchodzi to, gdzie jest i co robi p. Naramicka. Jeżeli się panowie zatrzymacie tu jeszcze, dowieście się z pewnością o czém była rozmowa, bo uważałam, że p. Plotkowska już zegnała Szambelana i wkrótce tu pewnie nadejdzie.

—Nie wiem co ci panowie zrobią— rzekł Adolf— ale ja stać tu będę jak słup werstwowy, póki nie nadleci ta poczta, która depeszę swą poniesie dziś jeszcze wszędzie, gdzie światło błysnie w oknach Humania.

—Ja uciekam, bo się jój boję— rzekła p. Aniela.— Kaziu! przyjdiesz na herbatę

do domu, nieprawdaż? Może i p. Adolf przyjdzie; wolałabym słyszeć te wiadomości od pana, niż od niej.

—Jeżeli pani każe, służyć będę— odpowiedział Adolf z ukłonem.

—A p. Karol?— dodała p. Aniela rumieniając się i spuszcżając oczy— czy ciekawy słyszeć tę relacyę z ust samęj p. Plotkowskięj?

—On woli, mogę panią upewnić, abym ja mu to opowiedział— rzekł Adolf z intencyą,

—Idź Karolku, idź— szepnął Kazimierz rumieniaćemu się i uradowanemu tём wyraźném wezwaniem, młodzieńcowi. Karol ścisnął rękę przychylnego mu tak widocznie brata kochanki i pośpieszył za p. Anielą, która już odeszła parę kroków, nieznacznie jednak oglądając się, czy ją zrozumiał ten, przez którego być zrozumianą we wszystkiém tak gorąco pragnęła. Gdy młodziutka ta i śliczna para odeszła i znikła za domem, rzekł Adolf:

—Dobrze i rozumnie robisz, kochany

Kaziu, że nie sprzeciwiasz się wzrostowi tego cudnego kwiatu, który z serc tych ślicznych dzieci wyrasta. I jako opiekun twojej siostry, nie odwlekaj ich związku. Dla szczęścia, jakie im dasz, już są dojrzali, a nie widzieli jeszcze tego wszystkiego, cośmy my widzieli, i co nam już odebrało wiarę w ten raj, jaki Bóg w małżeństwie daje tylko czystym i niedoświadczonym.

— Tak i ja myślę — odpowiedział Kazimierz — i jeśli nic nie przeszkodzi, wkrótce ją oddam temu młodzieńcowi, którego serce warte skarbu, jaki otrzyma. Ale uwagą swą zwróciłeś myśli moje na mnie samego. To przybycie Szambelana niepokoi mię. Jeżeli i ona tu jest, będę musiał wyjechać; a żal mi psuć radość i szczęście Anieli.

— Że ona tu jest, możesz być pewnym — rzekł Adolf. — Dziś o jedenastej, przed domem Arona, gdzie najlepsze mieszkanie było od dawna zamówione, widziałem jej karetę, jej furgon i jej kozaka.

Obecność Szambelana stwierdza, że to była ona a nie kto inny.

— Śmiała kobieta, doprawdy! — zawolał Kazimierz z zachmurzonym czołem i siadając na ławeczce.

— Śmiała bez wątpienia — odpowiedział! Adolf siadając obok niego — ale i rozumna przytém. Ona zna nas doskonale. Ona wie o tém dobrze, jak błahym jest nasz sąd, jak wątłą i z pajęczej tkanki złożoną jest u nas opinija. Lada słówko szepnięte na najuczciwszego obywatela, na najenotliwszą kobietę, obrzuca błotem i okrywa tą plamistą zasłoną, przez której brudne przezrocze widzimy złe chęci i zdrożne obyczaje. Lada słówko znowu wymówione za obwinionymi, wtedy, gdy się nam już sprzykrzyło o nich gadać i o nich myśleć, obmywa ich z tego błota i zdmuchuje z nich tę tkanę opinii tak, że znowu nam się wydają czystymi jak złoto, które wychodzi z ognia. Jeżeli i gdzieindziej pozór ma wagę i moc, to, wierz mi, mój zacny Kaziu! nigdzie on

nie jest potężniejszym jak u nas. Łatwo-
wierność i płochosć nie dozwala nam za-
stanowić się, jak dalece mocnym jest
fundament, na którym budujemy nasze
pochwały i nagany, naszą aprobacyę i
pogardę. Miano ją przed rokiem za nie-
rzadnicę prawie, kiedy, jak to wiemy
najlepiej sami, była tylko płochą, nie-
baczną i piękną kokietką. Teraz mieć
ją będą za Magdalenę nawróconą, za grze-
sznicę, która wszystkie grzechy swe od-
pokutowała, dla tego, że się zamknęła
w domu, że szuka towarzystwa i przy-
jaźni dewotek, że ją co niedziela widzą
w innym kościele, że się przybrała w su-
knia czarną, w którój jój ładniej niż w in-
nej, i zasłoniwszy twarz welonem, przez
który piękniej jeszcze błyszczą jój oczy,
klęka przy konfesyonałach tam, gdzie
klękają najzawołańsze plotkarki, aby u-
wierzyły w jój nawrócenie i rozniosły je
między ludźmi. Jeżeli jeszcze do tego
dodasz powab młodości i czar oczów, spu-
szczających się skromnie do ziemi, znajo-

mość świata i umiejętność znalezienia się w każdym zdarzeniu; a nadewszystko, jeżeli dodasz te sześćset dusz podolskich, które jak miecz Brennusa, legną na szali, na której przeważa się ludzki sąd o jej życiu obecnym i jej charakterze, to będziesz-że się dziwił, że ona staje tu śmiało, i pewna jest, że wszyscy widzieć ją będą taką, za jaką uchodzić pragnie, że się jej każde drzwi otworzą, i każda ręka wyciągnie się dla uściskania tej drobnej i białej rączki, która może dać...

— Co? — przerwał Kazimierz — szczęście i pokój?

— Sześćset dusz na Podolu, najdroższy mój Kaziu! i na każdą z nich po dwadzieścia morgów ziemi płynącej mléką i miodem — odpowiedział Adolf śmiejąc się i kładąc rękę na ramieniu przyjaciela.

— To mnie nie skusi — rzekł Kazimierz.

— Ani mnie, ani ciebie — odpowiedział Adolf. — Ty nie uwierzysz, jak i ja nie wierzę w te grymasy cnoty, w tę komedję pokuty; która też nie dla nas się ode-

grywa. Dla tego nie mamy potrzeby przed nią uciekać, bo, wierz mi, ją to nie obchodzi wcale, czy jesteśmy na parterze i na nią patrzymy. W téj massie publiczności, która przykłaśnie jéj sztuce i aktorstwu, widzi ona jednego tylko, dla którego układa się w te fałdy żalu i skruchy, i który oślepienemi przez dawniejszą miłość oczami patrzy, jak o tém wiem, na tę maskę, przez pół już wierząc, że to jéj twarz prawdziwa.

— Adam?! — zawołał Kazimierz z podziwieniem, patrząc w oczy przyjacielowi.

— Biédna kuzynka moja! — rzekł Adolf seryo i z goryczą. — Ta farsa odbije się zapewne boleśnie w jéj sercu i życiu. Publiczność patrzeć będzie ciekawie lub obojętnie na intrygę, która się już rozpoczęła, przykłaśnie lub syknie, gdy rzecz pójdzie zręcznie lub głupio, zaśmieje się lub ruszy ramionami, gdy się wszystko skończy; a serce téj nieszczęśliwéj zadrży, gdy obaczy, że się podniosła zasłona, i załaje się krwią i łzami, gdy się zamknie

po rozwiązaniu. O przyjacielu! źle jest na świecie być poetą, bo dla głodnego poety nikt nie ma w ręku chleba, a każdy chłystek ma na pogotowiu kamień krytyczny, którym nań rzuca; źle być pedagogiem, bo pedagogów jeszcze rzymscy bogowie przeklęli; źle jest być chłopem podolskim, bo ten wół gadający wespół z wołem przeżuającym chodzi w tém samym jarzmie, i ta tylko między nimi różnica, że chłop nie bije wołu i daje mu siano, a ekonom bije chłopca za niego i za wołu i nie daje mu chleba; ale, wierz mi, nie ma gorszego powołania na ziemi, jak być aniołem-kobiętą, jeżeli ta zabłąkana tu z nieba istota nie ma odwagi zajrzeć do apteki i opatrzyć się w lekarstwa, które tam stoją w osobnej szafce, pod napisem *narcotica!*

— A tożby było prawdziwe nieszczęście! — zawołał Kazimierz, nie zważając na te filozoficzno-satyryczne odskoki swego towarzysza.

— Ale patrz! idzie Plotkowska ze swoją

kompaniją. Dowiesz się zapewne więcej — rzekł Adolf i powstał, przybrawszy ten wyraz ironiczny i szyderski, który był właściwy jego twarzy.

W rzeczy samej, zaledwie skończył, weszła Deputatowa z dwiema innymi damami, i jakimś mężczyzną, który im towarzyszył. Skoro postrzegła Adolfa, opuściła swoją kompanię, i przydreptawszy szybko do niego, rzekła śmiejąc się i bijąc wachlarzem w dłoń:

—A! a! jak to dobrze, że cię spotykam. Wiész....

—Wiém, niestety! — odpowiedział Adolf.

O! co to, to nieprawda! — rzekła Plotkowska — udajesz tylko, udajesz. Założę się że nie wié — dodała obracając się do Kazimierza.

—Nie zakładaj się pani, bo przegrasz — rzekł Adolf — rozmawiałaś pani przy grocie Wenery z Szambelanem.

—Patrzcie państwo — rzekła zadziwio-

na. — A doprawdy, że wie. Ale tego nie wiesz....

— Że i p. Naramicka przyjechała dziś do Humania — mówił Adolf.

— Jak Boga kocham, i to wie — rzekła seryo — chyba żeś się już z nią widział.

— Mogę panią upewnić, że z nią nie widział — mówił Adolf z ukłonem.

— To rzecz szczególna! z kądże mogłeś się dowiedzieć? — zapytała, patrząc mu ciekawie w oczy.

— To mój sekret — odpowiedział Adolf — którego nauczyłbym panią, gdybyśmy mogli cofnąć się oboje o lat dwadzieścia,

— Kiedym była ładną! — rzekła śmiejąc się i uderzając go wachlarzem po ręku. — O wierzę, wtedy wydałbyś mi wszystkie sekreta, jakiebyś tylko miał pod sercem, gdybym się uwzięła. Ale co z woza spadło, to przepadło. Mój czas przeminął, a twoje sekreta niepotrzebne mi wcale. Mam ja i swoje i wiem zawsze więcej niż ty. Ot i teraz ci powiem,

że ta biedna Leosia Naramicka, któraście oczernili i ogadali, usłuchała mojej rady i występuje znowu na świat, z całą godnością, jaką jej daje żal i pokuta za dawniejsze grzeszki, które nie były tak wielkie, jakieście mieć chcieli. Powiem ci nawet pod sekretem, że po jutrze daje bal, na który zapewne i wy będziecie zaproszeni. Strzeżcież się, strzeżcie obadwa, bo takie święte nawrócone, z takimi oczami i z Buchowcami w dodatku, są daleko straszniejsze jak jawno-grzesznice. A co panie wszystkowiedzu! przyznajże się, żeś pobity.

—Za parę dni gotuję sobie rewanż—
odpowiedział Adolf, przechyliwszy głowę.

—Obaczmy, obaczmy — zawołała Plotkowska — a tymczasem do widzenia.

I trąciwszy go końcem wachlarza w pierś, zaśmiała się, skłoniła Kazimierzowi, i pobiegła za swoją kompanią, która poczekawszy na nią czas niejaki, mijała już domek.

—Za parę dni — rzekł Adolf patrząc

za nią— ta nieoceniona moja przyjaciółka wyglądać będzie jak przeszłoroczna gazeta, tak spóźnione będą jej wiadomości.

—Patrz-no! masz tu i drugą. P. Chorażyna Nowinkowska zbliża się ku nam— rzekł Kazimierz.

—A! papuga z papożętami— zawołał Adolf uśmiechając się.— Musiało się coś ważnego wydarzyć, bo śpieszy do miasta zapewne ze zdobyczą, jaką upolowała.

Gdy to mówił, weszła śpiesznie żywa i ruchawa Nowinkowska, z trzema córeczkami, z których najstarsza mogła mieć lat trzynaście. Wszystkie były w zielonych sukniach; matka w stroiku na głowie z czerwonym piórem, a panienki w czupiradełkach z ponsowemi małemi piórkami. Postrzegłszy Adolfa i Kazimierza, rzekła do dzieci z szlachecka po francuzkū:

—*Allez en avant, mes enfans!*— a zbliżając się żywo do obu, dodała: —Panowie tu stoicie, zapewne na obserwacyi. Dobre miejsce; ztąd widać wiele, ale nie

wszystko. Czy widzieliście, jak przechodził tędy p. Adam Mirowiecki?

— P. Adam?— rzekł Kazimierz z podziwieniem— alboż jest w Humanu?

— Od wczoraj— odpowiedziała prędko. — Przyjechał już późno i dziś cały ranek nie pokazywał się nikomu. Stoi obok Arona, gdzie P. Naramicka stanęła dziś. Jeżeli chcecie się z nim widzieć, idźcie prosto, a obaczycie, jak zachodzi i krąży koło tej kompanii, która otacza panią Naramickę. Biedna kobieta, oczerniona przez was i ogadana, rada nie rada będzie musiała spotkać się z człowiekiem, który jej taką krzywdę wyrządził. Ale wy wszyscy tacy. Do widzenia, bo nie mam czasu. *Mes enfans! mes enfans! attendez!*— dodała wołając na córeczki swe, i skłoniwszy się obu, poszła żywo.

Adolf parsknął ze śmiechu, skoro odeszła, a Kazimierz, zasmuciwszy się szczerze, rzekł z wymówką:

Ty się śmiejesz, Adolfie! gdy wszyst-

kie twoje obawy i przywidzenia mogą się sprawdzić?

—Śmiech umnie, kochany Kaziu— odpowiedział Adolf seryo— oddawna przestał być wyrazem wesołości i dobrego humoru. Śmieję się, bo łez szkoda, bo je zachowuję dla téj istoty wyjątkowój, która zamieszła się w tę ciżbę arlekińską, i jak czysta i biała gołębicą, wleciała z wysoka między zabłocone sroki i różnokolorowe papugi.

—O jakich to papugach panowie mówicie?— rzekła grubym głosem Fabulicka, która sama jedna, trzymając w jednej ręce tabakierę, a w drugiej parasolik spory, prawie męzki, którym się podpierała, nadeszła prędko, i przy ostatnich słowach Adolfa tuż za nim stanęła.

—Mówimy o takich, pani dobrodziko!— rzekł Adolf zwracając się ku niéj— które paplą nie tylko to co słyszały, ale i to, co same wykomponować umieją.

—To jakieś mądre papugi— rzekła Fabulicka, kładąc parasol pod pachę, i

skrzypnąwszy tabakierką, z której potężną wzięła szczyptę.

—Podolskie, p. Sędzino dobrodziko!— odpowiedział Adolf— a u nas tu wszystko mędrsze jak gdzieindziej.

—Co to, to masz pan racją— mówiła Fabulicka— ktoby się spodziewał, żeby ta grzesznica była taka mądra, że nawet mnie wyprowadzi w pole. Uwierzyłam wraz z innémi, że się nawróciła, a ona raptem zjawia się tu piękniejsza niż kiedykolwiek, choć niby jeszcze w sukni czarnej, z miną skromną i poczciwą, i dawniejsze sieci swe rozpina. I nie napróżno! Już widzę upolowała na nowo p. Adama, który tam już jest w téj kompanii gdzie i ona i nie spuszcza z niej oka. Uważałam to dobrze— dodała zapychając nos tabaką.— I tylko co nie widać jak się wezmą pod rączkę i pójdą z sobą do miasteczka, gdzie się obok siebie ulokowali nibyto przypadkiem, a założyłabym się nie wiem o co, że się wprzód dobrze porozumieli. I czemu on nie przywiózł z sobą żony, któ-

raǳę zostawił samę jedną w domu. Biédna kobiécina! Ale to nic. Prosto ztąd jadę do Mirowa i powiem wszystko p. Adamowéj, com widziała. Do widzenia panowie!

To powiedziawszy, zażyła resztkę tabaki strzepnęła palce i zabierała się wyjść, gdy Adolf, zaciskając wargi z gniewu i zatrzymując ją, rzekł:

— Za pozwoleniem.

— Cóż mi pan powiesz? — zapytała.

— Oto powiem pani to— mówił Adolf — że jeżeli pani pojedziesz do Mirowa i ośmielisz się słówko pisnąć p. Adamowéj o tém, coś tu widziała, lub co jeszcze obaczysz, to ja prosto ztąd pojedę do Fabuliniec, i, jak mi Bóg miły, podpale wam tok aby pszenica wasza przeszłoročna poszła z dymem tak, jak pani chcesz puścić z dymem pokój téj kobiety, do której wybierasz się z językiem.

— Strachy na Lachy! — odpowiedziała Fabulicka śmiejąc się— toku mi nie spalisz, bo to kryminał i mam świadka pogroźki. Ale przestrogę przyjmuję. Do

Mirowa nie pojedę, byłoby to za nadto okrutnie! Ale tu w Humaniu, nikt mi gęby nie zamknie. Bywajcie zdrowi.

To powiedziawszy, poszła śpiesznie podpierając się parasolikiem i szerokie stawiając kroki.

—Pójdźmy Adolfie! chcę obaczyć choć z daleka, czy to prawda, co ta baba mówi—rzekł Kazimierz zasmucony.—Inaczéj nie uwierzę w to zapomnienie się człowieka, któregoś kochał, i w ten tryumf jakiegoś zwierzęcego popędu nad głosem rozumu i sumienia.

—Wierz, kochany Kaziu,—odpowiedział Adolf—w upadek każdego Adama, jeżeli przy boku jego stanie Ewa sprzymierzona z diabłem, który zostawiwszy aniołowi straż jego rozumu i sumienia, wyprosił sobie tylko władzę nad jego krwią i wolność zaprawienia jéj według swych własnych widoków. Dobroduszny anioł pozwolił na ten układ i pomyślał sobie: oświecę jego rozum, aby widział dobre i złe; podniosę jego uczucia, aby

pragnął tego tylko, co szlachetne i zacne, tak czułem zrobię jego sumienie, że jak skazówka magnesu zwracać się będzie ku dobremu, aby mu pokazać w każdej chwili, kiedy od niego zbacza. Diabeł zaśmiał się z tych myśli anioła, skoro obaczył Ewę, i rzekł sam do siebie: gadaj sobie zdrów i spodziewaj się wygranej; ja tymczasem do krwi jego wpuszczę kilka palących kropel mojej inwencji, włożę w oczy tej, której ty nie posądzasz o zmowę ze mną, dla tego, że do ciebie podobną, a obaczmy, co będzie z tej walki, do której śmiało cię wyzywam. I onego czasu stało się to, co się stanie i teraz z tym naszym Adamem, którego szkoda; ale Bóg widzi, że większa szkoda tej biednej ofiary, którą on, mimo rozumu i sumienia, poświęci tej nowej Ewie, w której oczach od dawna siedzi ten sam diabeł, co krew jego po swojemu zaprawił. Ale patrz! — dodał poglądając w ulicę — nie mamy potrzeby szukać ich. Cała kompanija zbliża się tu, a oni oboje nakońcu.

I czy uważasz jaka piękna, choć suknia jej skromna i ciemna; jak cnotliwym wstydem twarz jej płonie i oczy jej schylają się ku ziemi! A on zsunął brwi, z gniewem i dumą patrzy przed siebie, jak gdyby go obrażali ci ludzie, którzy śmia na niego oglądać się, i ważą się sądzić go wtedy, gdy mu się grzeszyć podobało. O! nie najeżaj tak tej grzywy swój, lwie spętany! wkrótce ci ona ją zestrzyże, jak runo barana. Szkoda cię, ale już cię nikt nie wyratuje, gdy serce tve zmałało, i sam wlałeś w sieć, którą ci nastawiła.

— Chodźmy— rzekł Kazimierz z widoczném wzruszeniem.— Jutro rano wyjeżdżam ztąd. Już tu dla mnie nie ma zabawy.

— Jedź Kaziu! jedź; ja wkrótce pośpieszę za tobą— mówił Adolf— ale pozwolisz, że szepnę Karolkowi, aby jechał za wami. Niech nie patrzy na upadek swego bohatera, a przynajmniej później się o nim dowie. Mnie żal każdej młodej duszy, gdy widzę, jak kwiat pokwiecie

opada z drzewa jój złudzeń i ideałów.
Chodźmy.

I wzięwszy się pod rękę poszli szybko z ogrodu, i wkrótce znikli z oczu téj kompanii, która zaraz nadeszła. Złożona ona była z siedmiu do ośmiu pań różnego wieku, postrojonych z elegancją i gustem, i z dziesięciu może mężczyzn, młodych i już siwiejących, którzy im towarzyszyli, to prowadząc je pod rękę, to idąc obok z nadstawianiem się, które okazywało chęć przypodobania się. Wszyscy szli zwolna lub parami, lub po trzy w rzędzie, rozmawiając po większej części o zjawieniu się téj nowej gwiazdy, która ozdobiła horyzont humański, i oglądając się na nią i na p. Adama, który w ostatniej z nią parze i widocznie przyzostając się, zwolna postępował. Z rozmowy tych przesuających się osób, której pojedyncze tylko dawały się słyszeć frazesa, takaby się dała ułożyć mozajka, gdyby kto stał był z boku i uważnie się przysłuchiwał.

— Śliczna! — odpowiedział on oglądając się po za siebie — a zwłaszcza w téj czarnej sukni i z tą skromną minką, z którą jęj tak do twarzy. Jest to także pewien rodzaj kokieteryi.

— Panom wszystko w nas szkodzi, nawet nasza skromność. Biędne my, doprawdy — rzekła wystrojona pani, i poszli dalej.

— Dla czego oni ją okrzyczeli za taką kokietkę bez czoła i wstydu, doprawdy nie pojmuję! — mówiła druga.

— Taki to świat, proszę pani — odpowiedział jęj towarzysz. — Trzeba mu koniecznie plam na każdym słońcu. Piękna, miła, bogata i młoda wdowa, a więc już grzesznica.

— Jaka szkoda, że oni się nie pobrali — mówiła trzecia pani nadchodząc za poprzedzającemi. — Coby to była za piękna para i jaki u nich dom otwarty i wesoły! Ale dobrze robi że z nią grzeczny. Przynajmniej pokaże wszystkim, że to nie prawda co mówiono.

— Widać, że p. Adamowi żal, że przez prędkość głupstwo zrobił— mówił towarzyszący jój mężczyzna.— Uważacie państwo jaki smutny. Widocznie daje poznać, że nie miał racyi.

— Dobry humor, wesołość i trochę kokieteryi wziął za grzech i przestraszył się, on, co się niczego nie boi — rzekła śmiejąc się czwarta, wesoła i żywa brunetka.—Prawda i tamta piękna, łagodna, kocha go bardzo, ale...

— O! jest wielkie ale — przerwał jój krzywiąc się idący obok niój mężczyzna, — tamto słoma, dobra dla spokojnego wołu, ale nie dla takiego arabskiego bieguna, jak p. Adam.

— Będiesz pani po jutrze na wieczorze u pani Naramickiej?—zapytała inna obracając się do damy, która szła za nią.

— Naturalnie — odpowiedziała zapytana. — Wszystkie będziemy. Dla czego dobrej i grzecznej kobiecie nie nagrodzić, uznaniem powszechném, że jój zrobiono krzywdę i osądzono ją fałszywie.

— Czy będzie tam partya na tym wieczorze u Naramickiej? — zapytał starszy jeden mężczyzna młodszego, z którym szedł za poprzedzającymi.

— Trzy stoliki w oddzielnym pokoju, jak mi mówiła zapraszając nas — odpowiedział młodzieniec. — Marszałek będziesz?

— A już ci będę, jeśli jest partya — odpowiedział Marszałek — a ty?

— Ja także, bo przygotowała osobny pokój na fajki i sigara — odpowiedział młodzieniaszek.

Takie i tym podobne rozmowy prowadząc, przeszła cała kompania przez platformę i znikła za domkiem. Został tylko p. Adam i Eleonora. On patrzył z namarszczonem czołem za tymi co poszli, oglądał się po za siebie, czy kto nie idzie, i widocznie nie kontent z ociągania się swój towarzyszki, posunął się spieszniej i rzekł tonem prawie rozkazującym:

— Ściemnia się, tamci poszli. Chodźmy prędzej.

—Parę słów, Adamie!— odpowiedziała Eleonora proszącym głosem. —Chcesz zaraz jechać. Może cię już nie prędko obaczę.

—Może nawet nigdy— rzekł p. Adam —jeżeli Bóg zmiłuje się nade mną i da mi tę moc, o jaką go błagam, abym uniknął spotkania się z tobą. Dla tego nie prześladowuj mnie, nie stawaj na mojej drodze, nie nasuwaj się oczom moim z tém kuszącém wejrzeniem, które miałaś i dla innych wtedy, gdym cię kochał i w nie wierzył. Ja pragnę przebaczyć ci te męki, jakie znoszę, a ty mnie zmuszasz, abym ci złorzeczył, jakem złorzeczył ci wten czas, gdyś stanęła przed ołtarzem w czasie mojego ślubu, wpiła się we mnie palącym okiem tak, żem je czuł, chociażem na nie nie patrzył, żem myślał o tobie, chociaż przysięgałem innéj.

—Któż ci winien — rzekła Eleonora z uczuciem— żeś się pośpieszył; że zabijając swoje szczęście, chciałeś mię ukarać za winę, jakiej nie było; żeś mię zde-

ptał wtedy, gdym kładła pocałowanie siostry na czole kochającego mię młodzieńca, gdym go żegnała i upewniała, że ciebie tylko kochać mogę, że ty tylko możesz mię zrobić taką, jaką jestem teraz, i jaką byłabym dla ciebie do śmierci. Tyś się uniósł jak młodzik bez zastanowienia i zgubiłeś mnie i siebie. O! nie wiem kto z nas obojga nieszczęśliwszy!

—Tylko nie płacz, proszę cię. To broń bezsilna, którą nie zwyciężysz — rzekł p. Adam. — Twoje łzy przypominają mi tylko łzy inne, które ciężej niż twoje padną na moje sumienie.

—Czy myślisz, że są umyślne — odpowiedziała mocując się z sobą Eleonora — że to oczy tylko płaczą, a nie serce? Przypomnij sobie te łzy, jakieś widział téj zimy w Kijowie, gdy przypadek posadził cię koło mnie, gdy struny Servais'go płakać i jęzczyć zaczęły, a ja czułam, żeś ty obok mnie, że mi się pierś rozrywa, i płakałam, bom nie śmiała pochylić ku tobie méj głowy, wziąć twojéj ręki, i położyć

ją na sercu, abys poznał, że pęka. O! wtedy byłeś wspanialszym niż dziś; wtedy uwierzyłeś, że to nie tony instrumentu, ale obecność twoja i wspomnienie tego wszystkiego, com utraciła, rozżala mię i tak boli. Wtedy ulitowałeś się nademną, wyciągnąłeś do mnie swą rękę sam, i ja uczułam to ściśnienie, co mię ośmieliło, co było dla mnie dobrodziejstwem, którym zapłaciłeś mi za tę krzywdę, jakąś życiu memu wyrządził. A teraz...

—Teraz przestań, i chodźmy, bo na nas patrzą— rzekł p. Adam z mocą i goryczą. —Nie poddawaj mnie pod sąd gawiedzi, który mnie gniewa i upokarza. Mam dosyć tego wewnętrznego głosu, którego wołania nikt i nie stłumić nie zdoła. Chceszże, aby gorsi ode mnie wtórowali swém gadaniem tym zarzutom słabości i nierozumu, które sam sobie czynię? Przybycie moje tu na twoje żądanie jest występkiem i poniżeniem mojego charakteru. Jeżeliś mię chciała tym sposobem ukarać za to, co nazywasz krzywdą sobie wy-

rzządzoną, toś dokazała swego aż nadto. Przestań więc na tém i bądź zdrowa. Jeśli ta droga, jaką teraz idziesz, jest szczęśliwą pokutą, a nie grzeszną komedią, to idź nią dalej. Mnie puść tę ciernistą ścieżką, na którą wyprawiaś mię przez swoją płochość, abym przynajmniej zachował resztę pokoju i godności męskiej, jeżeli już utracił to szczęście, jakie mieć mogłem i jakiego żądałem od ciebie.

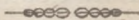
—Adamie!—zawołała Eleonora łamiąc ręce— czy chcesz, abym tu u nóg twoich padła pod ciosem tych wymówek, które mię zabijają. Nie opuszczaj mię z temi myślami rozpacz, których sama przemódz nie zdołam. Adamie! ja cię kocham więcej i goręcej, niż kiedykolwiek, ale miłość moja nie przyniesie ci niepokoju, nie zrobi krzywdy nikomu. Kochać cię będę z daleka, cierpieć z daleka, i choćby serce to miało pęknąć z żalu i opuszczenia, nie usłyszysz o mnie i nie obaczysz mię więcej. Ale dziś nie jedź, zaklinam cię! Zostań jeszcze dwa dni, jeden

dzień tylko, abym się uspokoić mogła, abym się mogła przygotować na to wieczne rozstanie, abym obaczyła, że mną nie pogardzasz, aby ci wszyscy, których sąd przebłagałam, przekonali się, żeś mi przebaczył, że odstąpienie twoje odemnie było skutkiem pomyłki, a nie winy, coby mię potępiać mogła. Bądź wspaniałym Adamie i zostań; a przysięgam ci, że ta prośba, jaką całując rękę twą zanoszę, będzie ostatnią.

I w mocnym wzruszeniu, płacząc i całując rękę jego, przysunęła się tak, że nawet w nadchodzącym zmroku postrzegł błysk jej oczów i oddech jej twarz jego owionął. P. Adam uczuł to magnetyczne zbliżenie, wstrząsł się cały, jęknął z żalu a może i z gniewu na siebie samego, ale ze zwykłą sobie gwałtownością pochwycił jej rękę i zawołał:

—Dobrze więc, zostanę; ale jeśli to nie ostatnia słabość moja, to niech przekłętą będzie ta chwila, w której obaczyłem cię po raz pierwszy. Chodźmy!

I wzięwszy rękę jęj pod ramię, przycisnął ją namiętnie do swego boku i poszedł szybko z tulącą się do niego kusicielką. A w pięknym tym ogrodzie, gdzie przed chwilą było tak ludno i gwarno, gdzie może nie jedna taka przygotowała się scena, zrobiło się głucho i pusto. Noc cieniem swym pokryła drzewa i kwiaty, milczenie legło na ulicach i skałach, z daleka tylko szumiała kaskada, która i teraz przezroczeniem swym, już tylko z promieniami gwiazd igrającem, wdzięki Wenerę Knidyjskiej osłaniała.



V.

W ośm miesięcy potém, przy końcu stycznia następnego roku, w tym samym pokoju bawialnym w Łozińcach, gdzie p. Adam przyrzekał przyszłej żonie swój pokój i miłość, siedziała na kanapie wystrojona i wygorsowana Marszałkowa i robiła siatkę, a Marszałek w obwisłym surducie stał przy kominku i wykałał zęby.

—Dawno miałaś list od Tekluni?— rzekł po chwili do żony, chowając piórko i poprawiając ogień na kominku.

—Czytałaś przecie ostatni, przed trze-

ma tygodniami pisany — odpowiedziała Marszałkowa potrząsłszy głową. — Innego nie miałam. Ale zkądże ci to na myśl przyszło przed obiadem?

—Przypomniałem sobie pularde *à la Grimod*, którą jedliśmy na ostatnim obiedzie, jakeśmy u nich byli w jesieni — odpowiedział Marszałek cmoknąwszy wargami.

—To chyba! — rzekła Marszałkowa uśmiechając się.

—Czy i w tym liście — dodał Marszałek — jest to, co i w dawniejszych kilku, że Adama niéma w domu, ale kazał przesłać rodzicom uszanowanie.

—Może i jest, nie uważałam — odpowiedziała żona machając iglicą. — Ale dla czego cię to zastanawia? Chciałżebyś, żeby p. Adam nie ruszał się z domu na krok, żeby nie miał interesów i obowiązków towarzyskich, i żeby Teklunia pisała do nas wtenczas tylko, kiedy on jest. Zwykle żona wolniejsza jest wtedy, kiedy męża niéma i bierze się do pisania.

Tak i ja robię, i byłabym akuratniejszą w mojej korespondencyi, gdybyś mi nie siedział ciągle na karku i nie zadłużał się w wizytach tym panom, którzy nas odwiedzają.

—Ba! — zawołał Marszałek — tybyś chciała, żebym ja marł głodem za domem. Dziękuję, ja tego nie lubię. Mój Jakóbek, któregom sam wyedukowałem, smaczniej dla mnie gotuje niż płodzydymy tych panów, którzy do mnie przyjeżdżają chętnie, bo wiedzą, że zawsze dostaną nie to, to owo, po czém trzeba palce oblizywać. Ale p. Adam, który ma takiego kucharza jak Tremo, powinienby częściej siedzieć w domu. Ja przynajmniej, gdybym był na jego miejscu, nie ruszyłbym się na krok, choćby mię wypędzała żona, czego Teklunia pewnie nie robi, bo ona nie lubi być samą i musi się nudzić, kiedy go niema.

—Ona też i nie jest samą, chociaż mąż wyjeżdża — odpowiedziała Marszałkova potrząsając głową. — P. Katarzyna miesz-

ka u niej ciągle, a niepotrzebując niczém trudnić się, i pobierając taką samą płacę, jaką pobierała tu, ma głowę zupełnie spokojną i może rozerwać Teklunię, jeśliby się nudziła. Zresztą kobiety nie nudzą się, choć są same, i umieją znaleźć sobie zawsze jakąś robotę, która je więcej zajmuje jak wykalanie zębów i wyczekiwanie obiadu.

Marszałek uśmiechnął się, machnął ręką i schował piórko do kieszeni. A posłyszawszy dzwoneczki na szorach zimowych ekwipażu, który stanął przed ganikiem, zbliżył się do okna i rzekł:

—Otóż znowu ktoś przyjechał. Sanie z budą i dobre konie, ale zgrzane. Chce im się na takie zimno jeździć. Ten przynajmniej ma rozum, bo przyjeżdża przed samym obiadem. A właśnie będzie....

—Kto to przyjechał?— zapytała Marszałkowa wchodzącego lokaja.

—P. Katarzyna Semenowska — odpowiedział sługa i otworzył drzwi wchodzącej p. Katarzynie.

Marszałek przywitał ją grzecznie; Marszałkowa nie ruszyła się z miejsca i nie przerwała swojej roboty, ale kiwnąwszy jej głową z uprzejmym niby uśmiechem, rzekła :

— Jakże się p. Katarzyna ma?

— Dosyć dobrze, dziękuję pani — odpowiedziała guwernantka, odkłoniwszy się Marszałkowi, i zbliżając się do stołu.

— Może do kominka, p. Katarzyno! — rzekł Marszałek, zbliżając się do ognia — styczeń coś nie żartuje. Mróz dobry i wiatr musi być ostry.

— Dziękuję p. Marszałkowi — odpowiedziała p. Katarzyna. — Nie zimno mi. Byłam dobrze okryta, a choć mróz ścisła, ale wiatru niema i powietrze jest znośne.

— Niechże p. Katarzyna siada — mówiła Marszałkowa. — Nie spodziewałam się teraz widzieć p. Katarzyny. Czy nie przywozisz nam listu od Tekluni?

— Teklunia nie wiedziała o tém, że tu będę — odpowiedziała p. Katarzyna spu-

szczając oczy i siadając.— Wybrałam się do mojej siostry, a będąc w tych stroinach, przybyłam tu umyślnie, abyście państwo wiedzieli wszystko to, o czém pisać nie można, a co jednak was, jako rodziców, powinno mocno obchodzić, i podać wam myśli i środki, któreby ten stan zmieniły, jeśli on zmienić się zdoła.

Marszałek zbliżył się od kominka, a Marszałkowa nie ustając w swoim zajęciu, potrząsała tylko głową i machnąwszy prędkiej iglicą, rzekła:

—Wiém ja o tém, że p. Katarzyna widzi wszystko czarno, i przez przywiązanie swoje do Tekluni przestrasza się takimi rzeczami, które w życiu codzienném są zwyczajne. Byłam tam w jesieni i nie widziałam nic takiego, coby mogło zagrażać szczęściu córki naszej. Czyż tam zmieniło się co tak, żeby aż wdanie się nasze było potrzebne?

—Czy p. Adam odprawił swego kucharza?— zapytał Marszałek z widocznym niepokojem.

Marszałkowa potrząsała mocno głową, a p. Katarzyna ruszywszy ramionami, rzekła:

—Zmieniło się na gorsze, i zmienia się codzień tak, że jeżeli pani, jako matka, nie wdasz się w to, to bardzo się boję, nie już o szczęście Tekluni, bo o tém niéma mowy, ale o jój zdrowie, które może stracić zupełnie.

—Z listów mojej córki nie widzę tego wcale — odpowiedziała Marszałkowa z przyciskiem. — A z kąd inąd nie doszło mię także nic, coby mię niepokoić mogło. Świat chciwy jest ploteczek takiego rodzaju, a mamy tu w okolicy języki ostre i szybkie, które nie szcędzą nikogo. Gdyby moja córka miała co do zniesienia, wiedziałabym o tém niezawodnie. Dla tego pozwoli mi p. Katarzyna powiedzieć sobie, że to jest przesada, której źródło znam dobrze.

—Wolno pani— rzekła dotknięta guwernantka— uważać za przesadę to, co dla mnie jest prawdą, i o czém uprzedzić pa-

nią miałam za obowiązek. Że Teklunia w listach swoich nie skarży się, to dowodzi tylko jój serca i przywiązania do rodziców, których zasmucać nie chce. Ja sądziłam, że powinna była wyręczyć ją w tém, nawet bez jój woli i wiedzy, jak to właśnie czynię. Jeżeli pani krok ten przypisujesz jakiejś innój pobudce, a nie serdecznemu przywiązaniu do córki waszój, to nawzajem pozwól sobie powiedzieć, że popełniasz niesprawiedliwość, która zresztą nie jest pierwszą, jakiej od pani doznałam, i na którą byłam przygotowaną.

—Ależ przepraszam cię, p. Katarzyno— rzekła zmiarkowawszy się Marszałkowa— za słowo, które cię tak ubodło, a którego znaczenia nie pojęłaś. Ja chciałam powiedzieć tylko to, że jak byłaś zawsze tego zdania, że nie powinniśmy byli przyjmować oświadczenia p. Adama, i że Teklunia powinna była odrzucić jego rękę, tak teraz chcesz nam pokazać, żeś miała racyą. Dla tego to, zdaje mi się,

widzisz wszystko gorzej niż jest, i przewidujesz nieszczęście, do którego nie przyjdzie. Największém nieszczęściem kobiety, droga p. Katarzyno, jest sentymentalność, prowadząca do takich wymagań, jakie ani do pokoju, ani do szczęścia nie są konieczne. Widziałam ja i sama, że p. Adam nie jest mężem romansowym i roztkliwiającym się; z listów zaś mojej córki domyślałam się, co i mąż mój postrzegł, że jest często za domem.

—A tak, tak, i ja to postrzegłem — przerwał Marszałek, rad że mógł wmieścić i swoje słowo.

—To jednak nie dowodzi— mówiła dalej Marszałkowa— aby był złym mężem, i nie miał dla niej tego przywiązania, na jakiem każda rozsądna żona, po pewnym czasie wspólnego pożycia, poprzestać musi.

—Na nieszczęście, nie ma on dla Tekluni nawet tego przywiązania, o jakiem pani mówisz— odpowiedziała p. Katarzyna z mocą.— I nie dosyć na tém, że jój

nie kocha, lecz jeszcze rani jój serce zapomnieniem tych wszystkich obowiązków, jakie uczciwemu człowiekowi nakazuje honor, a mężowi przysięga, wykonana w obec Boga i ludzi.

—O! p. Katarzyno! — zawołała Marszałkowa, przestawszy robić siatkę i trzymając tylko podniesioną iglicę. —To już za wiele, i pozwól, że wrócę do słowa przesady, którego już raz użyłam. Bo na czémże p. Katarzyna opierasz tak okropne oskarżenie?

—Na tém— odpowiedziała p. Katarzyna — że p. Adam już prawie nie zadaje sobie téj fatygi, jaką zadawał z początku, mocując się przynajmniej z sobą, i starając się być dla niój takim, jakim być powinien; że ucieka z domu, który mu się stał nieznośnym; że wraca nie kontent, z chmurą na czole, odpychając nieraz powitanie żony cierpkim słowem, nie tając ciężaru, który dźwiga, i jakby umyślnie brzęcząc kajdanami, które sam na siebie nałożył. I chcesz pani wiedzieć

co jest przyczyną téj zmiany, której pani zdajesz się niedowierzać?

— I owszem, wierzę, że taka zmiana w jego humorze i postępowaniu mogła nastąpić — odpowiedziała Marszałkowa wracając do swéj roboty — ale nie wierzę, żeby jéj przyczyną było coś takiego, coby czyniło ujmę honorowi takiego człowieka, jak p. Adam, lub tym świętym przyrzeczeniom, jakie córce naszéj uczynił. Tyle jest powodów, nie krzywdzących wcale, które obywatela w jego położeniu wywołują z domu, tyle jest w życiu społeczném drobnych przykrości, których człowiek z takim usposobieniem nie umie znieść zimno, i które wpływają na jego humor! Winię go zapewne o to, że z żoną swą nie jest szczérym, że ją może niepotrzebnie oszczędza, że cierpko i niecierpliwie odpycha od siebie tę pociechę, jakąby mu dała, gdyby jéj żądał; ale pewną jestem, że to wszystko są rzeczy przemijające, że jeżeli Teklunia będzie miała cierpliwość, która niestety!

jest najpiérwszą cnotą żony, i takt właściwy kobiecie rozumnej i nie dającej woli chorąg imaginacyi, to wszystko to przejdzie, i p. Adam będzie mężem nie gorszym od tych wszystkich, których żony jednak zdrowe są, spokojne, i korzystają z téj pozycyi, jaką im rodzice dać starali się.

—Nie spodziewałam się— odpowiedziała p. Katarzyna z gorzkim uśmiechem— że p. Adam znajdzie w pani tak biegłego i tak gorliwego adwokata. Ja w prostocie mojej sądziłam, że pani, jako matka, ujmiesz się raczej za córką, która jest ofiarą, a nie za zięciem, który ją bez litości namiętnościom swym poświęca.

—Czyż p. Katarzyna o tém nie wiesz— rzekła Marszałkowa — że każde wdanie się rodziców w pożycie dzieci, zamiast naprawiać, psuje; zamiast rozpędzać drobne chmurki, które przeszłyby i same, ściąga tylko burze i nawałnice na głowę tego dziecka, któreby zasłonić chcieli. Przekonanie to jest we mnie tak mocno ugrun-

owane setnéui przykładami, które widziałam, że nowój próby robić nie chcę na sobie. Jeżeliśmy obie nie dały Tekluni tego rozumu i taktu, żeby sobie radziła sama, to uderzmy się tylko w piersi i zostawmy rzeczy ich biegowi, obwiniając się tylko po cichu i cierpiąc, ale nie starając się robić zapóźno tego, czegośmy nie zrobiły w porę.

Te ostatnie słowa wymówiła Marszałkowa ostro i tak, jakby się pozbyć chciała gorliwej oskarżycielki, która psuła jej pokój i mąciła zwyczajny tryb jej życia. P. Katarzyna drżała z gniewu i cierpienia, które wyrażało się jawnie na jej twarzy; a gdy Marszałkowa zaczęła znowu machać iglicą, podniosła głowę, spojrzała na nią surowo i rzekła:

—Więc ja jestem wszystkiemu winna, jak zwykle? Jeżeli to potrzebne do spokojności pani, niech tak będzie w jej mniemaniu. Ale ja myślę inaczej. Przyjmuję chętnie odpowiedzialność za wszystkie uczucia i myśli, jakie starałam się

przełać w serce i głowę córki pani, którą wychowała. Ale ani przed Bogiem, ani przed sobą odpowiadać nie będę za ten krzyż, który dźwiga i pod którym upada. Nawet pani nie zrobisz mi tego zarzutu, że się przyczyniła do włożenia go na jej plecy. Wówczas, gdy mówiła, że ten los na pozór świetny, jest raczej jej upokorzeniem jak wyniesieniem, że jej nie da ani pokoju, ani szczęścia; przyjęłaś pani ostrzeżenie moje tak, jak teraz przyjmujesz wiadomość, że się ziściło, com przepowiedziała. Wiedziałam że tak będzie, i widzi pani, nie ulękłam się tej przykrości, jaka mię spotyka, bo mi sumienie nakazywało ostrzedz matkę, zaślepioną fortuną i położeniem towarzyskiem zięcia, że ten zięć jest dla córki jej mężem złym i niesumiennym, i że tę córkę zabija. I żebyś pani nie myślała, że ją zzywam ogólnikami, to pani powiem, że wrócił do dawniej kochanki swojej, że namiętność jego dla niej, i władza jej nad nim są większe niż kiedykolwiek; że do tego stopnia

żonie swój ubliża, że ona musi u niej bywać, przyjmować ją w domu swoim, wyprawiać dla niej uczyty, i widząc dobrze co się święci, milczec, taić boleść i upokorzenie, i cierpliwością anioła pokrywać winy męża, którego kocha, a który ją ani kocha, ani szanuje. Teraz pani wiesz wszystko. Jesteś matką i wiesz lepiej jak postąpić. Ja, która jestem tylko przyjaciółką, i jak pani mówisz, przyjaciółką płatną, zrobiłam co do mnie należało, abys pani potém, gdy już będzie za późno, nie powiedziała mi: byłaś płatną i milczałaś. Żegnam panią.

To powiedziawszy prędko, nawpół z płaczem, powstała, i skłoniwszy się Marszałkowi, który słuchał tego wszystkiego z wytrzeszczonemi oczami, zbliżyła się ku drzwiom. Wtedy Marszałek podsunął się ku niej i rzekł:

—Ale zaraz obiad dadzą, p. Katarzyno!

—Przed godziną popasałam i jadłam. Dziękuję panu— odpowiedziała i wyszła szybko, zamykając za sobą drzwi, mimo

grzeczności Marszałka, który ją chciał wyprowadzić.

—Puszczaj ją, niech jedzie!— zawołała Marszałkowa, i sapiąc z gniewu i trzęsąc głową, zaczęła robić siatkę.

—Ale cóż ty jednakowo o tém myślisz?— zapytał Marszałek przybliżając się do stołu.

—Istne przywidzenie, nic więcej— odpowiedziała Marszałkowa.— Pobiera płacę jaką tu miała, i wstydząc się, że ją pobiera za nic, chce być koniecznie użyteczną i potrzebną. Jest to choroba wszystkich rezydentek. Może tam coś trochę w tém jest, ale pewnie nie tyle, jak ona mówi. Przed tygodniem była tu u mnie Plotkowska, mówiła o p. Naramickiej tak, jak o kobiecie, która potrafiła przejednać opinią tych wszystkich, co ją dawniej potępiali, którą wszyscy chętnie przyjmują i u niej bywają. Mówiła mi nawet i to, że się poznały z Teklunią, że się nawzajem odwiedzają i są z sobą tak, jak na tym świecie, gdzie więcej idzie o

formy, jak o sentymenta, powinny być z sobą kobiety w takim położeniu, co mają rozum i wychowanie. Ale o żadnym stosunku téj damy z p. Adamem nie pisnęła mi ani słówka. Możnaż przypuścić, żeby Plotkowska nie wiedziała o czémścis podobném, gdyby było, a wiedząc, żeby utrzymała język na wodzy i nie wygadała wszystkiego, zwłaszcza mnie, dla której byłaby ta wiadomość tak zła i przykra?

—Jest racya, jest racya— rzekł Marszałek uspokojony, i wydobywając piórko od zębów, obejrzał się ku drzwiom, czekając, czy nie zawołają do stołu. Jakóż w téj samej chwili Ignacy otworzył drzwi na rozcież i rzekł:

—Waza na stole.

—O! to dobrze!— zawołał Marszałek z ożywieniem, i zwracając się do żony dodał: —Połóż-no to i chodźmy, bo zupa ostygnie.

Marszałkowa położyła iglicę, uporządkowała wełny w koszyku, rozciągnęła siatkę, dla obaczenia ile przybyło i wkrót-

ce powstawszy poszła za mężem. W takim usposobieniu rodzice p. Adamowój, spokojni o los córki, którą tak świetnie wydali za mąż, udali się na obiad, odbrawszy wiadomość, jaką im p. Katarzyna przywiozła, i która apetytu ich bynajmniej nie zepsuła.

Do tego samego buduaru w Buchowcach, gdzie się dramat ten rozpoczął, ale który teraz gustowniej, skromniej i bardziej po kobiecemu wyglądał, weszła Eleonora w powabnym bardzo, ale codziennym ubraniu; za nią p. Adam nachmurzony i niekontent, i Szambelan, który brodę swą w biały halsztuch utopił i chustkę pod pachę zatykał. Eleonora usiadła w fotelu, a raczej ułożyła się z miękkością i gracyą, p. Adam przechadzał się milcząc, a Szambelan usiadł przy stoliczku, na którym tabakierkę swoją

postawił, jakby na znak, że już to miejsce w dłuższe wziął posiadanie. Było to po obiedzie. Przyniesiono kawę i fajki dla p. Adama i Szambelana. Eleonora piła po łyżeczce, p. Adam połknął swoje od razu, a widząc, że Szambelan zabiera się do długiego mieszania tego trunku, który dla wielu kompletuje dopiero najlepszy obiad, zmarszczył się i puszczał kłąb dymu, rzekł:

—Zdaje mi się, żeś zwykł drzémac po obiedzie, Szambelanie!

—Jakem był w Peterburgu — odpowiedział Szambelan — tom nabył tego nałogu, od którego staram się odzwyczaić.

Eleonora uśmiechnęła się, widząc, że Szambelan postanowił sobie nie rozumieć p. Adama, który spojrzawszy nań seryo, rzekł:

—To źle robisz, że się starasz odzwyczaić od starego nałogu. Nałóg, czy dobry, czy zły, gdy już raz nabyty, wchodzi w organizm i zamienia się w potrzebę umysłu i ciała. Dobre wychowanie

zależy na tém, aby dać wcześniej dzieciom dobre nałogi i dopilnować, aby się zamieniły w naturę, nim dziecko stanie się człowiekiem. Kiedy kto zapóźno przedsięwzięje taką reformę, przedsięwzięje rzecz w której nie wytrwa. Wszystko zaś, co się robi bez wytrwania i z odstępniem od postanowienia, dowodzi braku charakteru i poniża człowieka w oczach innych i w jego własnych.

—To znaczy, kochany Szambelanie— rzekła Eleonora śmiejąc się— abyś sobie poszedł spać i nie przeszkadzał nam, bo może się tu i mnie dostanie, jaka moralna nauka.

—Jeżeli pod tym warunkiem, to pójdę, bo ci się przyda — rzekł Szambelan, wychylając filiżankę i chowając tabakierkę.

—Jesteś stary zazdrośnik, Szambuńciu! — odpowiedziała z kokieteryą i umizgiem — chociaż wiesz o tém dobrze, że nic nie ryzykujesz.

—Nauczyłem się nie wierzyć w takie

frazesa— rzekł Szambelan powstawszy—
jeszcze wtedy....

—Jakieś był w Peterburgu, niepraw-
daż?— przerwała Eleonora. —Dobrze ro-
bisz, żeś ostrożny. Ale zawsze pamiętaj
o tém, że ja z tobą nie gram komedyi.
Idź, idź kochany Szambelanie, bo widzisz,
jak się ten groźny pedagog niecierpliwi.
A każ tam powiedzieć Marysi, żeby mi
tu za chwilkę przyniosła suknię, jaką
dziś będę miała na wieczorze u pani Ada-
mowej. *A propos!* z jakiejże to okazji ten
wieczór, p. Adamie?

—Są to urodziny matki mojej żony—
odpowiedział p. Adam spuszcżając oczy—
dla tego chciałbym dzień ten obchodzić
solenniiej niż zwykle. Zresztą karnawał...

—Czy wie pan, p. Adamie,— przerwa-
ła Eleonora z przymileniem — co to za
szczególny zbieg okoliczności? Wszak to
dziś podobno i moje urodziny. Niepraw-
daż Szambelanie? ty wiesz o tém lepiej
niż ja.

—A tak, dzisiaj— odpowiedział Szambelan.

—Nie wiedziałem o tém — rzekł pan Adam, znowu schylając wzrok ku ziemi, gdy Szambelan mocno odchrząknął.— To bardzo się cieszę, że w taki dzień uczczę panią choć przypadkiem w moim domu —potém obracając się do Szambelana dodał —przyjeżdżajże Szambelanie i ty, proszę cię bardzo.

Szambelan skłonił się, spojrział na nich dwuznacznie, i zasunawszy brodę w halstuch, wyszedł. Gdy zostali sami, rzekła Eleonora żartobliwie i przechylając główkę z uśmiechem:

—Dla czegożes pan wyprawił Szambelana? czy masz mi co powiedzieć, o czém bym nie wiedziała?

—Mam ci powiedzieć to — odpowiedział p. Adam, patrząc jój surowo w oczy — że mię twój humor niecierpliwi, zwłaszcza dziś.

—Toż bardzo żałuję— mówiła z lekkością— ja inną być nie mogę i być nie chcę.

Byłabym smutną i w złym humorze, gdybyś mię przestał kochać. Ale tego jeszcze nie widzę.

—Zbyt głośno dzwonię kajdanami, któreś na mnie nałożyła— rzekł p. Adam, i odwróciwszy się przechadzać się zaczął.

—Czemuż ich nie zerwiesz?— odpowiedziała niedbale i miękko. — Czy nie masz dość siły, ty, coś już tyle podobnych kajdan zerwał tak łatwo, jak tkanekę pajęczą. Nie możesz mi zrobić tego zarzutu, żeś cię zdradziecko, jak Dalila uspiła, i obcięła ci włosy, w których moc twoja była złożona. Nałożyłeś je na siebie sam. Jeśli ci się sprzykrzyły, szarpnij się Samsonie! a pękną, i nie myśl o tém co ze mną będzie. Ja sobie dam radę.

—Wierzę!— rzekł p. Adam. — Takie istoty bez serca nie tracą głowy. Osnujesz siecią swą kogo innego, a ja, ze zmarnowanym życiem, z poniżonym charakterem, z zatrutém sumieniem, zostanę sam, nawet bez tego opium, którem mię odurzasz. I wtedy będę musiał schylić oczy

przed lada biédakiem, który bez tych środków, jakie mam, bez tych sił, jakie Bóg złożył w mojem sercu i głowie, ciągnie pług życia w pracy, ale w zgodzie z sobą, i śmiało patrzy w oczy każdemu, co szanuje siebie i nie potrzebuje wykładać przed okiem ludzkim uciech, co nie dają ani szczęścia, ani zaspokojenia.

—Więc do takiego stanu przyprowadziła cię miłość twoja dla mnie i miłość moja dla ciebie?— rzekła z roziskrzoném okiem i z wyrazem ironii?

—Nie nazywaj téj gorączki miłością— odpowiedział p. Adam wzdrygając się— bo to bluźnierstwo, bo to jest jedno, co zdjąć kielich poświęcony z ołtarza, napełnić go winem po sam wierzch, i przy uczcie, gdzie diabeł prezyduje, wychylać z niego wiwaty, na uczczenie tych wszystkich chuci, których ciało bez wiedzy serca doznaje. Miłość jest rzeczą świętą, dającą pokój i radość wewnętrzną, jak wszystko, co się wiąże z lepszą częścią naszej istoty, co idzie z nieba i prowa-

dzi do Boga. Ona nie wypala ogniem trawiącym wszystkiego co dobre i szlachetne, nie kładzie piętna wstydu na czole mężczyzny, nie głuży tego głosu, który mu jego poniżenie wyrzuca, nie szuka złodziejskich kryjówek, aby się przed sądem ludzkim schować; ale jak kwiat piękny i czysty, rośnie jawnie, obraca się do słońca, które go ogrzewa, stroi barwami swemi ten ogród społeczności, na której łonie wykwita, i zaprawia balsamem swego oddechu to powietrze, które każdemu, co się do niego zbliży, daje zdrowie i marzenia, z którymi się rozstać ciężko. Taką miłością kocha narzeczoną swą ten piękny i szlachetny młodzieniec, któremu Bóg pozwolił wyrwać się z rąk twoich, a mnie na jego miejscu, i zapewne słusznie, bo nic się nie dzieje ślepo, pod nogi twoje rzucił. Depcz więc tę głowę, ściskaj w rozpięszczonej ręce to serce, które mogło było pokochać coś wyższego, niż to bezmyślne upojenie, jakie mu dajesz; ale

nie nazywaj miłością tój niewoli, w jakiej mię trzymasz, i tój siły, której zła-
macić nie mogę, bo mi tylko przypomi-
nasz, że od kiedym przemocy twój uległ,
przestałem być człowiekiem, a stałem się
bydłociem bezrozumém i podłym.

—A czémże ja jestem przez ciebie i dla
ciebie, egoisto bez serca!— zawołała po-
rywając się z miejsca i zbliżając się do
niego z rozpłomienioną twarzą. — Czy są-
dzisz, że we mnie niéma ani kropli go-
dności własnej, ani cienia wstydu w obli-
czu świata, do którego należę; ani odro-
biny sumienia na krzywdę tój nieszczę-
śliwej, którąś zrobił ofiarą swój gwałto-
wności i dumy? Czy myślisz, że ja nie
czuję tego, że jestem tylko twoją metre-
są, ja, piękna i bogata, tak urodzona
jak i ty, i mogąca być żoną każdego ró-
wnego tobie, przed którą każdy uchylał-
by głowę z uszanowaniem? Wygadałeś
wszystko, nie oszczędzając moich uszów,
a pomyślałeś o tém, czy masz prawo
robić mi wyrzuty zepsucia, ty, coś już

w moje ręce przyszedł gotowy i brudny, coś już był występny w tedy, gdy ja była tylko płochą, coś nie unikał moich sideł, jak je nazywasz, aleś w nie laźł ze słabością i niemocą, i właśnie dla ponęty tego opium, któreś powinien był odtrącić od siebie, jako truciznę swego honoru i sumienia? Aleście wy wszyscy tacy: odważni w obec śmierci, gdy idzie o fraszkę, ale niedołężni i słabi w obec pokusy, która was prowadzi do grzechu, który lubicie, ale bez jego konsekwencji. I czy położyłeś kiedy rękę na sercu i zapytałeś siebie, jakieby one były dla nas obojga, gdyby się świat dowiedział, że ty masz metresę, a ja nią jestem?

—Dosyć, przestań!— zawołał p. Adam ponuro— wiem dobrze coby mię czekało, i wzdrygam się na samą myśl téj chwili, która mię nie odstępuje, jak furya, i straszy co moment jak widmo, którego widoku nie zniosę.

—To nie prawda!— zawołała Eleonora. — Nie pomyślałeś o tém, jak należy.

Ciebie straszy tylko widok bladłej twarzy twój żony, jój wymówki, lub gorsze od nich jój milczenie, i łzy, które kropla po kropli na sumieniu swém uczujesz, jeżeli je masz jeszcze. Ale zresztą nic ci się nie stanie, i o tém wiész dobrze. Wcale co innego czeka mnie, gdy świat położy tę pieczęć hańby na mojem czole, i chórem zawoła: to jego metresa! Wtedy wszyscy się odemnie odwróca, bezkarnie obryzgają mię błotem i oplują jadem. I dla czegoż ja narażam się na tak wielkie niebezpieczeństwo, na taki upadek, z którego mię już nic nie podniesie? Czy dla rozpusty?... jeżeli tak myślisz, to kłamiesz. Gdybym cię nie kochała, gdybym nie pragnęła, abys przy mnie odetchnął z tych walk, jakie z własnej winy staczać musisz w domu, czyżbym pracowała tak ciężko na utrzymanie, już nie mówię cnoty i uczciwości, bo téj nie mamy oboje, ale na utrzymanie jój pozorów, które nam dają przynajmniej jakieś widmo pokoju i ośmielają patrzeć w oczy

ludziom, z którymi żyjemy. To mój cel, niewdzięczniku, który nawet języka swego hamować nie umiesz.

—Eleonoro!— rzekł p. Adam powstając z miejsca, pociągnięty powabem jég głosu i postaci, którój wzruszenie to dodało jeszcze piękności.

—Nie przybliżaj się do mnie— zawołała wówczas cofając się— jedź sobie, i jeśli chcesz, nie wracaj więcej. Bo jeśli mię jeszcze raz przyprowadzisz do takiego stanu, w jakim teraz jestem, klnę się tém wszystkiém, co jeszcze dla mnie świętém pozostało, że zapomnę o sobie, poświęcę siebie i pojedę natychmiast do Fabulickiej, którój powiem bez ogródki czém dla ciebie byłam. A wtedy obaczysz co będzie.

—Niédorzeczna pogrożka!— rzekł pan Adam zsuwając brwi i ruszając ramionami. —Powiedziałybyś jég tylko to, czego się już dawno domyśla. Ale dość już tych wzajemnych goryczy, które położenia naszego nie zmieniają. Zresztą, nie mamy so-

bie nic do zarzucenia, stoimy z sobą na równi. Daj więc pokój fochom i obrazom; ubieraj się prędko i przyjeżdżaj.

—Nie przyjadę — rzekła Eleonora i usiadła z wyrazem upornego postanowienia.

—Nie przyjedziesz?! — krzyknął p. Adam z gniewem, przystępując do niej.

—Co to jest? — rzekła podnosząc głowę z dumą — chcesz mię przestraszyć krzykiem i zmusić może pięścią? Sądzę, że się przynajmniej do takiego grubijaństwa nie posuniesz. Mogłeś mię zdeptać swoją pogardą; znosiłam obelżywe wymówki, któremiś mię obryzgał, ale ofiary z siebie zrobić nie dam. Przestań na téj, jaką masz w domu. Powiedziałam, że nie przyjadę, i nie przyjadę.

—Jak ci się podoba — rzekł p. Adam dotknięty i zawstydzony, potarł ręką czoło, porwał za kapelusz i wyszedł. Eleonora posiedziała jeszcze czas niejaki z twarzą zakrytą obiema rękami, potem przyciskając mocno chustkę do oczów dla o-

tarcia łez, które ją gniewały, powstała i poszła. We drzwiach spotkała się ze służącą, niosącą w ręku jęj suknię.

—Gdzie to niesiesz?—zapytała z podziwieniem, zapomniawszy o danym rozkazie.

—Pani kazała przynieść tę suknię, w którą ma się dziś ubrać—odpowiedziała sługa.

—A! dobrze, chodź— rzekła bez namysłu, i poszła naprzód, a sługa za nią.

We trzy godziny potem, w wielkiej sali domu p. Adama, w Mirowie, kończyły się przygotowania do wieczoru, który wkrótce miał się rozpocząć. Lokaje w paradnej liberyi, w białych pończochach i rękawiczkach zapalali światło, znosili kandelabry i szykowali meble. Wśród tego zakrętu, który się odbywał szybko i w milczeniu, we drzwiach otwartych na rozcież i prowadzących do pokojów p. Adamowej, stanęła ona w białej sukni, zszyją okrażoną lekkim szalikiem, z głową już uczesaną, ale jeszcze nie ubraną w wie-niec z białych róż, który trzymała w ręku i na który smutno patrzyła. Twarz

jój była niezmiernie blada, ręka wychudzona, oddech krótki, i cała postać jój okazywała stan grożący i mocowanie się z upadającemi siłami ciała i dręczącą myślą, która ją trawiła. Postawszy tak przez chwilę, postąpiła parę kroków, i poglądając na to wszystko, co się robiło, uśmiechnęła się melancholicznie, pokiwała głową i słabym głosem rzekła:

—Czy już wszystko gotowe? Stefanie!

—Już— odpowiedział sługa, przystępując z uszanowaniem— tylko pozapalamy resztę światła.

—A pana niéma? — zapytała ze stłumioném westchnieniem.

—Niéma jeszcze, proszę jasnej pani— odpowiedział sługa.

—A któż to przyjechał? Słyszałam dzwoneczki szorów— zapytała znowu.

—To panna Semenowska— mówił sługa.

—Kasia!— zawołała z ożywieniem, postępując naprzód, i lekki rumieniec wystąpił na jój twarz, a w oczach błysnęła

łza, która je ożywiła. —Gdzież ona? czemu nie przychodzi?

—Poszła do swego pokoju, zapewne zdjąć szubę i ogrzać się, bo zimno— odpowiedział sługa.

—Idźże, idź, powiedz, że ją czekam i pobiegłabym do niej sama, ale nie mam sił— rzekła p. Adamowa i oparła się o krzesło, które jej służący natychmiast przysunął.

W téj chwili weszła p. Katarzyna. Obie przyjaciółki rzuciły się sobie w objęcie; słudzy usunęli się z sali, a p. Adamowa siadając i biorąc rękę p. Katarzyny, rzekła:

—Dziękuję ci, moja droga Kasiu, żeś tak prędko wróciła. Tak byłam sama i tak niezdrowa! Teraz mi już lepiej, o! daleko lepiej!

—Ale cóż to za przygotowania? na co ta illuminacya? co znaczy ten wieniec z tych róż białych, który masz w ręku?— zapytała p. Katarzyna, patrząc na nią ze smutkiem i współczuciem.

— Alboż zapomniałaś — odpowiedziała p. Adamowa z uśmiechem — że to dziś urodziny Mamy. Adam chciał uczcić ten dzień huczną zabawą i sprosił całe sąsiedztwo. Będziemy mieli bal.

— Bal — rzekła p. Katarzyna — kiedyś ty taka blada, taka słaba?

— To nic, to przejdzie — odpowiedziała mocując się z sobą. — Skoro ty tu jesteś, już się nie boję tego chwilowego osłabienia, które mi nie wiem z kąd przyszło. Będę mogła ubrać się i wyjść; a choć może nie znajdę tyle sił, żeby tańcować, ale przynajmniej przyjąć gości potrafię.

— Tańcować? ty Tekluniu! — rzekła p. Katarzyna patrząc na nią ze drżeniem.

— Bardzobym była rada, żebym mogła — odpowiedziała biędna kobieta — bom przyrzekła to Adamowi, który był dla mnie dziś rano tak dobry, prosił mnie o to, i sam do kadryla mnie zamówił.

— Barbarzyniec! — szepnęła p. Kata-

rzyna odwróciwszy się i tłumiąc w sobie oburzenie, które brało górę.

—Ale nie mówmy o tém— rzekła pani Adamowa—już to zmienić się nie da, choćbym była słabszą, jak jestem. Za pół godziny goście zjadą się, a odpraszać ich teraz na inny dzień niepodobna. Powiedz mi lepiej o swojej podróży. Nie bardzoś przeziębła?

—Opatrzyłaś mię przecie tak troskliwie, mogłoby mi być źle w drodze— odpowiedziała p. Katarzyna ze łzą w oku.

—Jakżeś zastała siostrę? czy tam wszystko dobrze?— zapytała znowu, odwracając uwagę przyjaciółki od swojego cierpienia, i zgadując że ona je przenika.

—Biédna moja siostra przynajmniej zdrowa;— odpowiedziała p. Katarzyna— ale w ciągłej pracy, w ciągłych kłopotach gospodarskich i trosce o los i wychowanie dzieci, których ma tyle.

— Dla czegoż ją nazywasz biédną, moja droga Kasiu!— rzekła p. Adamowa z ozywieniem.— O! ona szczęśliwa, jeżeli

jój Bóg dał zdrowie i dzieci. Praca jest błogosławionym nakazem nieba, dającym siłę ciału i pokój duszy. Kłopoty i starania o chleb powszedni są także dobrem człowieka. Na to je Bóg dał, aby stały na straży serca, żeby się nie zepsuło, żeby je rdza próżnowania nie zgryzła, lub tchnienie złej namiętności nie zaraziło. A taż troska o dzieci, o ich los, o ich wychowanie, nie jestże najwyższem uposażeniem kobiety? Są w niej prawda obawy, są trwogi; ale ileż się w niej mieści rozkosznych marzeń, ile dalekich nadziei, ile myśli wyższości i powodzenia, które napełniają dumą serce matki i każą jej zapominać o tém wszystkiém, co ją bolało i trwożyło. Nie mów więc, że ona biędna. Gorzej tym, co tego wszystkiego nie mają. Patrz na mnie. Ja nie potrzebuję pracować, mam wszystko czego tylko pragnę, nie mam żadnych kłopotów, żadnej przykrości, żadnej troski, a jednak widzisz, że więdnę, schnę, czoło moje pochyliło się ku ziemi, i jakieś

straszne widmo, którego odpędzić nie mogę, staje przed moją okiem. Ale cicho! —dodała powstając ze drżeniem i opierając się na ramieniu p. Katarzyny.

Wtedy w przepokoju dał się słyszeć grzmiący głos p. Adama.

—Czy już są muzykanci?

—Oh!—jęknęła mimowoli biedna kobieta, chwyciła się za serce i rzekła:—To Adam, i widać czegoś nie kontent. Chodź Kasiu, pomóż mi prędkiej ubrać się, bo on się zmartwi, jak mię obaczy niegotową.

—Nieszczęśliwa! — szepnęła p. Katarzyna—tobie lekarza trzeba, a nie gości.

I obie udały się do pokojów pobocznych, a wkrótce główne drzwi sali otworzyły się i wszedł p. Adam. Był on, jak się łatwo domyślić, zły i nie kontent z siebie i ze wszystkiego co go otaczało. Twarz jego była blada, włosy prawie najeżone, zmarszczone czoło. Obejrzał się po sali, przeszedł kilka kroków, wstrząsł się od

zimna, które go przejęło w drodze, i zacierając ręce, rzekł z gniewem do lokaja, który stał gotów na rozkazy:

—Tu zimno! osły! małościę napalili. Przynieś mi wina, i niech Wawrzyniec przyjdzie.

Lokaj wyszedł milcząc, a w téjże chwili wszedł kamerdyner jego Wawrzyniec, w galowém ubraniu, i na tacy przyniósł mu listy. P. Adam rzekł do niego surowo:

—Nie dopilnowałeś, żeby tu było ciepłój. Wszyscy pomarzną. Zkąd to?

—Od p. Groblicy, od p. Kazimierza Strobińskiego i od p. Karola Jaratońskiego— odpowiedział Wawrzyniec!

—Cóż to może znaczyć?— czy nie będą?— mówił p. Adam sam do siebie; rozrywał koperty jedną po drugiej, i przebiegłszy listy, zmiął je, rzucił na tacę i rzekł do kamerdynera: —Wrzuc to w ogień. Wina chciałem.

—W ten moment, jasny panie!— odpowiedział Wawrzyniec zbliżając się do ko-

minka i wrzucając papiery w ogień. W tym samym czasie przyniósł lokaj wino. P. Adam wypił jedną szklanę i drugą, a popatrzywszy przez chwilę w ziemię, postawił szklanę na tacy i rzekł:

— Postaw to tam i idź sobie. — Potém przeszedłszy się parę razy, stanął przy kominku i mówił sam do siebie: — Głupcy! nie przyjadą! wymawiają się każdy czém inném. To zmowa widoczna. Rośnącą coraz ich obojętność widziałem, a to już znak wyraźny, że im tajemnica moja wiadoma, i że życia mego nie aprobują. Wolno każdemu sądzić mię, jak mu się podoba, ale wara ubliżać mi, i sąd swój objawiać tak, żebym to widział lub sły-szał. Kiedy kogo proszę, a nie przyjeżdża bez dobrej racyi, afrontuje mi. Milion set diabłów! zapomnieli widzę, z kim mają do czynienia. Wszakże wszystko mi się dziś tak wiedzie! — rzekł z gniewem, zagarnąwszy z czoła włosy, i zaczął znowu chodzić po sali. Po chwili zatrzymał się i dodał: — Ona nie przyjedzie, najlep-

szych przyjaciół moich nie będzie, a tu tyle ocz na to patrzeć, tyle języków szeptać o tém zacznie! Co? jak? dla czego? pójdzie po sali jak ogień plutonowy i od tego ładunku głupstwa i ciekawości buchnąc może płomień, którego łuna padnie na moje czoło i wszystkie jego plamy oświeci. Ba! to było do przewidzenia nie dziś to jutro. Trudno żądać, aby diabeł dla moich pięknych oczów zapomniał o właściwej sobie logice i działał bez konsekwencji. Wawrzyniec! krzyknął znowu, nalał sobie jeszcze jedną szklanekę, wychylił ją duszkiem i do kominka wrócił. Gdy kamerdyner zbliżył się, zapytał:

— Co się dzieje w kuchni i w kredensie?

— Wszędzie dobrze jaśnie wielmożny panie— odpowiedział sługa. — Niech jasny pan będzie spokojnym.

— Muzykantów postawić w tym pokoju— dysponował p. Adam, ukazując drzwi osłonięte kwiatami.

— Tam téż będą jaśnie wiel. panie. Tyl-

ko się drzwi otworzą, które kazałem osłonić kwiatami— odpowiedział sługa.

—Pani zapewne jeszcze nie ubrana— mówił p. Adam— A p. Katarzyna gdzie jest? Widziałem Mateusza, który z nią jeździł, musiała więc wrócić.

—Tylko co wróciła jaśnie w. panie, i jest teraz u pani— odpowiedział sługa.

—Nie chcę pani przeszkadzać w jej toalecie— mówił p. Adam— ale pójdź poproś p. Katarzynę, żeby tu wyszła na momencik.

Kamerdyner poszedł, a p. Adam zaczął się przechadzać. Wkrótce wyszła p. Katarzyna, a Wawrzyniec oddalił się do przedpokoju. P. Adam spojrzał niespokojnie na twarz jej zmieszaną i zmienioną i rzekł:

—Teklunia jeszcze nie ubrana?

—Teklunia chora— odpowiedziała p. Katarzyna seryo i z wymówką— posłałam po pana Zawickiego.

—Co? co?— krzyknął p. Adam zapomniawszy się i odstępując od zadziwio-

nój kobiety, mówił sam do siebie: — Million set diabłów! téj tylko ingrediencyi brakowało jeszcze do tego piekielnego pasztetu, który mi tu upieką. — Potém zwracając się do p. Katarzyny, dodał z gniewem: — Przed południem miała się wcale dobrze. Czy to powrót pani i wiadomości z Łoziniec, gdzie wiem żeś była, tak stan jój pogorszyły?

P. Katarzyna spojrzała z żalem na człowieka, którego twarzy szlachetnej i pięknej, wewnętrzne zburzenie i trunek, który ją rozogniać zaczynał, dały jakiś wyraz pospolity i grubijański. Pomilczawszy przez chwilę, odpowiedziała spokojnie, ale z mocą:

— Nie potrzebuję przed panem ukrywać gdzieem była. W rzeczy samej, byłam u rodziców Tekluni i żałuję tego. Nie sędzę, abys mi pan miał to za złe, lub, znając mnie, zdziwił się, żem tę podróż przedsięwzięła. To ja powinnabym się dziwić, że pan zapytujesz mnie o powód tego stanu, w jakim się żona pana znaj-

duje, kiedy znasz go doskonale, i że powrótni mojemu jego pogorszenie przypisujesz, czemu sumiennie wierzyć nie możesz.

Gdy to mówiła patrząc mu przenikliwie w oczy, po jój twarzy szlachetnej i wyrazistej potoczyły się dwie łzy, które jak dwie krople palące padły na serce p. Adama. Uczuł on całe ich znaczenie, odwrócił się zawstydzony, ale wkrótce podnosząc dumnie głowę, rzekł bez uniesienia lecz stanowczo:

—Proszę dać pokój domysłom, co wiem a czego nie wiem, w co wierzę, a czemu nie wierzę. Dałem dowód przywiązania do mojej żony i szacunku dla pani, kiedyś panią prosił i proszę, abyś jój nie odstępowała i na życie nasze patrzyła. Ale zbytek przenikliwości może zepsuć to, co obecność pani miała utrzymywać i podnosić. Ani Teklunia nie potrzebuje już nauki, ani ja przestroóg i upomnień. Gorliwość niewczesna jest zawsze albo głupstwem albo grzechem. - Jeżeli pani

nie chcesz, żebym panią posądził lub o brak rozsądku lub o złe intencye, to zostaw moją żonę jój własnemu natchnieniu, które ją oświeci lepiej niż rady pani, i powie jój, że kaprys ten i udawanie choroby, której przed kilku godzinami nie było, jest dziś mniej na swoim miejscu niż kiedykolwiek. Gości moich odprosić nie mogę, a tłumaczyć się przed każdą z tych kobiet, które przyjadą, nie będę miał ani czasu, ani humoru. Słyszysz pani, już są. Proszę więc powiedzieć Tekluni, że nie żądam, aby się bawiła i uśmiechała, jeżeli nie ma do tego usposobienia, ale chcę i każę, aby się ubrała i wyszła, Do kaprysów i explikacyi będzie pora jak będziemy sami.

P. Katarzyna zakryła oczy chustką i tłumiąc płacz, poszła do pokojów p. Adamowej, a w téj samej chwili otwarły się główne drzwi i drzwi boczne osłonięte wazonami roślin i kwiatów. W pierwszych dał się słyszeć gwar zebranych w pierwszym pokoju i wchodzących do sali gości, a w dru-

gich strojenie instrumentów. Wtedy p. Adam, zgarnąwszy gwałtownie włosy swe z czoła i przechodząc mimo muzykantów, zawołał:

—Grajcież grajki! tylko głośno i ochoczo. Nie żałujcie smyków, dmijcie w trąby i walcie w bębny, żeby aż w piekle było słyhać, i żeby ten diabeł, co tę ucztę natchnął i przygotował, zatarł ręce z radości i podziękował mi za tę uciechę, jakąm mu sprawił.

Gdy to powiedział, odezwał się huczny polonez, goście zgromadzili się u wnijścia, a on udając wesołość i zmuszając usta swe do uśmiechu, kłaniał się damom, witał i ścisnął ręce mężczyzn; a widząc, że Fabulicka, skrzypnąwszy tabakierą i zażywszy tabaki, bystro lustrowała salon i całą kompanię, przystąpił do niej, podał jój rękę, i stanąwszy z nią w pierwszą parę, rzekł do mężczyzn:

—Panowie! podajcie ręce damom i przeprowadźmy je do miejsca, aby usiadły i ogrzały się po tym wichrze, który

tam podobno dmie na dworze. Służę pani.

I cały polonez, złożony ze trzydziestu kilku mężczyzn starszych i młodych, i z tyluż prawie pań i panien, między którymi były i te, któreśmy widzieli w Sofiówce, a mianowicie dobre znajome nasze: Fabulicka, w czarnej sukni, z tabakierką w rękę, Plotkowska, wystrojona w perły i z wachlarzem, Nowinkowska, w zielonej sukni i z czerwonym piórem na głowie, przesunął się parę razy w koło sali, i gdy na znak p. Adama muzyka ucichła, i tylko brząkanie skrzypek i bassetli słyszeć się dawało, panie usiadły, panienki zebrały się w kupkę, panowie rozproszyli się, starsi stając przy damach, z którymi rozmawiać zaczęli, młodszy przy pannach, niektórzy przy kominku grzejąc się i oczekując traktamentu.

—Herbata!— zawołał p. Adam do Wawrzyńca, który stał przy drzwiach pokoju jadalnego, przymkniętych i znajdujących się po tej samej stronie sali, gdzie

była muzyka. Kamerdyner je otworzył, i w téjże saméj chwili kilku lokai wniosło na tacach herbatę i ciasteczka. Wszyscy brali i pili, a p. Adam, unikając widocznie plotkarek, które oglądały się ciągle na otwarte drzwi p. Adamowój, stawał przy innych paniach i mówił:

—Miałbym sobie do wyrzucenia, gdyby paniom przejażdżka na takie zimno zaszkodziła. Może herbata nie gorąca? może tu nie dość ciepło?

—I owszem— odpowiedziała jedna— herbata gorąca.

—I w sali ciepło bardzo miłe— mówiła druga.

—Nie jest nawet tak zimno na dworze, zwłaszcza w dobrém futrze— mówiła trzecia.

—A do tego w karecie— dodała czwarta, spójrząwszy z góry na poprzedzającą, która karéty nie miała.

—A! wiem ja, wiem— mówił p. Adam— że uprzejmość pań i łaska sąsiedzka grzała panie więcej, jak szuba i karéta.

Nieskończenie wdzięczny jestem paniom, żeście na mróz nie zważały.— Potém obróciwszy się do panien dodał; —Kończcie panie! kończcie! zaraz zagrają walca, to panie lepiej ogrzeje, niż gorąca herbata. Może pani pozwoli jeszcze jedną filiżankę?

—Dziękuję panu, ja wolę walca— odpowiedziała żywa i ładna panienska, do której mówił. A gdy odszedł do mężczyzn, panienski mówiły między sobą:

—Jaki on grzeczny— rzekła jedna.

—A jaki jeszcze przystojny— mówiła druga.

—Jak tu u niego wszystko idzie jak z płatka— dodała trzecia.

—Jaka ta żona szczęśliwa, że ma takiego męża— rzekła inna.

—I taki salon— mówiła druga.

—I takie dobra!— dodała trzecia, która już na starą pannę zakrawała.

—Gdzież to gospodyni domu?— mówiła tymczasem Nowinkowska do Fabulickiej.

—Która?— odpowiedziała Fabulicka, skrzypnąwszy tabakierą.

—Alboż ich tu jest dwie?— zapytała z uśmiechem Nowinkowska— ja mówię o pani Adamowej.

—A! nie wiem gdzie jest, i dla czego nas tu zostawia jak błędne owce— rzekła Fabulicka, zapychając nos tabaką.— Zapytaj pani Deputatową, ona musi wiedzieć.

Nowinkowska obejrzała się i postrzegła Plotkowskę z p. Adamem. Przystąpiła więc do nich wtedy, gdy p. Adam mówił:

—Niechże panie darują mojej żonie, że jeszcze nie wyszła. Trochę się jej niedobrze zrobiło przed samym wieczorem i opóźniła się z toaletą.

—To się zdarza— mówiła Plotkowska bijąc wachlarzem po dłoni. — Ona taka delikatna, a nam biednym kobietom zwykle niemoc przychodzi wtedy, kiedy najmniej potrzebna.

—Wszystko złe, pani dobrodziko —

rzekł p. Adam — przychodzi najczęściej nie w porę.

—A Leosia będzie?— zapytała naiwnie Plotkowska, patrząc mu jednak bystro w oczy.

—Pani zapewne mówi o p. Naramickiej— odpowiedział p. Adam. I gdy Plotkowska kiwnęła głową, on ruszył ramionami i dodał: —Prosiłem, ale nie wiem doprawdy. Widać nie łaskawa. A może się ulękła zimna.

—O! o!— zawołała Plotkowska śmiejąc się— czyż ona boi się zimna?

P. Adam odwrócił się i zawołał na muzykę:

—Walca!— a potem odchodząc w inną stronę, mruknął —przekłete gadziny! już zaczynają powoli syczyć i żądęłka swe wypuszczać.

Gdy muzyka się odezwała, gdy młodzi poruszyli się i każdy stawał z ukłonem przed swoją parą, p. Adam wziął jedną z młodszych dam, i krzyknąwszy na muzykę: prędzój! puścił się z nią tak

szalonego wálca, że nikt nie śmiał mu towarzyszyć, a z ruchów i twarzy jego widać było niezwykle usposobienie jego umysłu. Był on dziwnie pięknym, ale i strasznym razem. Gdy wszyscy patrzyli nań z podziwieniem, a mężczyźni i kobiety giestem i szeptem dawali poznać, że to stan nienaturalny, który musi mieć jakąś ukrytą przyczynę. P. Adam zatrzymał się i zziąjaną damę swą osadził na miejscu. Wtedy zaczęto wołać:

—To za prędko! to za prędko!

—Grajcie wolniej— rzekł p. Adam do muzykantów, a zbliżając się do Wawrzyńca, który stał przy drzwiach jadalnego pokoju, dodał oddychając prędko i zaciśkając wargi: —Idź, powiedz pani, niech już wychodzi. Dość tego guzdrania się, do wszystkich diabłów!

Wawrzyniec poszedł do pokojów pani, p. Adam usunął się na chwilę do pokoju jadalnego, żeby się cokolwiek uspokoić; muzyka zagrała walca powolniejszym

tempem, a ochoce pary puściły się w koło i okręcały się po dwie, po trzy i po cztery razem.

—Tu coś jest, czy pani uważa?— rzekła w tym samym czasie Plotkowska do Fabulickiej, bijąc się wachlarzem po dłoni.

Fabulicka skrzypnęła tabakierką, wzięła szczyptę i uśmiechając się odpowiedziała:

—Uważam, że gospodyni niéma, że po nią posyłają i zapewne wyjść nie chce.

—Ale czemu to p. Adolfa niéma?— rzekła Nowinkowska oglądając się ciekawie.

—Ani p. Kazimierza z siostrą, ani jój narzeczonego, owego pięknego Antymona, jak go nazywają— mówiła Fabulicka zażywając tabakę i strzepując palce.

—Szczególna rzecz— dodała Plotkowska— najlepszych przyjaciół P. Adama niéma. Czyżby ich nie prosił?

—A przyjaciółki czy są?— rzekła Fabulicka.

—Jednę prosił, ale ta boi się zimna—
odpowiedziała Plotkowska śmiejąc się.

—Alboż jest więcej jak jedna?— zapytała ciekawie Nowinkowska.

Fabulicka skrzypnęła znowu tabakierą i uśmiechnęła się, a wszystkie trzy patrzyły przenikliwie na p. Adama, który przeszedł szybko przez salę i spotkawszy Wawrzyńca wychodzącego z pokojów pani, zapytał:

—A cóż?

—Pani chora— odpowiedział sługa.

—Kłamstwo!— rzekł p. Adam z gniewem i chciał wejść do pokoju żony. Ale we drzwiach zastąpiła mu drogę p. Katarzyna i składając ręce rzekła:

—P. Adamie! miej pan litość nad tą biedną kobietą i każ niech muzyka umilknie.

—Proszę się nią nie opiekować!— zawołał p. Adam nie zważając prawie, że go słuchają.— Mnie gorzej gra w sercu i w głowie, a muszę znosić. I ona znieś to wszystko łatwiej, jak tu wyjdzie.

Powiedz jój pani, że wszelkie improwizacye są komedyą, w którą nie wierzę, i prosz ją, aby mię nie zmuszała pokazać jój, że chcę i umiem być panem w domu.

P. Katarzyna cofnęła się przestraszona słowami i widokiem człowieka, którego twarz całkiem się zmieniła; bliższe sceny tój osoby cofnęły się także i szeptać z sobą zaczęły, a przy głównych drzwiach sali, otwierających się raptem, powstała wrzawa, która na siebie uwagę wszystkich zwróciła. Taniec się przerwał, muzyka ucichła, a we drzwiach sali ukazała się Eleonora, strojna, piękna i uśmiechająca się, a za nią Szambelan we fraku i z brodą w halsztuch zasuniętą.

—A! a! witamy panią! witamy!— wołali mężczyźni, pod wpływem uroku, jakiego zawsze w zebraniach takich młoda i piękna kobieta wywiera.

P. Adam postrzegł ją od razu, a ucieszony jój widokiem, uradowany przyjęciem, jakiego doznała, oczarowany pięknnością, której blask jakby rozjaśnił je-

go chmurne myśli, zapomniał nagle o tém przykrém położeniu, w którém się znajdował, i z uśmiechem na ustach, z rozpromienioną twarzą, co wszystko nie uszło wzroku tych, co nań bliżej patrzyli, przemknął się przez salę i stanął przy kochance. Ona go powitała tak słodkiem wejrzeniem, tak miłym uśmiechem, jak gdyby nie między niemi nie zaszło, i jakby zapomniała zupełnie o tych gorzkich prawdach, które sobie nawzajem powiedzieli. P. Adam podał jój rękę, którą ona ścisnęła, i rzekł głośno:

—O jakżem wdzięczny pani za tę siurpryzę, jaką nam sprawiasz. Myślałem, żem przez co bądź na niełaszkę pani zasłużył. Ci panowie widzieli mój niepokój, jak i ja widziałem to, że nie tylko mnie, ale i im także obecności pani brakowało.

—Dziękuję panom, bardzo dziękuję— odpowiedziała Eleonora uśmiechając się do niego i do innych.

—Przychodziło mi także na myśl, czy może jaka niedyspozycya, dla której i żo-

na moja nie mogła jeszcze wyjść do swoich gości, nie wstrzymała panią— mówił p. Adam niespuszczając z niej oka. —Ale zdaje mi się, żeś pani nigdy nie była zdrowsza i piękniejsza. Służę tedy pani, zrobimy jedno koło walca, to się pani ogrzejesz po tej przejażdżce, za którą serdecznie wdzięczny. Walca!— zawołał obracając się do muzyki, a do niej rzekł ciszej: —Ślicznaś i rozumna. Dziękuję ci!— I gdy walc zabrzmiał, on objął jej kibić, przycisnął jej rękę do swych piersi i patrząc jej w oczy rozognionym wzrokiem, puścił się z nią w wir tego tańca, w którym kto wie czy nie więcej jest prawdy i życia, niż w całej tej metafizyce, jaką Niemcy z mglistych głów swych wysnuli.

Wszyscy patrzyli z zajęciem i podziwieniem na tę piękną parę, której równej Podole nie miało, a w rozmaitych grupach mężczyzn i kobiet różne czyniły się uwagi. Jeden z młodych mężczyzn rzekł do drugiego:

—Jaka ona piękna! niech ją wszyscy diabli wezmą!

—Dałbym nie wiem co — odpowiedział drugi — żebym choć parę dni był na jego miejscu.

—Gdyby ludzie zadawali sobie tyle pracy dla prawdy, ile jój sobie zadają dla kłamstwa i udawania — rzekł jakiś poważny mężczyzna do drugiego — ileżby to pokoju i szczęścia było na ziemi!

—Patrz-no pani — rzekła Plotkowska do Fabulickiej — jak on się zmienił. To inny człowiek, a i bal cały inaczej wygląda.

—Bez gospodyni niéma balu, bez sprężyny najlepszy zegarek nie idzie — odpowiedziała Fabulicka.

—A to i prawdziwa gospodyni tego domu i sprężyna tego zegaru — rzekła Plotkowska śmiejąc się i bijąc się wachlarzem po dłoni. Fabulicka skrzypnęła tabakierą i kiwnęła głową.

Gdy p. Adam, okręciwszy się kilka razy w koło sali, postawił tancerkę swą na

środku, naprzeciwko pokojów swojej żony, a trzymając ją jeszcze w pól, całował jej rękę, którą w lewej dłoni swój z ogniem i namiętnością tulił, Eleonora krzyknęła nagle, wyrwała się z rąk jego i cofnąwszy się parę kroków, zawołała z jękiem:

—Boże! jak ona wygląda! patrz!

P. Adam obrócił się w tę stronę, zadrżał cały, i zawołałszy na muzykę: —Cicho!— postąpił ku drzwiom żony parę kroków. We drzwiach tych stała p. Adamowa, w białej sukni, z wieńcem białych róż na głowie, w lekkim szaliku białym, którym okręcona była jej szyja. Na twarzy jej była przerażająca bladość, oczy świeciły jakimś ostatnim połyskiem, jedną rękę opartą miała o odzwieriek, a drugą odpychając p. Katarzynę, która ją chciała przytrzymać, rzekła z gorączkowym wysileniem:

—Puszczaj mię!

I gdy p. Adam wstrzymał się w przerażeniu, a wszyscy umilkli i stanęli, gdzie

kto był, patrząc z niemą trwogą i żalem na biedną kobietę, która ostatnich sił dobywała— ona wyrwawszy rękę swą z rąk przyjaciółki, postąpiła chwiejąc się, ale śpiesznie do męża, i rzekła:

—Jam wierzyła, że ty mnie kochasz, a tyś nie uwierzył, że ja chora. Kazałeś, jestem.... ale pamiętaj Adamie!.... O! jak-żem ja cię kochała!

I domawiając tych słów konającym głosem, podniosła ręce, padła w jego objęcia i szyję jego ścisnęła. W parę sekund, nim jeszcze p. Adam mógł się opamiętać, jęknęła parę razy i głowa jej zwiśla na jego ramię, a ciało zsunęło się bezwładne i bez czucia.

—Krzesa! krzesa!— zawołał p. Adam przerażony i czując niezwykle ciężar. Podano fotel, on posadził ją, a p. Katarzyna płacząc, trzymała tę piękną i ustrojoną głowę, która upadła na jej ręce.

—Zemdlą! zemdlą! wody! wody!
—wołano z różnych stron w téj sali, która w mgnieniu oka inny przybrała widok.

—Wawrzyniec! po doktora!— krzyknął p. Adam głosem tak przerażającym, a patrzył na bezwładną żonę wzrokiem tak dziwnym i strasznym, że w obecnych krew zastygła, i nikt głosu tego powtórzyć nie śmiał.

—Posłałam już dawno— odezwała się p. Katarzyna, patrząc nań z wyrazem wstrętu i zgrozy. —Ale przyjedzie pewnie zapóźno.

—Jest, jest, jest Zawicki!— zawołano wówczas przy drzwiach sali. P. Adam rzucił się ku téj stronie, chwycił za rękę lekarza, który wszedł w téj chwili, i ciągnąc go za sobą, mówił:

—Chódź, chódź! ratuj ją, ona zemdląca.

Lekarz szybko przystąpił, wziął ją za puls, potrzywał chwilę, i puszczając ję rękę, pokiwał parę razy głową i spojrział na p. Adama. W około panowało grobowe milczenie.

—Cóż? zemdląca?— zapytał p. Adam.

—Umarła— odpowiedział lekarz.

Słowo to rozległo się głucho po sali, w której nikt się nie odezwał, nikt nie jęknął, nikt się nie ruszył. Zdawało się, że to gromada posągów otacza ofiarę i tego, co ją namiętności swojej poświęcił. Widok p. Adama był przerażający. Usłyszawszy swój wyrok w tém słowie, które lekarz wymówił, wlepił on wzrok obłąkany w trupa żony, a potem podniósłszy głowę i pocierając palcami czoło, rzekł jakby sam do siebie:

—Umarła!.... umarła!.... zapewne ona musiała umrzeć. Wszyscy to wiecie, nie prawdaż?— I tocząc wzrok w około, gdy oko jego padło na Eleonorę, która drżąca i blada stała bez ruchu z załamaneimi rękami, dodał z dzikim wyrazem twarzy —a ty wiesz najlepiej, że powinna była umrzeć, i umarła, Idź-że teraz, uklęknij gdzie w kącie i zmów pacierz za jej duszę. Ja pójdę, obstaluję trumnę. A jak zabijemy wieko gwoździami i przysypimy ją ziemią, będziemy mieli ręce rozwiązane. Dalejże!— krzyknął groźniej—

nie stójkcie tak, jakbyście niewierzyli. Powiadam wam, że umarła. Precz więc, precz do domu! Jak będzie wszystko gotowe, dam wam znać i zaproszę was na pogrzeb!

I to powiedziawszy w zupełném już obłąkaniu, przystąpił do zwłok żony, wyrwał jedną różę z jój wienca, i roztrzając obecnych, wybiegł z sali.

—Niech kto pójdzie za mną! jego trzeba ratować— zawołał lekarz i pobiegł za nim.

Wtedy gwar, jęk i westchnienia dały się słyszeć. Eleonora znikła z sali, a inni goście, dając rozmaite znaki żalu, wstrętu, lub podziwienia, powtarzając te słowa:

—Co za wypadek! co za nieszczęście!— zaczęli się wynosić. I wkrótce sala ta, przed chwilą tak huczna i pełna, zrobiła się głuchą i pustą. Tylko na fotelu leżała p. Adamowa bez życia, a przy jój zwłokach stali słudzy z załamaniem rękami, i klęczała p. Katarzyna, płacząc i modląc się.



VI.

Rok prawie upłynął od tej bolesnej sceny, którą staraliśmy się oddać taką, jak była, chociaż czujemy to dobrze, jak dalece potrzeba tu imaginacyi czytelników, aby dopełniła wszystko to, czego brakuje, a coby się znalazło w akcji aktorów takich, jak ich pojmujemy, i w żywym ich słowie, któreby się w sercach widzów odbiło. Ale trudno nam jest kusić się o to, abyśmy mogli przeskoczyć tam, gdzie nawet przeléźć nie możemy. Niech więc czytelnicy raczą przestać na tém, co im ofiarujemy, i nie nas obwiniają, że ich

okradamy z wrażeń jakieby mieć mogli, i dajemy im tylko rysunek zamiast malowidła.

Ale wróćmy do rzeczy. Otoż w rok prawie, w połowie stycznia, na cmentarz miasteczka S**, które należało do p. Adama, i gdzie był kościół parafialny Mirowa, weszły dwie panie, prowadząc się pod ręce. Były to niegdyś dwie družki p. Tekli; p. Katarzyna Semenowska, i pani Karolowa Jaratońska, owa milutka p. Aniela, która kiedyś p. Adamowi przypinała bukiet, a u której obecnie p. Katarzyna przebywała, znajdując w domu jej tymczasowy przytułek i serdeczne współczucie. Zima nie była zbyt groźna, a tego dnia właśnie odwilż i jasne słońce zrobiły porę miłą i zdrową. Okryte więc lekkimi i pięknymi futrami, z twarzą otwartą i cokolwiek tylko zarumienioną od świeżego powietrza, weszły one na cmentarz, pragnąc obaczyć pomnik grobowy przyjaciółki, niedawno z Włoch przysłany, a którego jeszcze nie widziały.

Przed niemi szedł dziadek kościelny z odkrytą, siwą głową. Na tabaczkowym płaszczyku miał on krzyż czerwony i pęk kluczków przy pasie, i prowadził je ścieżką starannie umiecioną do wspianiałego grobowca z białego marmuru, który był w głębi.

—Patrz-no Anielciu!— rzekła p. Katarzyna zatrzymując się— jaki to porządny cmentarzyk. W takim małym i prywatnym miasteczku, taki ogród dla umarłych! jak tu musi być miło w lecie— dodała z westchnieniem.

—Ba! ba! miło tu i dobrze teraz pod temi drzewami biednym ludziskom, którym się życie sprzykrzyło— odezwał się dziadek z uśmiechem.— Dawniej nie było tak, póki państwu nie przyszło do głowy, że i z pałacu trzeba tu przyjść i położyć się koło chłopca i kościelnego dziadka.

—Więc to p. Adam— zapytała Aniela—kazał ten cmentarz tak obmurować i zasadzić?

—A jużci— odpowiedział dziadek— i nie dla tego, że to jego miasteczko. Gdzie tam!— dodał machnąwszy ręką i mrużnąwszy prawém okiem.—Ale jak tu pochował jakoś będzie rok temu, młodą swą żonę, a pomiarkował, że i jemu się może dostać, bo ta imość z kosą nie żartuje, to i pomyślał sobie, że to jakoś nie ładnie, żeby nierogaczyna ryła między mogiłami, jak to dawniej bywało, choć człek jak mógł wypędzał i kłął te uparte bestye. Toż zaraz od przeszłej wiosny, skoro ziemia rozmarzła, było tu roboty nie mało. Mularze podnosili ten mur naokoło, ogrodniki z Mirowa zwozili drzewa i kwiaty, sadzili i podlewali, darniowali wszystkie groby, poprawiali drewniane krzyże, aż póki mur nie stanął jak jest, drzewa się nie zazieleniły, kwiaty nie zakwitły, i mogiły nie ustroiły się tak, jak dziewczki do ślubu.

—A tamto, to grobowiec pani?— zapytała p. Katarzyna, patrząc ze łzą w oku na piękny pomnik, pod którym już

w proch zmieniło się to serce, które ona wypielegnowała.

—A jużci to— odpowiedział dziadek.
—Przywieźli go już w późnej jesieni, z dalekich, jak mówią, krajów, i było roboty i dźwigania niemało nim go postawili.

—Piękny!— rzekła Aniela z westchnieniem.

—Ta, nibyto on piękny— mówił dziadek machnąwszy ręką i z uśmiechem mrużnąwszy okiem. — Ale co potem! zwyczajnie, umarłemu kadzidło. Żeby to i zza morza nasprawdzać kamieni, Bóg wie jak wyrzynanych, to robaki taki wliżą pod nie i trafią do swojej strawy. Byłby pan lepiej zrobił, żeby był kazał postawić krzyż drewniany, taki jak inne, i jakby się należało.

—Dla czegożby to tak się należało?— zapytała Aniela, poglądając na urągliwą trochę fizyonomiję dziadka.

—A dla tego— rzekł dziadek— że możeby jakoś sprawiedliwiej było na świecie, żeby choć tu, na cmentarzu, jedna-

kowa była dla każdego mogiła, tak jak tam, pod ziemią, jednakowy jest proch czy z chłopa, czy z pana. Ale co tam! — dodał machnąwszy ręką — może tam panie długo się będą przypatrywać, a zapewne i pacierz zmówią, to ja sobie pójdę, bo nie mam czasu.

— Idź, idź staruszkule! — rzekła Aniela dając mu za fatygę — już my ztąd do sonek trafimy same. Ale powiedz nam jeszcze, czy p. Adam często tu bywa?

— Jakoś z początku — mówił dziadek — jak tu nieboszczkę z wielką paradą przynieśli, to go nie było. Mówili, że śmiertelnie chorował, bo podobnoś tę żonę bardzo kochał.

Obie kobiety spojrzały na siebie z westchnieniem i spuściły oczy, kiwając głową, a stary postrzegłszy to, mówił dalej:

— Zresztą, kto ich tam wie? ja mówię, com słyszał. Może tam inna była przyczyna tej choroby, bo to u panów nie trudno. Naco biédnemu człowiekowi nie ma czasu i skrzywić się, to pana zaraz

z nóg zwali, a często gęsto i na tamten świat zaprowadzi. Tak to już Pan Bóg dał jedno za drugie— dodał mrugnawszy okiem. — Otoż z czego tam zachorował, nie wiem; dosyć, że dopiero jakoś przed kwietną niedzielą przyjechał tu, kazał się zaprowadzić na mogiłę i długo tam siedział. Potem ukląkł, pomodlił się, pocałował ziemię, i już go więcej nie widziałem, bo słyszę, nie było go w domu. Tymczasem tu murowali, sadzili, robili porządek, a on jeździł podobno gdzieś daleko, żeby ot obstałować ten grób, pod którym jój ani trochę nie lżej. Teraz dopiero, ot będzie może dwa tygodnie, jak powrócił.

—A teraz często tu przyjeżdża?— zapytała p. Katarzyna.

—A juźci! — odpowiedział dziadek — prawie codziennie. Piérwszy raz jak tu przyjechał, tom go i nie poznał, tak się jakoś zestarzał i posiwiiał. Musi tam mu coś być na sercu, bo jak tu przyjedzie i tam siądzie na tych białych schodkach, to sie-

dzi czasem dwie i trzy godziny, choć zimno i wiatr świszczę. Mówili mi nawet dworscy, że i w domu mu jakoś nie weselój. Zrobił się prawda niby dobry, i nie taki prędko, jak był piérwój; ale do nikogo nie gada, nigdzie jeszcze nie był, po nocach niesypia, tylko chodzi po pokojach ze świecą, jakby kogoś szukał, co go już znaleźć nie można. At, to nie tak jak ja. Ja, jak sobie rano zadzwonię na prymaryą, przymiotę kościół, do Mszy św. odsłużę, to potém podjadłszy barszczu i kaszy, cały Boży dzień dłubię sobie koszyki i śpięwam godzinki póki nie zmierzchnie. A jak się zmierzchnie i znowu sobie co podjém, to choć nie mam piernata, jaki on ma pewniusieńko, śpię tak, że często gęsto szczury po mnie łażą, a ja tego nie słyszę. Ale zagadałem się, a tam jeszcze jest robota w zakrystyi, bo to jutro niedziela. Niechaj panie furtkę od cmentarza przymkną na klamkę, ja potém ją sam zamknę na klucz.

—Idź, idź staruszkę — rzekła Anie-

la— i dziękuj Bogu, że masz taką spokojność.

—Jużci na to Panu Bogu służę i codzień na prymaryą sygnuję—rzekł stary, żebym miał spokojność, nim przyjdzie ta imość z kosą, i powie: chodź wasan! Wtedy już jak przyjdę, ta i pod drewnianym krzyżykiem położę się, to będzie jeszcze spokojniej niż teraz.

I machnąwszy ręką, mrugnął okiem, uśmiechnął się i poszedł.

—Sumienie!— rzekła po chwili p. Katarzyna, gdy się dziadek oddalił — głos niezmordowany, bijący w serce bez przerwy, jak fala morska bije dzień i noc o brzeg, który wyłabia i podrywa. Męczarnia to musi być wielka, ale zasłużona. Wierzę, że nie może zasnąć, że nie może zapomnieć na chwilę tego widoku, który i najobojętniejszych przeraził, a który i mnie często ze snu budzi. Dziękuj Bogu, żeś go nie widziała.

—A jednak żal mi go doprawdy— od-

powiedziała Aniela.— Szlachetna to natura. Wielkie dary Boże leżały w tój głowie i w tём sercu, i zmarnowały się w tём ciasnym życiu naszym, gdzie męczyzna nic wyższego pokochać, żadną wyższą myślą zająć się, żadnego wielkiego celu, do którego by pełnym żagle namiętności swych dążył, postawić sobie nie może. Wierz mi, nieraz z żalem patrzę i na mojego Karola, którego zetknięcie się tak stanowcze z tym człowiekiem uratowało, obudziło ze snu i tak wysoko podniosło. I nie powiesz, że mnie miłość żony zaślepia. O nie! w młodym sercu jego jest nasienie wielkich czynów, które niestety! nigdy nie zejdzie, i nikt na czołe jego nie dojrzy tego wyrazu: znakomity! który ja na niём czytam. I wieleż to u nas takich dębów nie dorosło swęj wielkości, nie ocieniło szumiącą koroną tēj ziemi, na której je Bóg posadził, ale jak pospolite drewno spłonęło w zgubnym ogniu, który próżnowanie wszędzie zażega.

—Ach to prawda!— rzekła p. Katarzyna z westchnieniem.

—Myśmy szczęśliwsze od naszych mężów i braci, droga Kasiu— mówiła dalej z ożywieniem młoda kobieta.— Pole nasze ograniczone, obowiązki zawsze te same, cel miłości naszej zawsze jeden. Każda z nas poświęceniem swém, wyrzeczeniem się fraszek i próżności światowych, nawet dziś może dorosć do téj wysokości, do jakiej ją Bóg przy ogniu domowym przeznaczył. Ty naprzykład, nie zrobiłaś w życiu swém tyle, ile na wywyższenie cię nad inne kobiety wystarcza? Czémże byłaby ta biedna istota, spoczywająca pod tym marmurem, a szczęśliwa tam, gdzie miłość i cierpienie tak sowitą odbierają zapłatę, gdyby była została w ręku matki egoistki, gdybyś była nie urobiła jéj serca i nie nauczyła ją być męczenniczką na ziemi, aby się stała aniołem w niebie. O wierz mi droga Kasiu! mój brat czuje całą twą wyższość. A ty złam ten niewczesny skru-

puł, że nie masz nic prócz serca, bo Kazio jest człowiek zacny i umie cenić serce nad wszystko.

P. Katarzyna trzymała chustkę przy oczach, słuchając tych słów, które młoda kobieta wymawiała z uczuciem szczególnego podziwienia i przyjaźni. Potem otarłszy oczy, spojrzała z melancholicznym uśmiechem na Anielę, i ukazując jej grób Tekluni, rzekła:

—Tamta była młodsza odemnie, piękniejsza odemnie, lepsza niż ja, a jednak w dwudziestym drugim roku życia legła pod tym kamieniem, który świadczy tylko, że on wtedy dopiero ocenił serce, gdy już bić przestało. O! nie nazywaj skrupułem niewczesnym tego, co jest sprawiedliwą trwogą, z którą może walczę, ale której jeszcze nie pokonała. Ale nie mówmy o tém droga Anielciu! Pójdźmy raczej uklęknąć i zmówić pacierz za pokój téj, która może kiedy we śnie lub przy modlitwie stanie przed moją duszą, powie mi co mam zrobić.

To powiedziawszy, ścisnęła rękę Anieli i obie poszły do grobowca i na jego stopniach ukłękły.

Wtedy pokazał się na cmentarzu P. Adam. Błady, zmieniony na twarzy, osłonięty futrzaną kapotą, spiętą z przodu kilku taśmami, w czarnej axamitnej czapce, z pod której wyglądały siwe włosy; postąpił on kilka kroków, a postrzegłszy obie kobiety, klęczące przed grobowcem, wstrzymał się i zsuwając brwi rzekł do siebie:

— Co to za kobiety? czy nie ona to? śmiałażby nieczystym oddechem kalać ten grobowiec i czołem bezwstydném dotykać tych kamieni?

Tak mówiąc, zbliżył się do pomnika. Aniela pierwsza usłyszała jego kroki, powstała prędko i dotykając ramienia zamodlonój przyjaciółki, rzekła:

— Kasiu! P. Adam!

P. Katarzyna zerwała się i wstrzęsła na widok człowieka, który jój tyle spra-

wił bólu; ale spojrzawszy na jego twarz zmienioną, na ugiętą postać i siwe włosy, pokiwała głową, i odwracając się z westchnieniem, rzekła do towarzyszki:

— Chodźmy, Anielciu!

— Nie idźcie Panie jeszcze — rzekł P. Adam uspokojony, że się w podejrzeniu swém pomylił. — Rad jestem, że was tu spotykam. O! zaprawdę, nikt godniejszy nie uczcił jeszcze łoża tego grobowca, pod którym leżą prochy, do których serce was przyprowadziło. Pani natchnęłaś miłością i prawdą tę duszę, co patrzy teraz na nas z nieba; a ty Pani, pamiętasz, ostrzegałaś mię, że to mój anioł, którego Bóg na straży mojego serca postawił. Alem ja obu wam wywdzięczyl się niegodnie. Tobie za twoje starania wypłaciłem się wymówkami i grubijaństwem, zraniłem śmiertelnie pierś twą, łamiąc w ręce swój ten kwiat, któryś wypielegnowała; a twoich przestroóg zapomniałem i odepchnąłem od siebie bożego posłańca, co miał dać pokój mojemu życiu. Da-

rujcie więc, i tu, gdzie mówię pacierz codzienny, i mówić go będę do śmierci, podajcie mi rękę na znak przebaczenia.

Obie kobiety rozplakały się i podały mu ręce, które on ścisnąwszy, mówił dalej ze spuszczonej ku ziemi oczami:

—Dziękuję wam drogie Panie! i jeszcze o jedną łaskę was proszę. Wówczas, kiedy mię zgubna namiętność unosiła na manowiec zepsucia, kiedy głowę swą, któraby mogła była zająć się czémś lepším i wyższym, wysiłał tylko na to, jak oszukać świat, jak ocalić resztę imienia, jak odurzyć pozorami przywiązania to serce, które wkrótce w rękach moich pękło, straciłem trzech przyjaciół, którzy się poznali na téj niegodnej komedji uczciwości i honoru, i odwrócili się odemnie, może z żalem, ale stanowczo. Domyślcie się Panie, że tu mówię o Adolffie Groblicy, niemiłosiernym szydery, ale człowieku z sercem i głową, o zacnym bracie twoim Pani, który mi zawsze tyle przyjaźni okazywał, i o tym szlachetnym

młodzieńcu, którego nauczyłem się kochać, gdy stał pod jego kulą, a którego ty Pani kochasz tą świętą miłością, co jak rozum i modlitwa, jest tylko wyłącznym przywilejem człowieka, i wyższa go nad wszystkie istoty, jakie Bóg postawił na ziemi. Wstawcież się Panie za mną do nich, wyjednajcie mi, nie mówię już powrót zupełny ich szacunku, bo na to nie zasługuję, ale powrót ich współczucia dla grzesznika, który siebie surowiej sądzi, niż nawet oni, co mają większe prawo od innych ludzi sądzić mię i potępiać. Powróciłem z włości mej przed dwoma tygodniami. Żadnych innych stosunków odnawiać lub zawiezywać nie myślę. Z domu mego już się nigdzie nie ruszę, choć w nim także nie mam pokoju i bezpieczeństwa, bo dla mnie pokój i bezpieczeństwo jest tylko tu, gdzie leży ta, co z mojej winy i na moich rękach umarła. Ale byłoby to dla mnie ulgą i pociechą, gdybym czasem obaczył u siebie was drogie Panie, i tych

zacznych ludzi, którzy mnie niegdyś kochali, a ją cenili tak, jak na to zasługiwała. W oczach waszych widzę, że pojmujecie, jak ważną jest dla mnie ta prośba, i że nie odmówicie jej temu, któremuście przebaczyły. Im prędzej się ona ziści, tym pewniejszym będę, że przebaczenie wasze było szczere i zupełne. A teraz idźcie—dodał zadrżawszy i oglądając się na grobowiec—mnie tu najlepiej kiedym sam.

Gdy one zapatrzyły się na niego z wyrazem żalu i nie ruszały się z miejsca, dał im jeszcze znak ręką, aby odeszły, zbliżył się do pomnika, wpatrzył się w niego z natężeniem, i już więcej na nie nie zważał. Zostawiły go więc wzruszone i poszły, a on po niejakiem czasie usiadł na schodach grobowca, wsparł głowę na dłoni i tak został w zamyśleniu.

We dwa tygodnie potem, właśnie w rocznicę tego dnia, kiedy P. Adamowa na rękach męża skonała, weszła Eleonora, a za nią Szambelan, do małego pokoju,

który przytykał do jój garderoby i gdzie się zwykle ubierała. Stała tam jój toaleta, na której leżało kilka masek kobiecych i męzkich, a na krzesłach rozłożone były różne kostiumy, pomiędzy którymi znajdowała się biała suknia z zasłoną białą i przezroczystą, krakowskie spódniczki i kaftaniki, płaszcz czarny hiszpański i kaftan takież z białą kryzą, kapelusz z wielkiem polem i z czarnymi piórami i t. p. stroje. Wszystko to oznaczało przygotowującą się jakąś zabawę przy schyłku karnawału, który tego roku był huczny i wesoły.

—Cóż ty myślisz robić?—zapytał Szambelan, zasuwając brodę w halsztuch i dobywając chustkę z pod pachy.

— Myślę go kurować — odpowiedziała Eleonora, trochę zmieniona, i na której twarzy i w oczach, znacznie przygasłych, widać było ślady zmęczenia i frasunku, z którym walczyła.

—A to jak? — zapytał Szambelan siadając.

— Widziałeś przecie, że trzy dni temu był u mnie Wawrzyniec — odpowiedziała przypatrując się owój białej sukni. — Sługa to przychylny i roztropny. Starał się on parę razy i za granicą ułatwić mi widzenie się ze swym Panem; a choć to do niczego nie doprowadziło, wie jednak, że jeszcze nie dała za wygraną, i przyjeżdżał tu do mnie radzić się i uzalać, bo już sam nie wie co ma robić. Mówi, że pan jego od powrotu z zagranicy jeszcze gorzej się dręczy, jak tam, że powróciwszy z cmentarza, dokąd codzień jeździ, przesiaduje ciągle w tej nieszczęśliwej sali, gdzie się to wszystko, właśnie dziś rok temu zdarzyło; że co moment ogląda się na drzwi, z których ona wyszła wtedy, jakby znowu oczekiwał ztamtąd zjawiska, co go tak przerażyło; że stracił zupełnie sen, że jeżeli się położy, to ubrany, i wkrótce zrywa się, bierze świecę i znowu idzie do tej sali, gdzie resztę nocy przechodzi, lub przesiadzi. To widoczna monomania. Opano-

wała go jedna myśl, jeden obraz utkwił w jego głowie, i nie daje mu czém innym zająć się i co innego widzieć. Jak ten wizerunek słońca, które za pomocą poruszającego się zwierciadła puszczają dzieci, tak ten obraz miga się przed nim ciągle i na każdym miejscu ściga go i staje przed jego oczami. Przywykł on do tego widma, które go straszy, i w które uwierzył tak, że się go co moment spodziéwa. Trzeba mu pokazać inne, aby mu wybić z myśli tamto, i przekonać go, że to była tylko choroba głowy, niemająca w sobie nic rzeczywistego. Takie lekarstwo wymyśliłam i mam nadzieję, że go wyleczę.

—Jakiem był w Peterburgu — rzekł Szambelan otwierając tabakierkę — znałem jednego lekarza, który zwykle wpędzał pacyenta w ciężką chorobę, aby potem dać dowód swéj sztuki, a wyprowadzając go, zasłużyć niby na większe honorarium i uczynić rozgłośniejszém swe imie. I wiesz, jaki był skutek téj metody?

—Jakiż?— zapytała Eleonora układając się w fotelu.

—Taki, że stracił zupełnie praktykę— odpowiedział Szambelan, zażywszy tabaki, i strzepując palce.

—Głupiś ty, Szambelanie, jak cię kocham, choć byłeś w Peterburgu— rzekła Eleonora uśmiechając się.

—Rób jak chcesz— odpowiedział Szambelan.— Ja wiem, że tobie radzić, żebyś nie robiła extravagancyi, to wszystko jedno, co radzić p. Apolinaremu, żeby nie fabrykował pojedynków, Plotkowskiej, żeby nie paplała niestworzonych rzeczy, albo Fabulickiej, żeby nie komponowała baśni ze szkodą bliźniego. Ale mnie się zdaje, że już czas, abyś mu dała pokój. Zrobiłaś mu już dosyć złego i pomściłaś się dostatecznie za to, że się z tobą obszedł trochę niegrzecznie, i może gorzej niżeliś wówczas zasługiwała. Nie wyprawdzajże teraz wilka z lasu, i nie wyciągaj z gęby złych języków, które cokol-

wiek przycichły i na twojém imieniu szlifować się przestały.

—Ty tego nie rozumiesz, Szambelanie! rzekła w pół seryo, a w pół żartem,—Ty wiesz, jaka jest wartość i znaczenie damy treflowej lub karowej, zwłaszcza gdy trzecia i atutowa, ale nie znasz się na mechanizmie kobiecego serca, i nie wiesz, jakie są sprężyny, które je poruszają. Możem z początku, przez pamięć méj krzywdy, w myśli pomszczenia jój, i z chęcią nachylenia téj dumnej głowy do stóp moich, aby ją zdeptać tak, jak on mnie zdeptał, stanęła przy jego boku i uczepiła się téj biędnej kobiety, która za jego pośpiech zapłaciła życiem; ale wkrótce pokazało się co innego. To ostre i zimne żelazo, co miało być sztyletem, którym miałam mu oddać ranę za ranę, rozgrzało się przy jego gorącej i mężkiej piersi, i w ogniu namietnych uścisków urobiło się na strzałę Kupidyna, która się obróciła do mego serca. I wtedy to mścicielka znikła, a została tylko kobiéta słaba,

zapominająca się z rozkoszą i szukająca tych chwil szczęścia i uniesienia, jakie jój dawał. Wytrzeszczasz oczy biedny Szambelanie, i zdaje ci się dziwném, że-
bym ja się mogła do czegokolwiek przywiązać. Zapewne początkowe moje wystąpienie na świecie mogło wam takie dać o mnie wyobrażenie. Nawet on sam nie wierzył, aby w piersiach moich znalazło się raptem serce, zdolne uderzyć z uczuciem prawdziwém i mocném. A jednak tak jest istotnie. Tęsknota za nim i przywiązanie gnało mię za jego krokami po Europie przez te kilka miesięcy. Byłam wszędzie tam gdzie on był, choć przedemną uciekał, choć mię odpychał z obojętnością i wzgardą, gdy mnie wyminąć nie mógł. To samo uczucie przywiązania, powiem nawet miłości, choćbyś sto razy uśmiechnął się i ruszał ramionami, natchnęło mi i teraz środek, jaki przedsięwzięję, który da Bóg wyleczy go z téj choroby umysłowój, pod którą po-

tężna jego natura uledez może. I wiesz co zrobię, jeśli mi się uda?

—Naprzykład?— zapytał Szambelan.

—Zrzuciwszy pychę z serca— rzekła Eleonora— upadnę mu do nóg i powiem: Adamie! kocham cię i ciebie jednego tylko kochać mogę. Gdybym chciała, znalazłoby się jeszcze dziesięciu takich, z których każdy podałby mi rękę. Ale jak roślina, która bez podpory marnieje, gardzi podłym chrustem, a szuka dębu, aby go ramionami swemi obwinać, i w jego cieniu zazielenić i zakwitnąć, tak ja szukam ciebie tylko i nogi twe obejmuję. Chcę być twoją, Adamie! nie tak jakem już była, ale w obec Boga i ludzi, abys ty był mojem wsparciem i opieką, a ja twoim wieńcem i ozdobą. To mu powiem, Szambelanie, może nie tak poetycznie, ale w téj myśli.

—A jak ci się nie uda?— zapytał Szambelan zasuwając brodę w halsztuch.

—Jak mi się nie uda?!— zawołała porwawszy się z krzesła, przystąpiła do nie-

go, a kładąc rękę na jego ramieniu, dodała z lekceważeniem:—Wtedy pójdę za ciebie Szambelanie, i dopiero zaczniesz się pokuta za wszystkie grzechy mojego żywota.

—Urodziłaś się waryatką i zginiesz waryatką!—rzekł Szambelan powstawszy.

— Być może, ale dość tego. Rozmowa to za seryo na dzień dzisiejszy, kiedy nas czeka kulig i maskarada—odpowiedziała Eleonora, zbliżając się do krzesła, gdzie leżały kostiumy. —Chodź tu Szambelanie, zbierz te hiszpańskie manatki, którem dla ciebie przygotowała. Tu masz maskę z nastrzępionymi wąsikami, tu masz kaftan z kryzą i płaszczyk z kutasami, a tu kapelusz z piórem, który noś z fantazyą, ot tak.

I to mówiąc nałożyła mu na łysinę kapelusz z piórem, przechylając go to na prawo, to na lewo. Potém zarzuciła mu na ramię kaftan i płaszczyk, w rękę wcisnęła mu maskę i dodała :

—Ruszajże teraz i ubierz się tak, że-

byś wyglądał jak grand hiszpański, i żebyś z gracyą i powagą podawał mi rękę. Ale pamiętaj, żebyś był gotów najdalej za dwie godziny. Jak tylko kozak p. Kajetanowój przyjedzie i da znać, że cały kulig już się u niój zebrał, nie będę czekać na ciebie i pięciu minut. Pojadę sama, i powiem wszystkim, żeś mię opuścił jak zdrajca. No idź, idź, bo czas uchodzi, a i tak straciliśmy go dużo niepotrzebnie.

To mówiąc obróciła Szambelana do drzwi, który ruszył ramionami, zasunął brodę w halsztuch i poszedł ze swym ładunkiem. Wtedy Eleonora popatrzyła przez chwilę na białą suknię, potarła ręką czoło i zawołała:

—Marysia!

Gdy służąca stanęła we drzwiach od garderoby, zapytała:

—A wieniec?

—Kończę— odpowiedziała sługa.

—Pokaż— rzekła Eleonora, i obie weszły do garderoby.

Tego samego dnia, o godzinie ósmej wieczorem, w sali p. Adama znajdowało się kilka osób najbliżej nas interesujących. Przy stoliku okrągłym, okrytym pięknym kobiercem, niedaleko od komin-ka na którym dobry palił się ogień, siedziała p. Katarzyna i Aniela, obie zajęte robotą. Przy pierwszej siedział p. Kazimierz, trzymając w ręku gazetę, a patrząc na sąsiadkę, która miała oczy spuszczone na kanwę, którą wyszywała; przy drugiej siedział Karolek, patrząc na piękną i uśmiechającą się twarzyczkę żony, przytrzymując jęj nitkę, pociągając za jęj robótkę, i usuwając prędko rękę, gdy mu groziła igiełką za psoty jakie jęj robił. Przy drugim stoliku Adolf Groblica i doktor Zawicki grali w szachy. Cisza i pokój domowy, malujący się na twarzach obecnych, nie przypominały wcale tęg sceny, jaka się tu odbyła rok temu, choć sala była dobrze oświetlona i drzwi do pokojów niegdyś gospodyni tego domu, były jak wówczas otwarte. Po niejakiem cza-

się zupełnego milczenia, które często zdarza się w liczniejszej nawet kompanii, p. Katarzyna podniosła głowę i zapytała swojego sąsiada:

— Czy uważałeś pan, jak się wymknął cichaczem do pokoju żony.

— Uważałem — odpowiedział p. Kazimierz — jak przysłuchując się niby naszej rozmowie, przechadzał się coraz bliżej tych drzwi, w których znikł przed kilku minutami.

— Dzień to dla niego tak okropnie pamiętny — mówiła p. Katarzyna.

— Jednak zdawał się dziś spokojnym — odezwała się Aniela.

— Od tego czasu, jak nam panie zakomunikowałyście jego prośbę — mówił znowu p. Kazimierz — odwiedzaliśmy go prawie codzień z kolei, i zawsze rad nam był niezmiernie. Dziś widziałem nawet łzę w jego oczach, gdy postrzegł, żeśmy w tę smutną dla niego rocznicę zjechali się wszyscy. Widocznie potrzebuje towarzystwa.

—A raczój, kochany Kaziu! — rzekła Anieli — potrzebuje obecności tych, co żonę jego kochali i w żal jego wierzą.

—Nie cieszy mię to jednak — mówił Karol — że nie może usiedzieć w innym pokoju, tylko w tój sali, że drzwi tych nie pozwala zamknąć, że przechadzając się, rozmawiając z nami, a nawet czytając, ciągle ku nim pogląda, jakby się ztamtąd kogo spodziewał. Okropna to jednak choroba! Doktorze! czy nie wzbraniaasz mu przesiadywać tak długo tam, gdzie mu wszystko stratę jego żywo przypomina.

—Takiego rodzaju chorych — rzekł Zawicki — nie można drażnić zakazami. Imaginacya więćej im szkodzi, jak oczy. Wolę żeby widział, że jój tam niema, niż żeby ją sobie wyobrażał taką, jaką w tych drzwiach przed nim staęła.

—Szach królowej — rzekł Adolf.

—Mat — odpowiedział Zawicki, wyracając wieżę i stawiając tam swoją królowę.

Karol wstał i zbliżył się do grających, przypatrując się rezultatowi, a Adolf po chwili rzekł:

—Prawda, niéma ratunku.

Oba grający wstali od szachów i wszyscy zbliżyli się do głównego stołu. Wtedy Adolf dodał:

—Gdybyś tak umiał, kochany Eskulapie, zamatować cholere, suchoty, aneryzma i kaszel, jakieś zamatował mojego króla, mógłbyś przyjąć za cyrulików tych sławnych lekarzy berlińskich i drezdeńskich, do których z taką wiarą wieziemy nasze dukaty i te choroby, których ani wy, ani oni leczyć nie umieją.

—Więcej wymacie chorób— rzekł Zawicki uśmiechając się— których leczyć nie umiemy.

—O! masz racją— odpowiedział Adolf— żądza pieniędzy, które zdobyć chcemy bez pracy, a których użyć nie umiemy, gdy się zgromadzą; zastawianie się pyszne tarczą rodu, z której nie umiemy zetrzeć dawnych plam i świeżego błota;

małpowanie obcych i możniejszych, które nas robi karykaturą i u drzwi naszych stawia wierzyieli; upędzanie się za zabawami i fraszkami życia, bez względu na zdrowie i obowiązki; chęć podobania się, którą nam daje próżność lub rozpusta, a nie serce i myśl o szczęściu tych, którym chcemy się podobać; lenistwo myśli, lenistwo ciała, niewiara w siebie, niewiara w świętość jakiegobądź powinności, i t. d., i t. d., to są w rzeczy samej nasze choroby, gorsze od cholery i suchot, a z których nie wyleczy nas nawet ten wielki lekarz, którego Bóg czasem na pojedynczych ludzi i całe narody zsyła, a który nas już od lat tylu wizykatoryjami i plastrami swemi okłada.

Wszyscy słuchali téj perory, wymówionej z gorzką żartobliwością, i niby śmiejącą się twarzą, a Karolek rzekł:

—Patrz-no, patrz kochany doktorze! jak pobudziłeś żółć Adolfa tym matem, którego dostał.

—Rok temu— dodała Aniela, poglą-

dając ku drzwiom nieboszczki — nie słychać tu było w tej sali takiego kazania.

—O! rok temu— rzekła p. Katarzyna —główne z tych chorób, o jakich p. Adolf mówił, grasowały tu widomie i skończyły się nieszczęściem, mocniej uczącém od wszystkich kazań.

—Czy pani myślisz— odpowiedział Adolf— że nieszczęście to kogobądź poprawiło? że ta, co je ściągnęła, jak konduktor ściąga pioruny, nie tańczy teraz, gdy przyszedł karnawał, i nie mizdrzy się do głupców, co jeszcze wierzą w jej uśmiech i wdzięki; że mój wujaszek, dziś nawet, w rocznicę śmierci córki, nie zjadł kapłona lub indyka, a moja wujenka wysznurowana i wygorsowana nie robi siatki, że Fabulicka i cała kompanija srok i papug nie pragnie, aby się druga taka klęska zdarzyła, żeby było o czém gadać i fakt ten oplakany, dowód naszego zepsucia, skutek naszego próżniackiego położenia, łgarstwami swými jak koczodana jakiego ustroić? Ja pani ręczę,

że większa połowa z tych, co nieszczęście to widzieli, stawi dalej na kartę życia i sumienie, a wszyscy już dawno zapomnieli, że ta szalona gra wzniosła pomnik grobowy nad złamaném sercem téj, co była ofiarą namiętności i przyprowadzi do utraty życia lub rozumu tego, co porwany zgubnym prądem, który nas unosi, namiętności téj pohamować nie umiał.

—Cicho!— rzekł wtedy Karol, wstrzymując mówiącego tak z ożywieniem Adolfa, i wszyscy zwrócili oczy ku drzwiom, z których zwolna, z pochyloną głową i bawiąc się swemi węsami, wyszedł p. Adam. Gdy stanął na środku sali, potarł ręką czoło, a potem patrząc na milczących i zasmuconych widokiem jego przyjaciół, rzekł łagodnie:

—Przepraszam was, przerwałem wam rozmowę. Bawcie się, bawcie dalej, nie zważajcie na mnie.

—Niepotrzebnie nas opuszczasz, Ada-

mie! — rzekł Karol patrząc na niego ze współczuciem.

— Nie dziw się, to dziś taki dzień, w którym więcej niż kiedykolwiek pamiętać o niej powinienem — odpowiedział p. Adam. — Dla tego opuściłem was na chwilę i poszedłem tam zmówić pacierz za jej duszę. Darujcie więc, że zapomniałem trochę obowiązku gospodarza. Teraz już was nie odstąpię.

— Jakże się czujesz, kochany Adamie? rzekł Kazimierz — jesteś bledszy niż byłeś.

— Tak jak mogę — odpowiedział p. Adam, zmuszając się do uśmiechu. — Byłoby mi zapewne gorzej, gdybym był dziś został tylko z tém widziadłem mojej duszy, które mi się już stało drogiem, bez którego obejść się nie mogę, a z którym mi jednak straszno sam na sam. Dla tego serdecznie wam dziękuję, żeście to przewidzieli, i przyjechali dziś właśnie, kiedy was najbardziej pragnałem. — Potem położywszy jedną rękę na ramieniu le-

karza, a drugą na sercu, dodał ciszej:
—boli mię tu bardzo!

—Wiem o tém, że cię boli— rzekł lekarz— lecz na ten ból, który cię tak męczy, z trudnością znajdzie się środek w naszej sztuce, jeżeli na tę chorobę, p. Adamie, jaką masz tu — dodał ukazując na głowę— nie zostaniesz własnym swoim lekarzem.

— Wielką prawdę powiedział Eskulap —dodał Adolf. —Nie chcesz sam siebie leczyć, Adamie! i poddajesz się bez oporu imaginacyi, która w nawie myśli jest żaglem otwartym na wszystkie wiatry i pędzącym ją Bóg wie gdzie, jeżeli rozsądek, który jest rudlem, nie daje jój kierunku. Skieruj myśl swą gdzieindziej, a to wszystko, co w niej imaginacya wyrobiła na twoją szkodę, nie będzie cię trapić bez spoczynku i wytchnienia.

— Cóżbyś o mnie pomyślał, ty sam, który mi tak radzisz— rzekł p. Adam z ożywieniem — gdybym zapomniał o tém wszystkiém, co się tu działo rok temu?

gdyby ten straszny widok, który mię wówczas uderzył, nie stał ciągle przed mojem okiem? Zresztą nie byłeś tu, nie widziałeś i nie możesz o tém sądzić. Uważ-no — mówił dalej p. Adam z coraz wzrastającym wzruszeniem. — Postrzegłem ja to oddawna, że ona niknie, że widzi moje obłąkanie, i w walce śmiertelnej z boleścią, którą ją codzien zabi-jał, pokrywa ją oznakami miłości, która mnie gniewała. Bez względu na to, i jak-by chcąc ją dobić, wyprawilem ucztę. Wieczorem wróciłem do domu, rozdrażniony rozmową z tamtą, godną nas oboj-ga, i po której zagroziła mi, że nie przy-jedzie. Gniew mój wzmógł się jeszcze, gdy tu odebrał wasze listy, z których przekonałem się, że stracił wasz sza-cunek i przyjaźń. Oczekując gości, któ-rych od progu mego odpędzić nie mo-głem, szukałem odwagi i rezonu w bu-telce. Wtedy ta szlachetna kobiéta, ta jedyna istota, która ją kochała i litowa-ła się nad nią, uwiadomiła mię, że ona

chora, i że wyjść nie może. Wściekły i pijany, z furją i grubijaństwem, kazałem ję ubrać się i wyjść koniecznie do tych świadków mojego upodlenia, którzy już byli we drzwiach? I cóż powiesz? usłu-chała mię, ubrała się w białą suknię, włożyła na głowę wieniec białych róż, i z marmurowém obliczem, z którego tylko ostatnim połyskiem życia świeciły ję oczy, stanęła w tych drzwiach wtedy, gdy ja, ucieszony niespodziewaném przybyciem kochanki, leciał z nią w szalonym wirze walca, i wstrzymał się właśnie tu, trzymając ją w swém objęciu i tuląc do ust rozognionych ję rękę. Jakże chcesz, aby ten obraz wyszedł z mo-jęj myśli, kiedy w kilka sekund potém leżała już w mojem objęciu gotowa do trumny, a na ję ustach zastygłych przy-marły wyrazy posłuszeństwa i miłości, które były ostatniem ję tchnieniem.

—P. Adamie! — rzekł lekarz z wymówką i widząc, że się chwycił za serce —nie dotrzymujesz mi słowa. Usiądz pan.

Karol przysunął mu krzesło, p. Adam usiadł, a Aniela stojąc z drugiej strony, rzekła:

— Widzi Pan, jak to źle nie słuchać doktora i martwić dobrych przyjaciół. Ta smutna historia aż nadto dobrze wiadoma nam wszystkim.

— Darujcie— rzekł p. Adam ściskając jej rękę.— Wiem o tém, żeście wy prawdziwi przyjaciele, i że was widok mój zasmuca. To téż dwie są rzeczy, które mnie jeszcze trzymają przy życiu: ten głos wewnętrzny, którego we mnie nic nie uśpi, i wasze poczciwe twarze, na których czytam współczucie. Dla tego to myśląc nad tém co było i jest, mówię sobie nieraz: najlepsi sercem i głową, których tu znam, są moimi przyjaciółmi, więc nie musiałem jeszcze upaść tak nisko; aby mię można było kopnąć nogą, jak bydle; jeszcze w piersiach moich odzywa się sumienie, to ostatnie echo godności ludzkiej, więc jestem jeszcze człowiekiem. Gdybym tego obojga nie miał, o, wierz-

cie mi, roztrzaskałbym dawno tę czaszkę, jako czerep podły i nieczysty, który się wyrzuca na śmiecie!

W téj chwili w przedpokoju dała się słyszeć wesoła muzyka. P. Adam porwał się z krzesła, podniósł głowę po dawnemu, i spojrzawszy groźnie po obecnych zawołał:

— Co to jest? któż to, u wszystkich diabłów, śmiał mi to zrobić?!

— Nikt z nas kochany Adamie—rzekł Kazimierz.

— Uspokój się pan, na miłość Boską—mówił lekarz.

Karol pomknął się ku drzwiom, które się w téj chwili otwarły, i weszło kilkanaście par rozmaitych masek, z czterema muzykantami w maskach, wołając: kulig! kulig!

— Stójcie!— zawołał Karol, a obracając się do muzykantów krzyknął: — nie grać! gospodarz chory i smutny, nie może was przyjąć.

— Kulig! kulig!— zawołało kilka gło-

sów, a jeden dodał: — gdzież to w polskim domu nie przyjmują go, gdy przyjeżdża w zimno i zamieć— i wszyscy zaczęli śpiewać:

Kulig! kulig! otwierajcie
 Drzwi i serca, gościom radzi!
 Dajcie spocząć i pić dajcie,
 On wam długo nie zawadzi.
 Za gościnność wdzięczny szczerze,
 Choćby kto się z was nie dawał,
 Gwałtem z sobą was zabierze;
 Bo to kulig i karnawał!

— Niech żyje karnawał! — zapiszczały maski różnemi głosami.

— Bezmyślna zgraja! — rzekł pan Adam i odszedł na bok, a pan Kazimierz i Anieli stanęli przy nim. Tym czasem Karol wstrzymywał maski i muzykantów uciszył.

— Widzi pani! — rzekł Adolf do panny Katarzyny — jak korzystali z nauki, jaką im dało nieszczęście które tu widzieli.

— O! kiedy my będziemy mieli rozum! — odpowiedziała panna Katarzyna.

— Doktorze! — rzekł wówczas pan A-

dam do Zawickiego—powiedz im, że chory, że mój dom w żałobie, że ich przyjąć nie mogę, jakby kazała gościnność i zwyczaj. Niech spoczną, niech się ogrzeją, każę im dać jeść i pić, ale niech nie grają i nie tańczą, bo to widok nie dla mnie. Proś ich także, niech się nie demaskują. Nie chcę widzieć twarzy tych głupców, co nie uszanowali mojego położenia. Wawrzyniec!—krzyknął potem, zbliżając się do drzwi jadalnego pokoju. A gdy kamerdyner wystąpił, dodał.—Przyrządź im tam herbatę i zakąskę, tylko prędkiej, rozumiesz.

—W ten moment Jaśnie W. Panie!—odpowiedział sługa, spojrzawszy na maski, jakby je chciał przeliczyć, pokiwał głową i odszedł.

Zawicki i pan Kazimierz przystąpili do masek, komunikując im prozbę i wolę gospodarza. Wtedy maski z różnemi grymasami i piskiem postąpiły naprzód i zaczęły się przechadzać po jednej stronie sali, a pan Adam, nie patrząc na nie,

ze spuszczoną głową i męcząc swe wąsy, chodził po drugiej, gdzie były drzwi od jadalnego pokoju. Pomiedzy maskami było cztery pary w stroju francuzkim, z czasów Ludwika XV do kadryla, było cztery pary po krakowsku do mazura, był żyd z żydówką, kozak i dziewczka ukraińska, hiszpan z dominem czarném, parę kobiet i mężczyzn w dominach także czarnych, i czterech żydków muzykantów, którzy instrumenta swe złożyli przy drzwiach. Gdy się to wszystko rozsypało, zapełniła się sala z téj strony, z której były drzwi do pokojów niegdyś pani Adamowej. Hiszpan z dominem czarném, zasłonieni cokolwiek innemi maskami, zbliżyli się ku nim. A gdy przyjaciele pana Adama, zaczepiani przez przybyłych, przypatrywali się im, gdy Zawicki zwrócił uwagę na chorego, domino, które prowadził Hiszpan, wemknęło się do pokojów pani Adamowej, a drugie stanęło na jego miejscu, które Hiszpan wziął pod rękę. Gdy się to stało, i nikt zniknienia jednej ma-

ski nie uważał, jakaś markiza, bijąc wachlarzem po dłoni, przystąpiła do Adolfa i rzekła z piskiem:

— Szkoda, żeśmy tak źle trafili, obaczylibyście ślicznego kadryla, różnego mazura, i niebylibyście tak kwaśni i skrzywieni.

— Zapewne — odpowiedział Adolf — wielka szkoda, żeście nie mieli rozumu i delikatności.

— Powiedz jeszcze co złośliwego — rzekła maska — tylko dowcipniej, bo to ci się nie udało.

— Powiem ci, żeś ładna i młoda — rzekł Adolf.

— Dla czegoż tak myślisz? — zapytała maska.

— Dla tego — odpowiedział Adolf — że twojej własnej twarzy nie widzę.

Wszystkie maski, które były bliżej, zaśmiały się głośno. Ta, co mówiła, uderzyła Adolfa wachlarzem po rękę i odwróciła się, a p. Adam usłyszawszy ten wybuch śmiechu, zmarszczył się, potarł rę-

ką czoło, i przechodząc przez salę, wszedł do pokojów żony,

—Panowie!— rzekł wówczas lekarz do masek— posiedźcie spokojnie, odpocznijcie i ogrzejcie się. Zaraz wam dadzą jeść i pić, ale na miłość Boską nie hałasujcie i nie śmieście się, bo widzicie w jakim stanie jest nasz gospodarz, którego rok temu tak wielkie nieszczęście dotknęło.

—A prawda! prawda! że to rok temu zawołało kilku.

—Zapomnieliśmy o tém— mówili inni.

—Bądźmyż cicho, albo lepiej zbierajmy się i jedźmy— dodali inni, a wszyscy prawie zaczęli się usuwać ku drzwiom wchodowym. W téj samej chwili Aniela, chwytając za rękę męża, krzyknęła:

—Jezus Marya!

I w rzeczy samej mogła się przerazić. Ze drzwi p. Adamowej wyszedł szybko p. Adam, blady jak trup, z najeżonemi włosami, i postąpiwszy kilka kroków stanął, oglądając się na nie ze drżeniem

i strachem. Karol i lekarz przyskoczyli do niego, a Zawicki zapytał:

—P. Adamie! co ci się stało:

—Ona tam jest— mówił p. Adam nie patrząc na nich— rozgniewała się za spowiewanie tego dnia, za nieuszanowanie pamiątki bolu, który ją zabił. Słyszałem wyraźnie westchnienie, słyszałem jęk przy jej łożu!

—Ależ upamiętaj się Adamie!— wołał Karol trzymając jego rękę.

—Słyszałem, mówię ci, to nie złudzenie— i cofnąwszy się dalej, krzyknął— i patrz, idzie do mnie, aby znowu umrzeć na moim ręku.

I drżąc patrzył na występującą ze drzwi postać w białej sukni, z wieńcem białych róż na głowie, z twarzą zasłoniętą białą zasłoną, która z tyłu spadała z pod wieńca. Postać ta zbliżyła się szybko z podziwieniem wszystkich, podniosła zasłonę i padając na kolana i składając ręce, rzekła:

—To ja Adamie! która cię kocham także. Zapomnij o tamtej.

—Ty!—krzyknął przeraźliwie p. Adam wyrывая się z rąk Karola—śmiałaś więc przybrać postać anioła, aby stanąć na jego miejscu i odebrać mi ostatnie dobro, jakie miałem. Szatanie wcielony! nie daszże mi pokoju i teraz i nie pozwolisz, abym o tobie zapomniał! Uchodź ztąd, albo cię zabiję, i śmierć twoja nie padnie tak ciężko na moje sumienie, jak śmierć tamtęj.

I porywając krzesło, podniósł je na przerażoną Eleonorę, klęczącą z zakrytą rękami twarzą. Karol wstrzymał jego rękę, a on straciwszy siły i przytomność, puścił krzesło, jęknął mocno i pochylił się bezwładnie na ręce Kazimierza, który go posadził na fotelu, podanym przez lekarza.

Wtedy Adolf przystąpił do Eleonory, wziął ją za rękę z oburzeniem i podnosząc ją rzekł:

—Uciekaj pani ztąd. Ileś mogła zrobić mu złego, zrobiłaś; więcej nie potrafisz, chociażżeś mądra i bezczelna.

— Ha! — rzekła Eleonora załamując ręce — tegom się niespodziewała. Biada mi! już dla mnie niema zbawienia!

I rzuciła się ku drzwiom, a za nią i inne maski, ze znakami i giestami to zdziwienia, to nieukontentowania, że nie wiedząc, wmieszały się do téj sprawy, która taki zrobiła skutek. Wkrótce sala wypróżniła się z gości, zostali tylko dawniejsi, otaczający krzesło, i patrzący z milczeniem i trwogą na p. Adama, którego Zawicki trzymał za puls, z miną zwątpiałą i pełną niepokoju.

— Doktorze! co będzie? — zapytał Kazimierz.

— Cicho! — odpowiedział Zawicki, nachylając się ku twarzy p. Adama, którego usta poruszyły się, jakby chciał mówić.

I znowu nastąpiło milczenie, którego nikt przerwać nie śmiał. W kilka sekund p. Adam drgnął, podniósł się cokolwiek, potem jęknął znowu i upadł na krzesło. Zawicki trzymał jego rękę, a Aniela płacząc i tuląc się do męża, rzekła:

—O Karolku! jak mi straszno!

—Niestety! i ja nie mam nadziei — odpowiedział jój Karol. — To serce zamocno wszystko czuło, aby cios taki wytrzymać mogło.

Gdy Zawicki puścił z wolna rękę pana Adama, odszedł na bok i tarł dłonią czoło, obstąpili go wszyscy i Kazimierz zapytał:

—Cóż? niéma ratunku?

—Zmówcie pacierz za ich dusze. Już są razem — odpowiedział lekarz.

Obie kobiety załamały ręce i płacząc upadły na kolana. A Adolf patrząc na zwłoki przyjaciela, zawołał:

Pękło więc twe potężne serce w walce z namiętnością niską i codzienną! złamało się skrzydło twe, orle podolski! tłukąc się o ściany izby ciasnej i zamkniętej! O Karolku! daj oczom moim okulary młodości swój, abym nie widział tego świata naszego, jakim jest; lub inaczej, jak Bóg żywy i wielki, pójdę boso do Brusilowa i zostanę kapucynem; tak

brzydką, tak mizerną, tak lichą mi się wydaje ta komedia życia naszego, którą tu na ziemi téj odgrywamy.

Po tych słowach, wymówionych z goryczą i bólem, wszyscy otoczyli umarłego, i tak się dramat ten skończył.

K O N I E C.



przybliżyć tak mierną, tak licha mi się
 wzięła ta komedia zysa naszego kłó-
 tu na ziemi t...
 ośmiu słowach wyimowanych z go-
 tyca i bolera, wszystki umarł-
 go, i tak się drinał ton skony...

Spis Rozdziałów.

	<i>stron.</i>
I.	7
II.	71
III.	130
IV.	193
V.	229
VI.	291

